

LIRA
WYDAWNICTWO




Małgorzata STAROSTA

Z tymi babkami jak nie komedia, to kryminał...

Gdzie policja nie może, tam Małgonia narozrabia!

NA TROPIE TRUPA



A gdyby tak
rzucić wszystko
i wyjechać...
na Kurpiowszczyznę?

Małgorzata
STAROSTA

NA
TROPIE
TRUPA

L i R A
WYDAWNICTWO

© Copyright by Lira Publishing Sp. z o.o., Warszawa 2023

© Copyright by Małgorzata Starosta, 2023

Redaktor inicjujący: Paweł Pokora

Redakcja: Barbara Kaszubowska

Korekta: Aleksandra Zok-Smoła

Skład: Klara Pereplyś-Pająk

Projekt okładki: Magdalena Wójcik

Zdjęcia na okładce i źródła ilustracji: © doctorblack, © file404, © ratkomat, © vadimmmus / 123 rf

Zdjęcie autorki: © Maciej Zienkiewicz Photography

Retusz zdjęcia okładkowego: Katarzyna Stachacz

Redakcja techniczna: Kaja Mikoszevska

Producenci wydawniczy:

Anna Laskowska, Magdalena Wójcik, Wojciech Jannasz

Wydawca: Marek Jannasz



Lira Publishing Sp. z o.o.

Wydanie pierwsze

Warszawa 2023

ISBN 978-83-67654-39-5

al. J.Ch. Szucha 11 lok. 30, 00-580 Warszawa

www.wydawnictwolira.pl

Wydawnictwa Lira szukaj też na:



Spis treści

Strona tytułowa

Karta redakcyjna

O KURPIOWSKIM SKARBIE

SKĄD WZIAŁ SIĘ BURSZTYN?

ROZDZIAŁ 1

ROZDZIAŁ 2

ROZDZIAŁ 3

ROZDZIAŁ 4

ROZDZIAŁ 5

ROZDZIAŁ 6

ROZDZIAŁ 7

ROZDZIAŁ 8

ROZDZIAŁ 9

ROZDZIAŁ 10

ROZDZIAŁ 11

ROZDZIAŁ 12

ROZDZIAŁ 13

ROZDZIAŁ 14

ROZDZIAŁ 15

ROZDZIAŁ 16

ROZDZIAŁ 17

ROZDZIAŁ 18

ROZDZIAŁ 19

ROZDZIAŁ 20

ROZDZIAŁ 21

ROZDZIAŁ 22

ROZDZIAŁ 23

ROZDZIAŁ 24

ROZDZIAŁ 25

ROZDZIAŁ 26

ROZDZIAŁ 27

ROZDZIAŁ 28

ROZDZIAŁ 29

ROZDZIAŁ 30

EPILOG

ŚMIERĆ BOHATERSKA KONWY 39

Przepisy.

PIWO KOZICOWE (JAŁOWCOWE) (przepis pochodzi ze strony www.kurpiowskakrajna.com.pl),

REJBAK KURPIOWSKI (przepis pochodzi ze strony www.kurpiowskakrajna.com.pl),

FAFERNUCHY (przepis pochodzi ze strony www.kurpiowskakrajna.com.pl),

CHŁODNIK KURPIOWSKI (przepis pochodzi ze strony www.kuchnia-polska.net),

OD AUTORKI

Przypisy.

O KURPIOWSKIM SKARBIE

Gdy Pan Bóg stworzył świat i po raz pierwszy dokonywał jego przeglądu z przestworzy, spostrzegł, że nad Syberią zmarły Mu ręce. Zaczął więc je rozcierać i z tych Jego rąk na ziemię syberyjską spadły wszystkie skarby ziemi – złoto, srebro, platyna, ropa naftowa, drogie kamienie, dosłownie wszystko. A kiedy był nad ziemią kurpiowską, ręce miał już puste. I zapłakał tedy Pan Bóg nad tą ziemią, i zapłakali biedni jej mieszkańcy. Z łez Pana Boga poniesionych wiatrem powstały najpiękniejsze na świecie jeziora mazurskie, a z tych jezior wypłynęło siedem rzek kurpiowskich, najczystszych na świecie. Z łez płaczących nad rzekami ludzi powstawały bursztyny, które niesione siedmioma rzekami, później Narwią, Bugiem i Wisłą, pokryły całe dno Morza Bałtyckiego. Wtedy uśmiechnął się Pan Bóg i puste wydmy pokryły się lasami, rzeki napęłniły się rybą i ptactwem wszelkim, a łąki zakwitły kwieciami jak tęcza na niebie. I rzekł, odchodząc, jeszcze Pan Bóg: oprócz bursztynu zostawię wam pół mego serca. Jest to skarb, którego nigdy wam nie zabraknie i którego nikt wam nie zabierze, którym możecie obdzielać cały świat¹.

SKĄD WZIAŁ SIĘ BURSZTYN?

Skąd wziął się bursztyn? Kiedy Pan Bóg na grzesznych ludzi spuścił potop, to – jak wiadomo ze starych ksiąg – straszny deszcz padał przez czterdzieści dni i nocy nieprzerwanie, a ludzie ginęli jak nędzne robaki. Plakali też rzewnie z nieszczęścia, a łzy ich – jak napęczniały groch grube, kapwały w tę wodę potopową i stało się tak:

– z łez ludzi niewinnych, małych dzieci i innych nieboraków powstał bursztyn jak łza czysta i przejrzysta – na pasyjki, na leki, na korale dla dziewczyn i na inne piękne i przyjemne rzeczy;

– z łez grzeszników pokutujących i żałujących za grzechy powstał bursztyn przyciemniały, zamglony, zachmurzony jakby, dobry na kadzidło, do fajek, na tabakiery albo rączki do kijów;

– z łez ludzi złych, bluźnierców, opojów i innych powstał bursztyn brudny, nie do użytku – na farbę, smołę i inne rzeczy podlejsze.

Bursztyn oczyszcza się w ogniu albo na żarzących węglach i z tego, co dobre było w ludziach, wydaje dym przyjemny dla nosa i oczu, a ze złych resztek zostaje na dnie trochę smrodliwych węgli i czarnej sadzy.

A z borów, co porosły w tych miejscach po potopie, rozlała się żywica, dająca z siebie różną rozmaitość bursztynową nad morzem i w siwej ziemi, i w dużych gniazdach po borach. I przez to bursztyn nazywają do dziś starzy bursztyniarze „żywicą od potopu świata”, a drzewa roniące w letnie ciepło żywicę są to „sosny wyplakane”, bo wyplakują z siebie lepka masę, z której będzie kiedyś znowu bursztyn.

A będzie to za wiele lat – za sto, tysiąc, a może nawet za dużo więcej².

ROZDZIAŁ 1

Dwudziestego ósmego czerwca 2022 roku, w Światowy Dzień Bursztynu, w Muzeum Bursztynu w Wielkim Młynie w Gdańsku został ustanowiony rekord Guinnessa w kategorii „największa bryła bursztynu na świecie”. Największa bryła bursztynu na świecie waży 68,2 kg. Jest ona o prawie 18 kg cięższa od dotychczasowego rekordzisty, bursztynu z Sumatry, który waży 50,4 kg. Jej wymiary to 74 x 57,1 x 42,1 cm – dotychczasowa rekordowa bryła ma wymiary 55 x 50 x 42 cm. Potwierdzili to certyfikowani eksperci, którzy dokonali pomiarów oraz niezbędnych badań.

– Kocham swoje życie! – stwierdziłam, zamykając drzwi na wszystkie zamki po tym, jak wyprawiłam jedyne dziecko na letni obóz.

Mąż w delegacji, Alicja w drodze na drugi koniec Polski, teściowa obrażona, więc nawet nie zadzwonił. Wydawca dostał, czego chciał, przez tydzień się nie odezwie.

– Chyba pęknę ze szczęścia! – zawołałam.

Mogłabym biegać nago po mieszkaniu, upić się do nieprzytomności, zorganizować szaloną imprezę. Kuszące! Ale o wiele bardziej pociągało mnie nicnierobienie: wyłączyć telefon, komputer wcisnąć pod łóżko i nawet nie patrzeć w jego stronę. Wreszcie telewizor będzie tylko dla mnie i nikt nie zacznie sapać, że „przecież mecz jest”. A niech sobie nawet będą wszystkie mecze świata – kto ma pilota, ten ma władzę!

Nie mogę powiedzieć, żeby władza uderzyła mi do głowy, bo już po kwadransie znudziło mnie szukanie czegokolwiek interesującego w telewizji, a na platformach streamingowych wybór był tak duży, że poczułam się jak osiołek z wiersza Fredry. W obawie, że zostanę padłą z głodu padliną, wyłączyłam wszystko w diabły.

Rzuciłam się na książki, jednak ani kryminały, ani literatura babska, ani reportaże nie wydawały się właściwym wyborem. Może więc bestsellerowa fantastyka dla młodzieży? Tak, z książkami poszło mi zdecydowanie lepiej niż z telewizją: wytrzymałam całe czterdzieści stron. Poddałam się przy frazie „Płynąc rzeką seksownych myśli do morza pożądania” i natychmiast chciałam zadzwonić do Alicji, żeby sprzedać jej ten cytat, który z całą pewnością znajdzie się w jej bogatym słowniku idiotyzmów, ale przypomniałam sobie, że obiecałam nie tęsknić, nie wydzwaniać i pozwolić jej popełniać błędy młodości. Co za pech...

Przemknęła mi przez głowę myśl, że może jestem już stara i nie potrafię samej sobie zapewnić rozrywki, szybko jednak pozbyłam się tego kłamliwego oszczerstwa – gdzie mi tam do starości! Czterdzieści lat to wiek absolutnie piękny, człowiek dopiero mądrości nabrał, uroda stała się szlachetna, charakter się wyszlifował, metabolizm co prawda zwolnił, ale nie można mieć wszystkiego.

– Kto umarł?! – wykrzyknęła do telefonu Basia, kiedy w końcu odebrała. Po pięciu nieudanych próbach dodzwonienia się do niej.

– Oszalałaś? – zdumiałam się. – Nikt nie umarł. Co porabiasz?

– Leżę na fotelu ginekologicznym – wycodziła moja przyjaciółka, chyba odrobinę poirytowana. – Co się stało?

– Coś się musiało stać, żebym dzwoniła do mojej najukochańszej Barbórki?

– Jezu, piłaś! – przeraziła się.

– Jedynie wodę z cytryną.

– Goniu, nie obraż się, ale jestem trochę... zajęta. I niewygodnie mi. Leżę rozkrakana, a pani doktor trzyma w jednej ręce wziernik, a drugą przytyka mi telefon do ucha.

– To po co odbierasz, skoro nie możesz rozmawiać? – zachnęłam się.

– Bo do mnie wydzwaniasz, jakby stała się tragedia! Myślałam, że co najmniej umierasz na zawał. Pani doktor, możemy odwołać karetkę, tu potrzeba psychiatry – zwróciła się do lekarki, a do mnie rzuciła: – Zadzwonię później. – I się rozłączyła.

Wydawałoby się, że człowiek ma wokół pełno znajomych, a gdy przychodzi co do czego, to nie ma z kim nawet poplotkować przez telefon.

Spojrzałam na zegar. Było dopiero wpół do jedenastej. Skoro zdążyłam się znudzić przez niespełna trzy godziny, to co będzie za dwa tygodnie? Rany boskie, katastrofa!

Telefon wydał z siebie dźwięk, od którego przeszły mnie dreszcze – moje złośliwe dziecię ustawiło upiorny, diaboliczny śmiech jako sygnał przychodzącej wiadomości. Oho, Barbs...

„Kicia, czy Ty już się nudzisz? W pierwszym dniu pierwszego od siedemnastu lat urlopu? Może wytrop sobie jakiegoś trupa czy coś...”.

No bardzo śmieszne! Czy w moim otoczeniu występują wyłącznie złośliwe ludzkie jednostki? Prychnęłam głośno i odpisałam:

„Ciebie to nawet żmija by nie ugryzła, żeby się nie otruć”.

Świetna rada: „Wytrop sobie trupa”. Zołza.

ROZDZIAŁ 2

Kurpie jako region słyną z rękodzieła ludowego – oprócz haftu bardzo popularne są tam wycinankarstwo i bursztyniarstwo. Bursztyniarstwo na Kurpiach zawsze było niezwykle popularnym i cenionym zawodem. W XIX wieku tylko w starostwie ostrołęckim znajdowało się prawie 150 kopalni tego szlachetnego kamienia. Bursztyniarze kurpiowscy tworzyli nie tylko popularne kolie, ale również takie przedmioty, jak fajki, guziki czy tabakiery.

– Czyli mam rozumieć, że po trzech dniach na bezrobociu zamieniłaś się w perfekcyjną panią domu i teraz bez obaw można zlizywać sok z podłogi, gdyby mi się ręka ze szklanką trzęsła i trochę bym chlupnęła? – Basia patrzyła na mnie wielkimi orzechowymi oczami z taką intensywnością, jakby chciała zajrzeć do mózgu. – Okna wymyłaś, w szafach wojskowy porządek i już nie masz nic do roboty?

Pokiwałam głową tak energicznie, że niemal chrupnęło mi w szyi. Nie mogłam odpowiedzieć, zajęłam się spożywaniem ciasta, które – notabene – też upiekłam. Z nudów.

– No dobrze, uznajmy, że kryzys wieku średniego dziwnie się u ciebie objawia, ale generalnie społecznie nieszkodliwie – zawyrokowała moja przyjaciółka i sięgnęła po kolejny kawałek sernika.

Nie żebym jej liczyła, ale czwarty to był.

– Wydawca kategorycznie zabronił mi cokolwiek pisać, żeby „mózg mi się nie rozpuścił”. Obejrzałam wszystkie seriale na Netfliksie, od książek mnie chwilowo odrzuca, Marek jest podejrzanie miły... Co tu robić? – żaliłam się bardziej sobie niż jej, bo ta zołza serce ma z kamienia i nie rozumie problemów ludzi niemających kotów i trojga dzieci.

– Coś ty mi tu kręcisz, kicia – stwierdziła, mrużąc oczy. – Wpadłaś na jakiś szatański pomysł, czyż nie? Cholewka skórzana, czy ona naprawdę musi mnie tak dobrze znać?

– Nie wiem, czy szatański, moim zdaniem bardzo przyzwoity i mogący się przysłużyć społeczeństwu – odparłam z godnością księżnej Walii.

– O tak, z całą pewnością. I dlatego właśnie odwracasz wzrok. Co wymyśliłaś, diabolic? Wpadłaś na trop trupa?

– No wiesz co?! – oburzyłam się nie na żarty.

Cóż to w ogóle za insynuacje, że niby ja tak do trupów ciągnę? Jakby nie wiedziała, że autorka kryminalów mdleje na widok cudzej krwi.

– Nie wiem, oświeć mnie.

– Bardzo jesteś zajęta w najbliższym czasie? – Może zaskoczenie przytępi jej bystrość.

– Na potrzeby niniejszej rozmowy założmy, że nie bardzo – odparła ostrożnie.

– A nie miałabyś ochoty przypomnieć sobie studenckich czasów? Na przykład... w skansenie?

– Założmy, że bym chciała, ale zależy, gdzie ten skansen.

– Połazimy po chatach, popodglądamy ludzi, poprzyglądamy się artefaktom, pogadamy z panią Jolinką – rozmarzyłam się, celowo ignorując jej słowa. – Potrzebuję trochę przewietrzyć głowę i może jakiejś inspiracji zakosztować...

– Wróć! – przerwała mi obcesowo. – Czy ty powiedziałaś? Że „pogadamy z panią Jolinką”? Z TĄ panią Jolinką? Z Nowogrodu?

– Tak konkretnie to z Łomży, w Nowogrodzie jedynie pracuje.

– Z Łomży? Na Podlasiu? Czy ciebie już całkiem z tej nudy pokręciło?! Ja myślałam, że chcesz wyskoczyć na dwie godziny, a nie jechać na drugi koniec Polski. Mało masz skansenów pod nosem? Oszalałaś – stwierdziła Basia.

- Myślałam, że ci się tam podobało. Poprzednim razem nie przeszkadzała ci dwunastogodzinna podróż – odparłam urażona.

- Goniu... To było prawie dwadzieścia lat temu, kiedy nie miałam niczego w nadmiarze poza wolnym czasem i wiatrem w głowie. Teraz mam trzy darmozjady, dwa kitku i klientów, których muszę wycisnąć jak cytrynę, żeby nakarmić darmozjady.

- I kitku – dodałam dla załagodzenia sytuacji.

- Na kitku mam zawsze, ale tych troje je tyle, że ledwo nadażam z wyciskaniem klientów. Wybacz, ale ten pomysł nie nadaje się do realizacji.

Wygięłam usta w podkówkę i pociągnęłam nosem. Nie było sensu jej przekonywać, widziałam na własne oczy apetyt jej dzieci.

- No trudno, to odwołam... – bąknęłam niepokieszona.

- Co odwołasz? – Spojrzała na mnie z wyraźną troską. – Nie gadaj, że ty już się poumawiałaś!

- Chciałam ci zrobić niespodziankę, pani Jolinka się ucieszyła, hotel już zarezerwowany.

Basia pacnęła się w czoło z taką energią, że powinna dostać wstrząśnienia mózgu.

- Oesu, kicia, ty jednak jesteś niereformowalna. Ogień w tyłku. – Pokręciła głową, więc chyba jednak wszystko z mózgiem było w porządku. Nagle wyprostowała się jak struna i spojrzała na mnie z powagą. – Wiem! – wypaliła. – Pojedź z Markiem! Od lat marudzi, że nigdy nie możecie wybrać się nigdzie sami, bo albo Alicja, albo mamusia, albo ja z całym tałatajstwem. Zróbcie sobie romantyczny wypad na Podlasie. Taki tydzień miodowy osiemnaście lat po ślubie.

Musiłam skrzywić się bezwiednie, na co moja przyjaciółka zareagowała bezczelnym rechotem.

- Zobaczysz, będzie fajnie – zapewniła jadownicę. – Poznacie się od nowa. Romantyczne spacerki, kolacyjki przy świecach i te sprawy. Miłość odżyje.

Na końcu języka miałam ripostę, co może sobie zrobić z tą radą, ale udało mi się nad sobą zapanować. Właściwie... Może to jedyna okazja, żebyśmy pojechali gdzieś we dwoje? W razie czego będę miała w sądzie argument: „ależ pani sędzio, ja przecież tak się starałam!”. Hmm, tak, to nie był głupi plan. Jedyna trudność polegała na tym, by przekonać do niego małżonka.

- Czuję w kościach, że napotkam opór – myślałam na głos. – Wyjazd na wakacje to dla Marka kara za grzechy niepopelnione, a spontaniczna wyprawa z żoną będzie jak przedsmak piekła.

- Oj, nie bądź taką pesymistką. Nie wiesz, jak przekonać faceta? Ugotuj mu coś, upiecz ciasto, oblecz się w tiulowy peniuarek, masaż zrób, poszepecz do uszka, ubzdryngol go szampanem i pojedzie na to Podlasie z radością nietajoną.

- Ty byś tak zrobiła? – powątpiewałam.

- No coś ty, nigdy w życiu! Mój dostałby informację, na kiedy ma spakować czyste gacie i o której startujemy. Ale ty zacznij od marchewki.

Oczami wyobraźni zobaczyłam siebie w tiulowym peniuarku i ubzdryngolonego szampanem Marka. No właściwie... To mogło się udać.

Było już bardzo późno, kiedy mój zmęczony ciężkim dniem małżonek, miłość mego życia, słodki garb, towarzysz doli i niedoli, wszedł do mieszkania, powłócząc nogami, jakby dopiero skończył bieg w ultramaratonie.

- Heeej – wysapał niczym męczennik.

- No hej. A cóż to za przyroda nieożywiona przekroczyła próg naszego rodzinnego gniazda? Na piechotę szedłeś?

Marek machnął ręką i opadł ciężko na kanapę w salonie.

- Chyba wolałbym wziąć udział w pieszej pielgrzymce do Jerozolimy, niż przeżyć jeszcze jeden taki dzień jak dzisiaj – wymruczał. – Potrzebuję urlopu...

O mało nie podskoczyłam pod sufit, nie mogłam uwierzyć w swoje szczęście. Tak łatwo poszło!

– Biedactwo moje – szepnęłam z czułością i usiadłam obok. Przykrótka sukienka trochę się podwinęła, odsłaniając koronkę pończochy. Wszystkie siły mi sprzyjały! – To chyba jest bardzo dobry pomysł. Harujesz jak wół, śpisz jak położnica, nie dojadasz, katujesz się. Biedny Mareczek.

Nawet ja, usłyszawszy siebie, musiałam stwierdzić, że trochę przesadziłam, a co dopiero mój małżonek.

Zerknęłam na niego z ukosa i zobaczyłam, jak jego brwi niepokojąco zbliżają się do siebie. Musiałam szybko coś zrobić albo cały misterny plan pójdzie w ciemny las.

– Twoja mama dzwoniła i wyraziła daleko idące zaniepokojenie tempem twojego życia – wyrzuciłam z siebie jednym tchem.

– A już się bałam, że coś ci się stało i zaczęłaś bredzić.

Uff, jakoś się udało. Panuj nad sobą, Gośka, panuj!

– A nie, u mnie wszystko w porządku, właściwie to wręcz nudno. Ale wiesz co? – Pogłaskałam go po zarosniętym policzku. – Może ten urlop to wcale nie jest taki głupi pomysł? Nie mówię, że jakiś długi, ale takie dwa dni, góra tydzień.

Spodziewałam się natychmiastowego ataku, tymczasem Marek, wcielenie buddyjskiego zen, kwiat lotosu na gładkiej tafli jeziora, stwierdził:

– Tak, masz rację.

– Naprawdę? – wyrwało mi się.

– Naprawdę, jutro złożę wniosek i biorę tydzień wolnego. Z dwoma weekendami będzie dziewięć dni.

Usłyszałam cichy podszept diabła, który kazał mi iść za ciosem i grać va banque. Niemal od razu odezwał się także anioł, mówiący: nie przeciągaj struny. Niestety, dusza hazardzisty słuchała tylko jednego z nich.

– Ależ to się znakomicie składa, mój kochany, bo mam dla ciebie niespodziankę! – wykrzyknęłam z taką radością, jakbym ogłaszała, że jadę odebrać Nagrodę Nobla.

– O mój borze jesienny! – jęknął mąż. – To nie brzmi dobrze.

– No wiesz co? To tak się cieszysz z tego, że ukochana żona postanowiła zadbać o urozmaicenie małżeńskiej rutyny? Z ciebie naprawdę jest psuj atmosfery. I emocjonalny beton! – Chlipnęłam dość głośno dla podkreślenia krzywdy. A co! Niech widzi, jak się staram.

Marek dopiero teraz spojrzął na mnie przytomnie i z uwagą. Jakby kusa mini i kabaretki były oczywistym domowym strojem pisarki. Nie wspominając o butach, które miały dziesięciocentymetrowy obcas.

– A coś ty się tak odstawiała? – zapytał podejrzliwie. – Zapomniałem o naszej rocznicy?! – Zdjął z palca obrączkę i przyjrzał się grawerowi znajdującemu się po wewnętrznej stronie. – Nie, jeszcze ponad miesiąc.

Miałam ochotę dzielić go czymś twardym, ale jedynym twardym przedmiotem w zasięgu moich rąk był jego zakuty czerep. Nawet daty ślubu nie pamięta, osioł jeden!

Nie zaszczyciłam go odpowiedzią. Zamiast tego zerwałam się z kanapy i pomaszerowałam do kuchni (o ile w szpilkach w ogóle da się maszerować), gdzie w piekarniku dochodziła ulubiona potrawa mojego małżonka-niewdzięcznika – zapiekanka pasterska. Ile ja się naszukałam jagnięciny dla jaśnie pana!

Bez słowa otworzyłam butelkę czerwonego wina, wyjęłam danie z pieca i – również bez słowa – zaniósłam obie rzeczy na stół. Pan małżonek może daty własnego ślubu nie pamiętał, ale węch miał jak pies myśliwski, więc od razu wiedział, co się święci.

– Zaproszenie mam jeszcze wysłać? A może rozwinąć czerwony dywan? – zapytałam ze złością, kiedy nawet nie podniósł się z kanapy.

– To dla mnie? Tak bez okazji? – wydukał. Pewnie opanowywał ślinotok, niewdzięczny gad.

– W zamierzeniu bez okazji, ale prawdopodobnie będzie rozwodowa – wycedziłam.

– No co ty, Gosiu! – zachłysnął się. – Co ty mówisz, kochana moja? Nawet tak nie żartuj.

– Daleko mi do żartobliwego nastroju. Siadasz czy mam jeść sama?

Wiedziałam doskonale, że nic tak nie przeraża mojego męża jak lodowaty ton i maska nieczulej kobiety. Rzadko sięgałam po te narzędzia, ale czasami nie mam innego wyjścia. Zwłaszcza kiedy bardzo chcę coś osiągnąć, jest to jedyna działająca strategia. A teraz chciałam wyjątkowo.

– Mmm, pyszota! – zachwycał się Marek.

Kłamał, skoro wszystko było tak gorące, że nie miał prawa czuć smaku. Ale to dobrze, strategia zimnego głazu zaczynała działać.

Zignorowałam go i upiłam łyk wina.

– To może wzniesiemy toast? – zaproponował przesadnie grzecznym tonem.

– Proszę bardzo. Za co?

– Yyy, może... za nas?

– Wolałabym nie, jakoś przestałam widzieć naszą wspólną przyszłość.

– Kochanie, nie mów tak! Łamiesz mi serce!

– Najpierw musiałbyś je mieć, a betony raczej znane są z ich braku.

– Przepraszam cię, no zobacz, jak się kajak! – Machnął głową tak mocno, że niemal wyrznął czołem o talerz. Udało mu się jednak wyhamować i jedynie ozdobił czuprynę ziemniakami.

Znów go zignorowałam. Czułam, że do celu już blisko.

– Gosiu! Gosieńko moja najpiękniejsza, najukochańsza, światło mego życia! Jak mogę się zrehabilitować? Na wszystko się zgadzam!

Bingo. Gwarantuję – ta strategia działa za każdym razem.

– No już dobrze, dobrze – odezwałam się głosem zarezerwowanym tylko na kolacje przy świecach. – Wypijmy ten toast za nasz tydzień miodowy w Nowogrodzie.

ROZDZIAŁ 3

Największe na świecie pokłady bursztynu znajdują się w obwodzie kaliningradzkim, w okolicy Jantarnego nad Bałtykiem. Szacuje się, że leży tam ponad 90% światowych zasobów tego surowca.

Strategia zimnego głazu zadziałała, nie oznaczała jednak pełnego sukcesu. Dla Marka hasło „Nowogród” brzmiało zwyczajnie – myślał pewnie, że chce go zabrać do jakiegoś uroczego zamczyska albo agroturystyki otoczonej lasami. I dopóki był o tym przekonany, topór wojenny został zakopany pod warstwą ziemniaków, warzyw i jagnięciny. Dopiero najedzony, mój mąż zaczął łączyć kropki.

– No dobrze, to opowiedz mi trochę o tym naszym tygodniu miodowym. Z pewnością już wszystko zaplanowałaś, więc chciałbym wiedzieć, kiedy i gdzie będę odpoczywał.

Leżeliśmy na kanapie, objedzeni jak baki w czerwcu, z głośników sączyły się dźwięki *Into the Blue* Milesa Daviesa, czas jakby zwolnił, a ja snułam plany włożenia w każdy kąt każdej chaty w nowogrodzkim skansenie. Bardzo mnie ciągnęło do tych Kurpiów, zamarzyła mi się opowieść o dziewiętnastowiecznej wiosce, rybakach, myśliwych, młynarzach, o wielkiej miłości i rodzinnych sekretach. Ach, jaka to będzie piękna historia!

– Kochanie? – doleciało do mnie gdzieś z boku i na pewno nie brzmiało jak głos mojego wyobrażonego rybaka.

– Tak?

– Pytałem, gdzie będziemy odpoczywać – powtórzył Marek.

– Nad Narwią będziemy odpoczywać, a jak się zmęczymy pięknem podlaskiej przyrody i lataniem po skansenie, to możemy iść do hotelu. Pomasują cię, zażyjesz kąpeli zdrowotnych, popływasz w basenie.

Zrobiłam, co w mojej mocy, żeby ukryć słowo „skansen” w tym zdaniu, zdaje się, że wymruczałam je dosyć niewyraźnie, a mimo to czułe ucho doktora Marka Starosty, słuchającego Czterech pór roku Vivaldiego na sali operacyjnej, wychwyciło bez pudła to, co powinno pominąć.

– A ten skansen to w jakim charakterze? – zapytał, jeszcze spokojnie.

– A w jakim ma być? Odchamimy się trochę, kultury zażyjemy.

– I nie ma to nic wspólnego z twoją pracą?

– No wiesz... Z moją pracą potencjalnie wszystko ma coś wspólnego: pani Gienia z piekarni, piesek sąsiadów, film w kinie, skansen. Nigdy nie wiesz, gdzie znajdę inspirację.

– Ale doskonale wiem, że obiecałaś nie angażować mnie w swoją pracę – powiedział Marek podniesionym głosem.

Zaczynało się robić niebezpiecznie.

– Kochanie, ale ja wcale nie zamierzam angażować cię w swoją pracę, nawet nie zauważysz, że ja tam zbieram materiały.

– Miałaś odpoczywać...

– No i odpocznę. Przecież oglądanie muzealnych eksponatów to czysta rozrywka – przekonywałam.

– A nie możesz ich obejrzeć w internecie? Na urlop wybraliśmy się w jakieś ładne miejsce – zaproponowałam.

No jeśli Podlasie nie jest ładnym miejscem, to niech ja pęknię! Zaczynał mnie bardzo irytować ten mój leniwy mąż.

– To nie to samo – rzuciłam rozeźlona. – Trzeba dotknąć, powąchać, podpytać. Wiesz, poczuć to tak, żeby potem czytelnicy poczuli.

– Jesteś pisarką, umiesz pisać tak, żeby poczuli. Jak chcesz, to poszukam dla ciebie zdjęć i możesz je sobie oglądać znad basenu w Chorwacji.

Tego już było za wiele. Leniwy, uparty, wygodnicki pan doktor! W dodatku po jego minie wnioskowałam, że uznał temat za zamknięty. Oczywiście zgodnie z jego wolą.

– Taki jesteś mądry?! – zdenerwowałam się niepomiarnie. – Dobrze. Niech ci będzie. Ale jak następnym razem zapragniesz skosztować gulaszu z sarniny, to włączę ci Bambi i każę lizać telewizor! No przecież taki znakomity chirurg ma wyobraźnię, czyż nie?!

Wściekła jak osa zrzuciłam szpilki i wymaszerowałam z pokoju, tupiąc ostentacyjnie. Co za osioł! Uparty, leniwy, złośliwy i samolubny! Wpadłam do łazienki i zacisnęłam dłonie na brzegach umywalki. Spojrzałam w lustro. Po cholere ja się tak staram?! Może trzeba metodą Basi: trzymać krótko i nie zważać na fochy jaśnie pana? Przez tyle lat pozwalałam mu wybierać kierunek rodzinnych wakacji – nie chciałam się kłócić, a poza tym było mi zupełnie obojętne, gdzie rozłoży laptop. No nie! Tym razem będzie po mojemu!

Poprawiłam koafiurę, pociągnęłam usta szminką i przywołałam całą godność osobistą na twarz. Nieźle. Wyszedłam z łazienki krokiem królowej, usiadłam na fotelu i zajęłam się kręceniem loka na palcu. Wytrenowany siad odsłonił koronkę pończoch, na którą Marek zerkał z zainteresowaniem.

– Dobrze, kochanie, pojedę sama – oznajmiłam po chwili słodkim głosem i sięgnęłam po telefon, równocześnie odsłaniając wszystko, co mogłam odsłonić, gdy podnosiłam nogę.

– Co robisz? – wychrypiął mążnek.

Widziałam ten błysk w jego oku.

– Dzwonię do twojej matki, przecież nie mogę zostawić cię tu samego.

– Gosiu, czy ja jestem małym chłopcem, żebyś mnie straszyla mamusią?

– Mama? Dobry wieczór! – Szczerzyłam się do telefonu, żeby kochana teściowa słyszała radość w moim głosie. – Co mama robi w przyszłym tygodniu? Nic ważnego? To znakomicie, znakomicie, bo absolutnie nie chciałabym stwarzać mamie problemu. – Zerknęłam na mążnoka, który przewracał oczami i wyglądał jak obrażony dwunastolatek. – Nie, nie, nic się nie stało, ale tak się składa, że Mareczek zostaje sam w domu na kilka dni i ktoś musi się nim zająć.

Mareczek prychnął i zrobił się czerwony.

– Tak, tydzień, góra dziesięć dni. Czy wciąż ma uczulenie na krochmal? – Wlepiłam w męża pełne satysfakcji spojrzenie i oznajmiłam do słuchawki: – Skąd, przeszło mu całkowicie i teraz nawet gatki każe sobie krochmalic.

Przerażony wizją – trudno stwierdzić, czy tygodnia z matką, czy może wykrochmalonych na sztywno bokserek – Marek zerwał się z kanapy i rzucił się do moich stóp.

– Pojadę, pojedę i nawet będę łaził z tobą po tym skansenie – szeptał gorączkowo. – Błagam cię, odwołaj ją!

– Niech mama sekundę poczeka! – zawołałam do telefonu i wyciszyłam mikrofon. Uśmiechnęłam się do męża z triumfem, po czym znów włączyłam urządzenie. – Wie mama co? Marek właśnie wrócił z pracy i oznajmił, że dostał urlop, więc jedzie ze mną. Cudownie, prawda?

Teściowa potwierdziła cudowność zbiegu okoliczności i z ulgą zakończyła rozmowę. Chyba też nie miała ochoty na krochmalenie gaci dorosłego syna.

– Sadystka... – wysyczał Marek.

– Widziały gały, co brały – odrzekłam z szerokim uśmiechem. – Czyli będziesz ze mną chodził po skansenie? Znakomicie! Na pewno polubisz panią Jolinkę, to takie skrzyżowanie Basi i twojej matki, tylko jeszcze bardziej szalone.

Mój mąż zbladł, jakby właśnie dostał postrzał prosto w serce, i na chwilę przestał oddychać.

No proszę, wcale nie potrzebuję trupów, żeby dobrze się bawić!

ROZDZIAŁ 4

Wyróżniamy dwa rodzaje kurpiowskich strojów ludowych: stroje Puszczy Zielonej i Puszczy Białej. Bardziej popularnym i częściej spotykanym jest ten pochodzący z Puszczy Zielonej. Obecnie stroje ludowe z Kurpiów można obejrzeć na występach zespołów pieśni i tańca, np. Kurpiowszczyzna czy Myszyniec, a także w skansenach i muzeach. Coraz częściej ludowe stroje zakładane są na procesję Bożego Ciała.

Wielokrotnie słyszałam, że należy zwracać uwagę na sygnały wysyłane nam przez wszechświat, jak choćby spadająca tuż przed nosem doniczka, zbagatelizowana migrena na chwilę przed nieprzewidzianą wizytą teściowej albo niedziałająca zapalniczka, którą usiłujemy zapalić uszkodzoną petardę. Słyszałam – lecz i tę radę postanowiłam zignorować. Idiotka.

Dzień przed zaplanowanym wyjazdem do Nowogrodu zaczął się od ostrzeżenia z góry, a właściwie od całej serii ostrzeżeń, które w żadnym razie nie należały do subtelnych.

– Jasna cholera! Psia kosteczka! – darł się Marek, jakby go złe opętało. – Do stu piorunów, niech to dunder świśnie! Diabli nadali!

Z uznaniem pomyślałam, że jednak najgorzej nie trafiłam, przynajmniej frazeologię ma chłop bogata, niemniej wrzaski o piątej rano nie znajdowały się pośród zachowań społecznie akceptowalnych.

– Czy powinnam zadzwonić do twoich kolegów psychiatrów? – ryknęłam ze złością.

– Pod żadnym pozorem! Oni nie mają pojęcia o pierwszej pomocy! Duszy nie trzeba zszywać!

Mimo chwilowego braku sympatii do małżonka poczułam wyraźne ukłucie niepokoju. Słowo „zszywać” w jego ustach mogło znaczyć tylko jedno, skoro dziwnym trafem przyszycie guzika do koszuli przekraczało możliwości genialnego chirurga.

– Marek? Co się stało?!

Wyskoczyłam z łóżka naga jak mnie natura stworzyła i wpadłam do kuchni, która teraz przypominała rzeźnię. Jasne blaty mebli były udekorowane ciemnoczerwonymi plamami, a mój małżonek, błąd jak płótno, trzymał się za lewy nadgarstek. Z zakrwawionej dłoni na moją nowiutką podłogę krew lała się wartkim strumieniem.

– Chryste Panie, coś ty narobił?!

– Ja? Ja narobił? A kto tak naostrzył te noże? – Musiało być już bardzo źle, bo Marek piszczał jak mała dziewczynka. – Zatamuj to, szybko!

W odróżnieniu od psychiatrów ja z pierwszą pomocą całkiem nieźle sobie radziłam, co stanowiło skutek traumatycznych lekcji przysposobienia obronnego. W środku nocy i na ciężkiej bani potrafiłam zabandażować stopę kłosem wstępującym. Zatamowanie krwotoku w dłoni było zaledwie odrobinę trudniejsze, a w dodatku nie byłam na bani, nie musiałam też zamykać oczu.

– Zawieź mnie do szpitala – oznajmił małżonek, kiedy odcięłam dopływ krwi do palców. – Przeciąłem nerwy, trzeba to szybko zszyć.

No pięknie...

Odrobinę oszołomiona i nieco bardziej przerażonaomal nie wybiegłam z domu nagusieńka, chwytając jedynie klucz do samochodu. Na szczęście przed drzwiami zerknęłam w lustro – dzięki bogom za kobiecą próżność! – i w ostatniej chwili zawróciłam do łazienki. Nie miałam pod ręką niczego poza piżamą, ale zawsze to lepiej niż listek figowy, zwłaszcza jeśli się go nie posiada.

– Wstydu mi narobisz! – jęknął Marek na widok flanelowej garsonki w kolorowe gwiazdki.

– Nie będzie większy niż ten, że pan doktor nie potrafi ukroić chleba – odburknęłam z urazą. – Zresztą ja wcale nie zamierzam wysiadać z samochodu, chyba znasz drogę na SOR?

– Nie poczekaś na mnie? – zdumiał się mój odwrotnie zdolny małżonek.

– Mogę poczekać, ale wówczas na wyjazd zabierzesz ze sobą tylko to, co będziesz miał na sobie, a ja twoich gaci nie zamierzam prac w rękach.

Nadaśany pan chirurg obwiązał rękę lnianą ściereczką, zapewne w trosce o tapicerkę w samochodzie, i łaskawie udał się na parking. Ja podążyłam za nim i na parterze o mały włos nie znokautowałam sąsiadki.

– O Boże, ale mnie pani wystraszyła! – Kobieta, o której wiedziałam tylko tyle, że tu mieszka, złapała się za serce.

– Najmocniej przepraszam, bardzo się śpieszę, muszę zawieźć męża do szpitala.

– Rozumiem, rozumiem... – Pokiwała głową z wyraźnym politowaniem. – Przez te nocne harce panu doktorowi się zasnęło? Ach, młodość...

Nie wiem, co odmalowało się na mojej twarzy wyraźniej: szok czy zniesmaczenie, lecz sąsiadka w mig zrozumiała, że powinna była zachować przemyślenia dla siebie. Kątem oka zobaczyłam zabandażowaną rękę Marka machającą na mnie z parkingu, ograniczyłam się więc do wrogiego parsknięcia i pobiegłam do samochodu. Dopiero po jakimś czasie dotarło do mnie, że ta kobieta, o której nic nie wiedziałam, zdawała się wiedzieć zadziwiająco dużo na temat mojej rodziny. A do tego była bezwstydną podsłuchiowniczką!

Zostawiwszy Marka na parkingu szpitala, w którym pracował, z impetem ruszyłam z powrotem do domu – jak matka spod szkoły pierwszego września, szczęśliwa, że po raz pierwszy od wielu tygodni pozbyła się słodkiego ciężaru na kilka godzin. W myślach przetrząsałam zawartość szafy, mierzyłam objętość walizek i planowałam dobór obuwia do sukienek, które zamierzałam zapakować. Pierwsze ostrzeżenie opatrności nie zrobiło na mnie najmniejszego wrażenia, w końcu szwy na dłoni w żadnej mierze nie wpływają na zdolność przemierzania skansenu na nogach, uznałam więc wypadek małżonka za zaledwie drobną niedogodność. Niestety, siły wyższe miały inny plan.

Szary volkswagen znalazł się we wnętrzu mojego samochodu pomiędzy jednym a drugim uderzeniem serca. Mojego serca, które nagle znalazło się na wysokości trzeciego migdałka, skutecznie blokując głos. Przerażliwy chrzęst giętej blachy nie dotarł do mózgu, a to, że drzwi od strony pasażera ni stąd, ni zowąd przybrały kształt paraboli, zarejestrowałam z dużym opóźnieniem – zaraz po tym, gdy samochodem obróciło i jedynie cudem nie wpakował się w latarnię po przeciwnej stronie ulicy. Prawdopodobnie straciłam na chwilę przytomność, znokautowana wybuchającą poduszką powietrzną.

Przybyła na miejsce policja stwierdziła, że ewidentnie stałam się sprawczynią kolizji, ponieważ kierujący volkswagenem miał pierwszeństwo. Niewątpliwie ktoś musiał nade mną czuwać, bo powinna była zostać ze mnie miazga. Karetki nie wzywano, bo wyszłam z pojazdu o własnych siłach, a sanitariusze wybiegli ze szpitala w kapciach i przetransportowali mnie na oddział ratunkowy.

– Czy wyście dzisiaj postanowili się pozabijać?! – ryczał na mnie Paweł, lekarz dyżurujący, a przy okazji kolega Marka. – Niewiele brakowało, a twój mąż straciłby dwa palce, bez nich kariera chirurga pognałaby do lasu. Nie ruszaj głową, trzeba ci najpierw zrobić rentgen, po to masz kołnier! Co w was wstąpiło?!

Pytanie było tyleż zasadne, co idiotyczne – przecież żadne z nas nie planowało samobójstwa. Są ku temu przyjemniejsze metody. Nie mówiąc już o tym, że skasowanie samochodu męża i sabotowanie własnej kariery to raczej ostatnie rzeczy, jakie ludzie robią z własnego wyboru.

– Nie krzycz na mnie, bo mnie wtedy bardziej boli – jęknęłam, starając się trzymać głowę sztywno, co wcale nie było łatwe, kiedy mój rozmówca chodził w tę i z powrotem, a ja leżałam unieruchomiona.

– I będzie boleć! A w dodatku będzie ci przyjemnie cieplusio, kiedy w środku lata będziesz nosić elegancki gorsecik.

O zgrozo...

– A bez niego się nie da? – zapytałam bez grama nadziei. – Będę się pilnować.

Paweł prychnął pogardliwie i zabrał się do oglądania pozostałych części mojego ciała. Na całe szczęście zadrapania i siniaki były niegroźne.

– Miejmy nadzieję, że nie doszło do wstrząśnienia mózgu, ale i tak chciałbym cię zatrzymać na obserwację.

– Wykluczone! – Spróbowałam się unieść i poczułam przeszywający ból w miejscach, gdzie w ciało wrznąły się pasy. – Jutro jadę do Nowogrodu, mowy nie ma, żebym teraz kładła się do szpitala! Wiesz, że ich nienawidzę.

– Najwidoczniej siebie nienawidzisz bardziej, skoro zdrowie jest mniej ważne niż jakiś wyjazd – odparł rozgniewany Paweł.

Znał mnie wiele lat i dobrze wiedział, że zatrzymanie mnie w szpitalu to trudna sprawa. Możliwe, że przeszło mu nawet przez głowę użycie któregoś anestetyku, ale na szczęście pielęgniarka oznajmiła, że wyniki badań są już gotowe.

Prześwietlenie nie wykazało żadnych groźnych urazów, więc nie było medycznych podstaw do hospitalizacji, pojawił się jednak problem z transportem. Samochód, który i tak nie nadawał się do poruszania po drogach, został zabrany przez pomoc drogową, a ja byłam ubrana w piżamę i nie miałam przy sobie niczego poza kluczami do mieszkania. Ani telefonu, ani portfela – kompletnie nic.

– Wrócisz karetką – oznajmił Paweł, kiedy wyłuszczyłam mu sprawę. – Marek też zaraz będzie mógł wracać, pojedziecie razem.

O masz! W tym całym zamieszaniu zapomniałam o Marku. Dopiero teraz dotarło do mnie, że najgorsza przeprawa wciąż przede mną.

– A nie możemy wziąć dwóch osobnych ambulansów? – zapytałam z nikłą nadzieją w głosie. – Ja pojedę pierwsza, a jego trochę przetrzymaj.

– Żaden problem, możesz sobie wybrać limuzynę – wycedził. – Ty się chyba naprawdę mocno uderzyłaś w głowę, to nie jest firma taksówkarska!

– Przecież on mnie zabije! Ten samochód to było jego oczko w głowie, jego miłość... – Nagle poczułam lodowaty pot płynący mi po plecach. – Jeżu w jeżynach, czym my pojedziemy do Nowogrodu?

Paweł patrzył na mnie z coraz większym zdumieniem.

– Gosiu... – zaczął miękko, przysiadając na stołeczku obok mnie. – Zdajesz sobie sprawę, że uczestniczyłaś w niebezpiecznym wypadku i tylko cudem wyszłaś z niego w jednym kawałku? Może to znak, że powinnaś odpocząć, a do tego całego Nowogrodu pojedziesz kiedy indziej.

– Ale ja nie mogę jechać kiedy indziej, pani Jolinka na mnie czeka. I muszę książkę napisać, materiały same się nie zbiorą.

– Daj sobie czas na rekonwalescencję – obstawał przy swoim lekarz. – Poczujesz się lepiej i pojedziesz.

– Czuję się znakomicie! – oznajmiłam i poderwałam się z leżanki. Moja mina musiała przeczyć wypowiedzanym słowom, choć ze wszystkich sił starałam się nie krzywić.

– Wariatka... – Paweł pokręcił głową ze smutkiem. – Rób, jak uważasz, ale żeby to się nie skończyło jakąś tragedią.

– Złego licha nie bierze – odparłam z przekonaniem. – Proszę przygotować wypis, doktorze, i jadę do domu.

Wciąż kręcąc głową, a na dokładkę mrużąc coś pod nosem, lekarz zajął się przygotowaniem dokumentów. Ja w tym czasie posłusznie wykonywałam jego zalecenie, czyli leżałam bez ruchu, gapiąc się w sufit. W głowie zaś kłębiły się myśli, pośród których prym wiodła jedna: w jaki sposób przekonam Marka do podróży na Kurpiowszczyznę transportem publicznym?

ROZDZIAŁ 5

Do czasów I wojny światowej na terenie i w okolicach Kurpiów Zielonych działało wiele amatorskich lub rzemieślniczych warsztatów bursztyniarskich. Wykonana w latach 30. XX wieku melioracja ułatwiła dostęp do dużych pokładów surowca, niemniej zmieniająca się moda i przebrzmiała tradycja doprowadziły praktycznie do zaniku dawnych sposobów obróbki bursztynu. Po II wojnie światowej działało już tylko kilku kurpiowskich bursztyniarzy, wśród nich najsłynniejszy – Wiktor Deptuła z Surowego. Zmarły w 1975 roku artysta był wielokrotnie nagradzany za swoje prace, a jego naszyjniki zdobią do dzisiaj stroje członkiń Państwowego Zespołu Ludowego Pieśni i Tańca „Mazowsze”.

– Bardzo ładnie pan prowadzi ten powóz – pochwaliłam kierowcę ambulansu, za co zostałam zgromiona wzrokiem przez małżonka.

Marek pałał żądzą mordu i nawet nie próbował tego ukryć.

Kierujący zerknął w lusterko wsteczne i uśmiechnął się nieśmiało. Pewnie on także miał niezbyt dobre zdanie na temat mojego zdrowia psychicznego.

Tymczasem mój małżonek milczał zawzięcie, co prawdopodobnie miało być dla mnie dotkliwą karą. Chyba nigdy nie uwierzył w żarliwe zapewnienia, że jak dla mnie mógłby wcale się nie odzywać, bo akurat jego milczenie zupełnie mi nie przeszkadzało. Stwierdziłam, że gdyby nie fakt, że samochody to towar raczej luksusowy, rozbijałabym je częściej, żeby mieć święty spokój i nie musieć słuchać jego marudzenia.

Karetka podwiozła nas pod samą bramę, co natychmiast wzbudziło ciekawość sąsiadów. Wszyscy w jednej chwili poczuli potrzebę wyniesienia śmieci. Upewniwszy się, że bez pomocy dotrzemy do mieszkania, sanitariusze ruszyli w drogę powrotną, a my – dwie cierpiące ofiary losu, w tym jedna w pizamie i stylowym kołnierzu ortopedycznym – poczłapaliśmy schodami w górę. Nie zdążyliśmy nawet dotrzeć do półpiętra, kiedy drzwi mieszkania na parterze otworzyły się z cichym skrzypnięciem i wyjrzała zza nich głowa sąsiadki, tej samej, którą spotkałam wcześniej.

– A cóż to się stało panu doktorowi?! – zapytała z wyraźnym przejęciem.

Marek zatrzymał się raptownie, przez co omal nie wpadłam na jego plecy, po czym odezwał się zaskakująco miłym tonem:

– A, takie tam, drobne niedogodności.

Kobiecina, wyglądająca na znużoną emeryckim spokojem, zmrużyła oczy i spojrzała na kołnierz zdobiący moją szyję.

– Ja od dawna panu doktorowi powtarzam, że ta pańska żona to same kłopoty! – oznajmiła jadownicie. – Jak nie wizyty policji, to przemoc domowa.

Już otwierałam usta, żeby powiedzieć sąsiadce, co myślę o jej impertynencji, ale Marek pociągnął mnie za rękaw, wzrokiem nakazując milczenie.

– Proszę się nie przejmować, pani Janinko, wypadki się zdarzają – zapewnił z uśmiechem.

Do mnie prawie nigdy tak się nie uśmiechał, chyba że akurat naszło go na romantyczne uniesienia.

– Ja tam swoje wiem, a pan doktor niech pamięta, że rozwody są dla ludzi – rzuciła oschle sąsiadka, posyłając mi wrogie spojrzenie. Następnie odwróciła się na pięcie i zniknęła za drzwiami, po czym trzasnęła nimi z hukiem.

Nadmiar wrażeń zaczynał przyprawiać mnie o zawroty głowy. Co to właściwie miało znaczyć? Czym ja tej kobiecie podpadłam? I jakim cudem nie podpadł jej mój mąż?

– Marek...? – zaczęłam, ale zamilkłam natychmiast na widok surowej miny małżonka.

– Nic nie mów, idziemy – zakomenderował, po czym ruszył do góry.

Spuściłam wzrok (spuszczenie głowy skutecznie uniemożliwił mi piankowy gorsecik) i poszłam w ślady męża. Z każdym krokiem rosło we mnie przekonanie, że cisza w karetce była jedynie ciszą przed burzą. Intuicja jak zwykle mnie nie myliła.

– Czy ty postanowiłaś dokumentnie uprzykrzyć mi życie?! – wydarł się na mnie Marek, gdy tylko zamknęłam za sobą drzwi do mieszkania. – Naprawdę aż tak bardzo ci się nudzi, że szukasz adrenaliny na drogach publicznych?

– Co...?

– Cicho bądź!!! – ryczał, jakby wstąpił w niego diabeł. – Najpierw szykujesz na mnie zasadzki w postaci noży ostrych jak skalpel, później rozbijasz mój nowy samochód i latasz w piżamie po moim miejscu pracy. Co ja ci takiego zrobiłem, co?! Nie możesz po ludzku wystąpić o rozwód?!

W pierwszej chwili kompletnie mnie zatkało. Do tego stopnia, że mimowolnie wstrzymałam oddech, wpatrując się w męża, jakbym widziała go po raz pierwszy w życiu. Właściwie, kiedy głębiej się nad tym zastanowiłam, musiałam przyznać, że nigdy nie widziałam go tak wściekłego. Istne wcielenie furii!

Kiedy w końcu zamilkł, a ciszę przerywał jedynie jego przyśpieszony oddech, odzyskałam rezon.

– Chyba nie sądzisz, że omal dałam się zabić tobie na złość? – zapytałam, z trudem panując nad głosem. – Nie bądź aż takim egoistą, kochany, nie wszystko robię z myślą o moim drogim małżonku.

– I w tym sęk! – wykrzyknął i wyrzucił ręce w górę, co prawdopodobnie miało oznaczać, że zabrakło mu już sił do dalszej rozmowy. – Idę się położyć. – To powiedziawszy, ruszył w stronę sypialni znajdującej się na antresoli.

– Marek?

– Czego? – warknął, nie odwracając się.

– Spakuję ci gatki...

– Bardzo dobrze.

Dopiero gdy z góry doleciały mnie regularne dźwięki pochrapywania, zeszło ze mnie napięcie, a równocześnie zaczęłam odczuwać skutki wypadku. Bolało mnie dosłownie wszystko, włącznie z włosami, a nogi stały się ciężkie, jakby były z ołowiu.

Usiadłam na kanapie, podparłam plecy twardą poduszką i zamknęłam oczy. Co za dzień... Co za koszmarny poranek.

Wibrowanie telefonu wyrwało mnie z zadumy. Z trudem podniosłam się z sofy i wykonałam trzy kroki do stołu, na którym leżał brzęczący wynalazek szatana. Miałam nadzieję, że dzwoni Alicja, stęskniona za matczynym głosem, przeczuwająca lawinę nieszczęść, jaka zasypała jej rodziców, ale gdzie tam, płonne nadzieje. Widocznie dałam jej zbyt dużo pieniędzy, żeby obudzić niegasnącą miłość do matki...

– Spakowana? – zaszczębiotała Barbs z głośnika.

Musiałam włączyć tryb głośnomówiący, inaczej nie byłabym w stanie utrzymać telefonu przy uchu.

– Raczej zapakowana. W kołnierz ortopedyczny – odrzekłam z niechęcią. – Wypadek miałam, ale będę żyć.

– Jaki wypadek? Co się stało?

– Jakiś gamoń w volkswagenie nie wziął poprawki, że z podporządkowanej wyjeżdża samochód prowadzony przez blondynkę, i się we mnie wkomponował.

– To faktycznie gamoń – przyznała Basia. – Każdy głupi wie, że przy blondynce na podporządkowanej trzeba brać poprawkę i zachować szczególną ostrożność.

– Otóż to! – zgodziłam się z ożywieniem i niechący kiwnęłam głową. – Auuu! O matko, co za draństwo.

– Ale nic ci nie jest? W ogóle to gdzie jesteś? W szpitalu? Mam cię stamtąd odbić?

Przynajmniej ona знаła moje uczucia do placówek służby zdrowia.

– W domu jestem, muszę się spakować. I kupić bilety – dodałam z goryczą. – Do Ostrołęki pociągiem i stamtąd pokaes?

– Z Warszawy do Ostrołęki, stamtąd do Łomży, a z Łomży do Nowogrodu – poprawiła mnie moja zapasowa pamięć. – Przesiadałyśmy się trzy razy.

Jęknęłam głośno na samą myśl o tych przymusowych przystankach. Przez moment nawet błysnęła mi myśl, że może jednak powinnam odwołać wyjazd, ale diabelski podszept szybko się jej pozbył.

– No trudno – zawyrokowałam. – To będzie prawdziwa przygoda. Jak za dawnych czasów.

Basia zgodziła się ze mną skwapliwie, choć odniosłam wrażenie, że cieszy ją, iż to nie ona będzie mi towarzyszyć. Upewniła się tylko, czy na pewno czuję się na siłach, po czym zakończyła rozmowę, zaczynając równocześnie inną, prawdopodobnie z kimś z pracy.

Trzy przesiadki odrobinę mnie przerażały. Oczywiście osiemnaście lat temu mogłam przesiadać się i dziesięć razy, byleby czuć ekscytujący dreszczyk przygody, jak najmniej wydać na bilety i jak najdłużej znajdować się poza domem, lecz to było kiedyś, w zupełnie innym życiu.

Otworzyłam komputer, żeby zająć się rezerwacją biletów, kiedy telefon znów zawibrował, a na wyświetlaczu pojawiła się ikona wiadomości.

„Uważaj na trupy, kicia ;)”

Bardzo śmieszne.

ROZDZIAŁ 6

Wspaniałą tradycją i zarazem świętem kurpiowskim jest tzw. Miodobranie Kurpiowskie. Odbywa się ono na leśnej polanie w Zawodzi koło Myszyńca.

Marek przespał niemal całe popołudnie i znaczną część wieczora, co było zarówno zrozumiałe – naszprycowali go środkami znieczulającymi po kokardę – jak i pożądane, mogłam bowiem w spokoju organizować podróż. Kiedy więc mój niewątpliwie pokrzywdzony przez życie (w tym nieodpowiedzialną żonę) wybranek zaszczyił mnie swoją naburmuszoną obecnością, za oknami robiło się szaro, a ja walczyłam z zepsutym suwakiem w walizce.

– Nie pakuj mi tej koszuli, ma małe guziki i jedną ręką ich nie zapnę – mruknął do mnie z wyższością, wynikającą głównie z tego, że on stał, a ja siedziałam na niskim stołeczku.

– Niczego nie będę wypakowywać, najwyżej jej nie założysz – warknęłam. – Poza tym koszule można nosić rozpięte, jeśli pod spód włoży się gładką koszulkę.

– Sama sobie noś rozpięte – zachnął się mister elegancji.

– A proszę bardzo, z ogromną przyjemnością. Trzeba było wcześniej mówić, że mogę latać z bufetem na wierzchu.

– Do stu piorunów, jak ty mnie wkurzasz, kobieto! – zirytował się leworęczny inwalida.

– Z pewnością nie tak bardzo jak ty mnie. – Udało mi się wreszcie pokonać uparty suwak i walizka została zapięta. Choćby miało się okazać, że zapomniałam spakować bieliznę, nie zamierzałam jej otwierać, a na podróż powrotną zakleję klabzdron taśmą izolacyjną. – Bilety kupione, taksówka zamówiona, ruszamy jutro skoro świt, a kolację zjemy już w Nowogrodzie – oznajmiłam.

– A obiad?

– Obiadu nie będzie, uznaj to za post przerywany. Dostaniesz kanapki z jajkiem do pociągu, a przy dobrych wiatrach przekąsisz coś w warsie.

Żałowałam, że nie mam pod ręką telefonu, bo minę Marka bezwzględnie należało sfotografować. Dałabym sobie uciąć rękę, dwie nawet, że zaczął żałować swojego wyboru i z radością nosiłby wykrochmalone przez mamusię reformy, byleby nie musiał nigdzie jechać, a już na pewno nie na obóz odchudzający.

Muszę jednak przyznać, choć nie wiem, w jakim stopniu wpłynęły na to anestetyki podane mi w końskiej dawce, że ojciec mego jedyne dziecko zaskoczył mnie, nie dając powodu do kolejnych uszczypliwości. Zawziął się w sobie, stłumił buchające wszystkimi porami emocje i z godnością zaakceptował plan podróży. Za godność zaś należy uznać ostentacyjne włączenie telewizora i oddanie się oglądaniu meczu piłki nożnej.

*

Kierowca ubera, który wiozł nas na dworzec, prawdopodobnie całą drogę modlił się o to, żebyśmy przypadkiem nie zrobili mu krzywdy, co wywnioskowałam z nerwowych zerknięć we wsteczne lusterko. Właściwie nie ma czemu się dziwić – ja posiniaczona, podrapana i w kołnierzu ortopedycznym, Marek z ręką na temblaku. Pewnie biedny Tahir myślał sobie, że jesteśmy jedną z par, które nie lubią nudy w związku.

Pociąg Intercity stał już na peronie, co przyjąłam z ulgą. Zgodnie jednak z odwiecznym prawem natury weszliśmy na peron od niewłaściwej strony, w związku z czym musieliśmy przejść niemal całą jego długość, żeby dotrzeć do jedyne w składzie wagonu pierwszej klasy. Marek stękał przy tym

niemiłosiernie, ponieważ w walizce co chwilę blokowały się kółka, a sakwojaż ważył dobre dwadzieścia pięć kilo.

– Czegoś... ty... tam... napakowała?! – sapał jednoręki tragarz, czerwony i spocony jak prosiak na ruszcie.

– Same potrzebne rzeczy – zbyłam go.

Nie było sensu wdawać się w dyskusję, która niechybnie zakończyłaby się stwierdzeniem, że czytnik e-booków waży mniej niż dwadzieścia tomiszczy w twardej oprawie. Też mi odkrycie! To, że owe tytuły nie występują w formie cyfrowej, do lekarskiego mózgu mojego małżonka nie docierało.

Do przedziału, w którym cztery z sześciu miejsc były już zajęte, zapakowaliśmy się jako ostatni, zmuszając tęgą kobietę, mniej więcej siedemdziesięcioletnią, do opuszczenia przydzielonego nam miejsca przy oknie. Nie była z tego powodu zadowolona, przez chwilę nawet próbowała udawać niedosłyszącą. Marek nie dał się na to nabrać, a raczej przechytrył ją, sięgając do znanej od tysięcy lat komunikacji niewerbalnej. Pomachał energicznie zdrową ręką, pokazując to na siebie, to na tabliczkę z numerem fotela, i w końcu staruszka musiała skapitulować. Zadowolony małżonek natychmiast klapnął na wygrzane siedzisko, zupełnie nie zważając na nadąsaną minę sąsiadki.

Z uwagi na chwilową niepełnosprawność męża ułożenie walizki na półce na bagaże spadło na mnie, na szczęście kobieca solidarność odezwała się w pozostałych trzech współpasażerkach (nadąsana ani myślała się ruszyć) i zespołowo udało się nam ulokować klabzdron nad głowami.

– Kto to widział takie ciężary dźwigać! – oburzyła się siwowłosa i wyjątkowo wysoka kobieta, zajmująca miejsce tuż przy drzwiach, obok nadąsanej.

Tylko dzięki jej wzrostowi rzeczony ciężar nie spadł nam na głowy.

– A, widzi pani, małżonek w ostatniej chwili postanowił mi udowodnić, że równouprawnienie ma swoje wady – wyjaśniłam z cierpiętniczą miną.

Cztery pary oczu spoczęły na Marku, który zdawał się w ogóle nie zwracać na nas uwagi. Umiejętność wyłączania słuchu opanował do perfekcji w dniu, w którym wróciliśmy do domu z rozdartym noworodkiem. Mogłybyśmy teraz odśpiewać całą arię, a on pozostałby niewzruszony. Chyba że śpiewałybyśmy nad wyraz ładnie, to może by się ocknął.

– A co to w ogóle się stało? – zainteresowała się moja bezpośrednia sąsiadka, wypisz wymaluj profesor Snape w wykonaniu Alana Rickmana.

– Nie uwierzy pani – odparłam z szelmowskim uśmiechem. – Prawie odciął sobie palec. Krojąc bułkę.

– O masz! – Wysoka i siwa chwyciła się za obfity pierś i wytrzeszczyła orzechowe oczy. – Pewnie jakiś artysta, z nożami nieobyty?

– Ależ skąd, ordynarny chirurg – odrzekłam beznamiętnie.

– A pani...? – Naburmuszona nagle postanowiła wziąć udział w rozmowie. – Co pani się stało? Chyba nie... – Zerknęła porozumiewawczo w bok.

– Nie, nie, nic z tych rzeczy – zapewniłam z uśmiechem. – Miałam wypadek samochodowy i właśnie dlatego jedziemy tu teraz z paniami.

– A dokąd? – zainteresowała się ta siedząca naprzeciwko siwej wysokiej pani w rogowych okularach zawieszonych na łańcuszku z drobnych perełek.

Ubrana była w schludną, grafitową garsonkę o klasycznym kroju, przez co natychmiast skojarzyła mi się z nauczycielką.

– Docelowo do Nowogrodu, na Kurpiowszczyznę, a tym pociągiem do Warszawy – oznajmiłam.

Moja odpowiedź nie wiedzieć czemu wyraźnie je usatysfakcjonowała i zaraz każda zaczęła mówić o swojej destynacji. Wysoka wybrała się do siostry mieszkającej w Koluszkach, ta o aparycji profesora Snape'a jechała do stolicy, tak samo jak nadąsana, a nauczycielka zmierzała do Łodzi.

Pociąg ruszył niemal punktualnie, co należało odnotować w annałach historii, a następnie wysłać Polskim Kolejom Państwowym porządną bombonierkę. W naszym wyraźnie sfeminizowanym przedziale zawiązywały się przyjaźnie. Co chwilę któraś z kobiet wykrzykiwała radośnie: „W Pabianicach? Mam tam ciotkę!” albo: „Miałam kuzynkę, która mieszkała na Bałutach, może pani ją znała?”. Jedyne Marek siedział wciąż w tej samej pozycji, ze wzrokiem utkwionym w ekranie smartfona, kompletnie niezainteresowany toczącą się rozmową.

– A co w tym Nowogrodzie jest? – zagadnęła mnie nagle nauczycielka, która zdążyła nawet uzyskać tożsamość i nakazała mianować się Danusią. – Zdaje się, że jakieś muzeum? Dobrze kojarzę?

– Bardzo dobrze, pani Danusiu, konkretnie tam jest skansen, kurpiowski. I właśnie do niego się wybieramy.

– Taki kawał drogi do muzeum? – zdumiała się nadąsana.

– Co poradzić? – Rozłożyłam ręce w geście bezradności. – Zachciało mi się książki o Kurpiach, to trzeba jechać na Kurpie.

– Jakby nie można było poczytać innych książek... – mruknął małżonek, zaskakując tym wszystkie pasażerki.

– O, to pan mówi? – zawołała jego sąsiadka.

– A pani słyszy? – odwdzięczył się jej.

– Nie bądź zgryźliwym dziadem! – postanowiłam uciąć tę wymianę docinków.

Mój drugi mąż, należący do gatunku obraźliwych, doktor medycyny, szanowany członek rady medycznej, ojciec niemal dorosłej córki, oderwał wzrok od ekranu telefonu, przebił mnie spojrzeniem na wylot, podniósł się i bez słowa opuścił przedział, w którym zapadła absolutna cisza. Po kilkunastu sekundach zaś wrócił i wycedził, wkładając niebagatelny wysiłek w nadanie swojemu głosowi temperatury panującej w krainie Świętego Mikołaja:

– Bilet. Prześlij. Na maila.

Następnie zamknął drzwi i zniknął w głębi korytarza, kierując się ku tylnej części pociągu. Domyśliłam się, że zmierza do wagonu restauracyjnego. Mógł, oczywiście, udać się do toalety, ale tam raczej biletów nie sprawdzają.

– A to ci historia... – szepnęła profesorowa Snape.

– Jakiś wrażliwy ten pani małżonek – stwierdziła wysoka.

– I niezbyt sympatyczny – dodała Danusia. – Niech pani się nie obrazi, ale wygląda na gbura.

Bardzo chciałam wzruszyć ramionami, ale uniemożliwił mi to kołnierz, przez który czułam się, jakbym była androidem. Ani się obrócić, ani pokiwać szyć...

– Przejdzie mu – odparłam. – Niech się panie nie przejmują, pewnie jest głodny, bo śniadania nie jadł.

Cztery głowy potaknęły zgodnie, zrozumiałwszy istotę problemu. Kto nigdy nie poznał złości głodnego faceta, ten nic nie wie o życiu.

Od kilku chwil odnosiłam wrażenie, że jestem obserwowana. Trochę to paranoiczne, biorąc pod uwagę, że siedziałam w zamkniętym przedziale z czterema kobietami, z których każda patrzyła na mnie pełnym współczucia wzrokiem. Nie! A jednak nie każda. Żeńska wersja profesora Snape'a przyglądała mi się badawczo.

– Mówiła pani, że czym się zajmuje? – zapytała w końcu, a jej głos brzmiał niemal jak zza grobu.

– Właściwie to nie mówiłam... – odparłam ostrożnie. – Ale to żadna tajemnica, piszę książki. Ot, takie tam czytaśka, żartobliwe kryminały.

– Ha! – wykrzyknęła czarnowłosa inkarnacja koszmaru Harry'ego Pottera. – Wiedziałam, że kogoś mi pani przypomina! Pani Starosta?!

Mogłam zaprzeczyć. Korciło mnie nawet, żeby to zrobić, a zaraz potem czmychnąć z przedziału i dołączyć do małżonka, którego musiałabym, co prawda, obłaskawić, ale nie takie poświęcenia miałam

już za sobą. A jednak próżność i ciekawość zwyciężyły. W końcu, hej!, zostałam rozpoznana!

– Zgadza się – odrzekłam z powagą. – Nazywam się Starosta. Małgorzata Starosta.

I wówczas nastąpiło coś, czego nie przewidziałam w żadnym scenariuszu, a co jak co, ale wyobraźnię mam dość swawolną i rozhulaną. Czarnowłosa upiorzyca podniosła się ze swojego fotela, chwyciła leżącą na półce nad głową torebkę wielkości cinquecento i jęła wyjmować z niej doskonale znane mi przedmioty.

– Czy obrazi się pani na mnie, jeśli poproszę o podpisanie tych książek? – zapytała zupełnie nie swoim, młdłaco słodkim głosem. – Z pozdrowieniami dla Elżuni?

O jeżu w jeżynach, „dla Elżuni”?! Mało brakowało, a parsknęłabym śmiechem, na szczęście w porę ugryzłam się w policzek.

– Z wielką radością! – zapewniłam niemal szczerze, grzebiąc w swojej torebce. Byłam pewna, że nie wzięłam ze sobą różowego pióra, ale w tej branży zawsze należy dbać o pozory. – Bardzo przepraszam, ale chyba zostawiłam imponderabilia w domu. Nie pogniewa się pani, jeśli dedykacje nie będą różowe?

Elżunia bynajmniej nie zamierzała się gniewać, ba! – wyglądała na zachwyconą niespodziewanym uśmiechem losu. Zadowolili ją podpisy w ordynarnym niebieskim kolorze złożone długopisem, który pożyczylam od Danuty.

Gdy ja wymyślałam fikuśne dedykacje i z zaangażowaniem rysowałam serduszka, kwiatuszki i inne bzdetki, moje współpasażerki oddały się zażartej dyskusji na temat tego, czy należy, a może wcale nie trzeba być zaznajomionymi z moją twórczością, czy Sienkiewicz wielkim pisarzem był oraz jak tragicznie przedstawia się jakość współczesnej literatury. Na tę właśnie scenkę rodzajową trafił konduktor.

– Dzień dobry, miłym paniom, proszę przygotować bileciki do kontroli.

Został mi do podpisania tylko egzemplarz Kto zabił mamusię?, więc chciałam dokończyć i dopiero wtedy wylegitymować się biletem. Konduktor tymczasem odebrał moje działanie opacznie.

– Halo, halo, droga pani, bilecik!

– Już, już, momencik, muszę skończyć.

– Najpierw bilecik.

– Najpierw skończę.

– Łaskawa pani, proszę pokazać bilet.

– Nie może pan poczekać trzech sekund? – zezłościłam się, bo ze stresu zawijas przy „S” wyszedł mi krzywo.

W tym momencie rozległ się absolutnie przerażający dźwięk, syk, krzyk i nagle znalazłam się na kolanach nadąsanej, a konduktor na moich plecach.

– Co się dzieje?! – wrzasnęła chuda.

– Rany boskie, pozabijają nas!!! – wydarła się wprost do mojego ucha nadąsana.

– Proszę nie panikować! – dyszał konduktor, spanikowany niepomierne.

Nasze ciała wciąż pozostawały we władaniu sił fizyki, uszy nieustannie pękały od jazgotu i sygnału pociągu, a ludzie coraz głośniej krzyczeli.

Coś się stało, nie ulegało to najmniejszej wątpliwości.

ROZDZIAŁ 7

Wielość odmian i barw bursztynu, którym nadawano pięknie brzmiące nazwy, jak np. cacko, ognik, łaciaty, kapuściak czy z wścibkiem, skłaniała Kurpiów do snucia bajek o jego pochodzeniu. Najpowszechniejsza stała się opowieść o potopie – zgodnie z nią bursztyn powstał z łez ludzi, którzy zginęli podczas kataklizmu. Łzy małych dzieci zamieniły się w bursztyn jasny, przejrzysty, łzy grzeszników pokutujących – w ciemniejszy i przymglony, zaś łzy „bezbożników, opojów i bluźnierców” – w czarny. Dlatego z ciemnego i czarnego bursztynu do niedawna nie wolno było wykonywać biżuterii, ponieważ uważano go za „diabelski”.

– Szanowni państwo, z powodu nieprzewidzianych okoliczności nastąpiło całkowite i nieplanowane zatrzymanie pociągu. Ze względów bezpieczeństwa prosimy o pozostanie na miejscach. Prosimy także o stosowanie się do zaleceń drużyny konduktorskiej. – Taki komunikat usłyszeli pasażerowie feralnego pociągu Intercity.

Pierwszym zaleceniem drużyny konduktorskiej było pozostanie na miejscach i niesianie defetyzmu. Dobre sobie.

Skład stał w szczerym polu i gdyby nie otaczające nas połacie kukurydzy, można by śmiało pokusić się o skojarzenia z najbardziej znaną powieścią Agathy Christie. Chociaż – jak widać – mnie ta asocjacja nasunęła się natychmiast i zmaterializowała się w postaci lodowatego potu płynącego wzdłuż kręgosłupa. Z jakiegoś powodu zaczynałam odczuwać niepokój.

– Przepraszam, czy może pan powiedzieć coś więcej? – rzuciłam do konduktora, który marszobiegiem przemierzał korytarz naszego wagonu, a robił to po raz siedemnasty.

– Coś więcej! – odkrzyknął.

– No to klops – stwierdziła wysoka. – Jeśli nic nie mówią, znaczy, że sprawa jest poważna.

– Myśli pani, że pociąg się zepsuł? – Nauczycielka się przeraziła.

– Albo i coś gorszego... – snuła czarne wizje nadaśana, która już przestała się dąsać.

– Matko kochana, byle nie jakaś tragedia! – Profesorowa Snape wyglądała, jakby i ona przypomniiała sobie Morderstwo w Orient Expressie. – Może człowiek wpadł pod koła lokomotywy...

– Albo krowy – podchwyciłam natychmiast, zamiast ugryźć się w język. – A nie, to nie ta trasa.

Z perspektywy czasu przyznaję, że mogło to wzbudzić zainteresowanie moich współpasażerek, choć wtedy ja byłam dogłębnie zdziwiona ich zaskoczeniem.

– Czemu panie tak na mnie patrzają? – zapytałam skonfundowana. – Człowiek pod pociągiem mniej panie rusza niż krowy?

– Skąd się pani wzięły krowy? – dociekała nadaśana.

– To takie niehumanitarne... – dodała nauczycielka.

Niehumanitarne? Człowiek jest w porządku, a krowy niehumanitarne? Ten świat zaczynał schodzić na psy. Krowy znaczy.

– Skoro już muszą panie wiedzieć, to jest to historia autentyczna, autobiograficzna i archaiczna jednocześnie – odezwałam się, nie kryjąc niechęci. – Wiele lat temu, kiedy stawiałam pierwsze kroki w zawodzie pisarki i jeździłam jak nienormalna na wszystkie możliwe targi, festiwale, plenery i bogowie wiedzą gdzie jeszcze, przytrafiła mi się przygoda z pociągiem i krowami w rolach głównych. Wraciałam znad morza i kiedy już niemal witałam się z gąską, w Poznaniu nastąpił zwrot akcji w postaci samobójstwa rozszerzonego w wykonaniu muczącego stada – opowiadałam. – Do dziś nie ustalono motywów

kierujących samobójczynią, łamane na morderczynią, ale pociąg musiał swoje odczekać, zanim miejsce zbrodni zbadano, a następnie uprzątnięto i przywrócono ruch kolejowy.

Fakt, że opisywana sytuacja miała miejsce wiele lat wcześniej, zdystansował mnie tak do krów, jak i do samego wydarzenia. Staralam się jednak unikać podróżyowania na trasie Wrocław–Poznań, a nad morze jeździłam przez Katowice.

– To raczej niemożliwe, żeby tu... teraz... to były krowy – powątpiewała nauczycielka, ale w jej głosie wyraźnie słyszałam napięcie.

Też mi się tak wydawało, niemniej już dawno nauczyłam się niczego nie być pewna.

Intuicja, rozbudzona kilka chwil wcześniej, zaczynała wysyłać mi coraz intensywniejsze sygnały. Ewidentnie ktoś lub coś starało się obrzydzić mi ten wyjazd. Ni stąd, ni zowąd fakty pozornie niemające ze sobą związku jęły składać się w logiczny ciąg zdarzeń. Rozcięta dłoń Marka, skasowane auto, nieprzewidziane zatrzymanie pociągu... Czyżbym zignorowała wolę siły wyższej? A jeśli tak, to jaką cenę przyjdzie mi za to zapłacić?

– Trup! Trup! Trup na torach!!!

Pograżona w zadumie nad ewentualnymi karami od sił nadprzyrodzonych początkowo nie pojęłam sensu słów wykrzykiwanych w głębi składu. Wydawało mi się wręcz, że słyszę je jedynie we własnej głowie, targanej wyrzutami sumienia i pretensjami, słusznymi zresztą. Po kilkunastu uderzeniach serca i mrugnięciach ociężałych powiek dotarło do mnie, że ów mrozący krew w żyłach krzyk rozbrzmiał naprawdę.

– Co? Co się dzieje?! – wychrypiałam, tocząc nieprzytomnym spojrzeniem po twarzach współpasażerek.

– Ten jakiś krzyczy, że trup – wycedziła profesorowa Snape lodowatym tonem, adekwatnym do wypowiedzianych treści.

– Ale jaki trup? Gdzie? Skąd? – wyrzucałam z siebie mechanicznie pytania.

– Zapewne martwy, podobno na torach i najprawdopodobniej skądinąd – rozległo się zza drzwi przedziału.

W pierwszej chwili myślałam, że mam halucynacje. To nie było możliwe. Takie rzeczy nie zdarzają się w normalnym życiu. Zaraz jednak poprawiłam samą siebie: JA nie mam normalnego życia.

– Pan komisarz Bączyński? – jęknęłam głucho. – Co...? A zresztą... Właściwie nie powinnam się niczemu dziwić, prawda? – Machnęłam ręką, skoro głową nie mogłam.

Policjant stanął w rozsuniętych drzwiach, prezentując zdumionym niewiastom swoją godną podziwu sylwetkę.

– Gdybym był choć odrobinę bardziej przesądny, pomyślałbym, że z panią na pokładzie ten pociąg będzie musiał wziąć udział w jakimś zdarzeniu – oznajmił prawie ciepło.

No, może osoby postronne nie doszukałyby się w jego głosie uczuć innych niż wrogość, ale przecież ja znałam go doskonale. Ba! Według mojej teściowej łączył nas płomienny romans, któremu matka Marka żarliwie kibicowała, a więc jakieś iskry musiały między nami przeskakiwać.

– Uwielbiam mężczyzn z poczuciem humoru – oznajmiłam odrobinę zbyt afektownie i wyszczerzyłam się nienaturalnie. – I trochę racji pan ma, komisarzu. Wygląda na to, że wypadki ostatnio się mnie kurczowo trzymają.

Policjant przyglądał mi się badawczo, a jego krzaczaste brwi coraz bardziej zbliżyły się do siebie.

– Ma pani chwilę na rozmowę? – zapytał. – Jeśli tak, chodźmy do warsu, nie będziemy paniom przeszkadzać.

Jęk zawodu rozszedł się po przedziale, a moje serce nieomal stanęło. Nie miałam wątpliwości, że nie o uprawianiu kukurydzy będziemy rozmawiać. Zaraz jednak dotarło do mnie, że ta sytuacja ma także drugą stronę medalu: przecież to jest policjant, mimo że w cywilu, to jednak może wiedzieć więcej.

Psychomachiczne zmagania zakończyły się zwycięstwem diabła, za którego podszeptem podniosłam się energicznie z miejsca, i nie zważając na protesty moich współpasażerek, podażyłam za komisarzem w stronę wagonu restauracyjnego. Byłam pewna, że wszystkie miejsca zastaniemy zajęte, i ogromnie mnie ciekawiło, czy Bączek wyjmie odznakę, giwerę, czy w jeszcze inny sposób wygoni kogoś, żeby zrobić dla nas miejsce. Ku mojemu rozczarowaniu prawda okazała się trywialna.

– Znalazłem ją, panie Marku – rzucił do mojego małżonka, który patrzył na mnie z triumfem.

– To ja byłam poszukiwana? – wyrwało mi się. – I od kiedy jesteście po imieniu?!

– Pan komisarz był tak miły, że poszedł po ciebie, żeby nie narażać mojej ręki na ewentualny szwank – wyjaśnił Marek, a minę miał taką, jakby była to prawda powszechna, z którą dzieci zapoznają się w przedszkolu.

– A jak to się stało, że pan komisarz wyświadcza ci przysługi?

Bączynski stał przy ladzie, gdzie składał zamówienie i najwyraźniej flirtował z ciemnowłosa dziewczyną, która chichotała w ten doskonale znany i niedający się z niczym pomylić sposób. Doskonale znany wszystkim kobietom, które na wdzięczeniu się zjadły zęby, bo taki Marek to potknąłby się o kokieteryjny chichot, a go nie rozpoznał.

Zajęłam miejsce naprzeciwko małżonka i wbiłam w niego surowe spojrzenie.

– Co tu się odjaniepawla? – rzuciłam konspiracyjnym szeptem. – Jakim cudem zakolegowałeś się z Bączkiem? I dlaczego stoimy w środku scenografii do Dzieci kukurydzy?

Marek, cokolwiek by o nim mówić, nie był tak zupełnie pozbawiony rozumu. Zdarzały mu się nawet przebłyski inteligencji na miarę istoty logicznie myślącej i właśnie teraz blaskiem jednego z nich postanowił mnie zalać.

– Komisarz Bączynski, rozpoznawszy we mnie tę rozsądniejszą część naszego stadła, w dodatku pozbawioną największej swojej wady, czyli ciebie, uprzejmie zapytał, czy może dosiąść się do mojego stolika w celu skonsumowania śniadania składającego się z jajecznicy z dwóch jaj i świeżego pieczywa.

Nie, to jeszcze nie była ta część oślepiająca przebłyskiem...

– Rzecz jasna, zgodziłem się na jego towarzystwo – kontynuował tym samym absolutnie bezpłciowym tonem mój przyszły były mąż – gdyż już od pierwszego spotkania miałem go za człowieka rozsądnego i elokwentnego. I bardzo chciałem się dowiedzieć, czy nie wladowałaś się w nowe kłopoty.

Wciąż nie to.

– Mareczku, czy mógłbyś, słoneczko moje najcudowniejsze, przejść do rzeczy?

– Przecież właśnie tam zmierzam – żachnął się. – Musiałem nakreślić okoliczności, żebyś dobrze zrozumiała to, co za chwilę przekażę ci w wielkiej tajemnicy.

– Oczywiście, oczywiście – wymruczałam zniecierpliwiona. – W nic się nie wladowałam, ale ten ktoś na torach już chyba tak. I to nawet dosłownie.

Marek nie docenił mojego poczucia humoru, które – przyznaję – mogło być odrobinę niepoprawne politycznie, tym niemniej od własnego małżonka wymagam więcej wyrozumiałości. Spojrzał na mnie spod byka, głośno sapnął i łaskawie udzielił mi dalszych informacji:

– Co prawda ani razu nie padło wprost nic, co mogłoby skompromitować prowadzone przez komisarza śledztwo, zbyt jest na to rozgarnięty, jednak mój analityczny umysł natychmiast wychwycił fałsz, kiedy mówił, że podróżuje prywatnie.

– Nie ma bagażu – domyśliłam się.

– Za to ma odznakę, legitymację, którą pomachał przed oczami konduktorowi, a zapewne także broń, tylko dobrze ukrytą – dodał Marek, dumny z siebie, jakby właśnie odkrył środek umożliwiający wieczne życie.

– Może taki ma styl – powątpiewałam, rozważając znaczenie jego słów. – I może jedzie na krótko, więc nie potrzebuję bagażu.

– To możliwe, choć mało prawdopodobne. Kręcił w sprawie celu podróży i zachowywał się odrobinę nerwowo.

Zerknęłam ponad ramieniem męża, usiłując przeanalizować mowę ciała przystojnego policjanta. Wcale nie wyglądał na zdenerwowanego, wręcz przeciwnie. Szeroko uśmiechnięty raczył obsługującą go dziewczynę jakąś opowiastką. Opierał się oboma łokciami o ladę, nogi miał lekko rozstawione, biodro fikuśnie zadarte. Nie, to nie była postawa osoby nerwowej – to był najzwyczajniejszy w świecie flirt!

– On prowadzi zalotne rozmowy z pracownicą kolei! – syknęłam, nim zdążyłam ugryźć się w język.

– Zaiste, w dodatku robi to dłuższą chwilę – odparł niewzruszony moim odkryciem Marek. – W związku z tym wniosek nasuwa się sam.

– Dziewczyna mu się podoba? – wycedziłam ze złośliwą satysfakcją.

– Tego nie wiem, ale na pewno chce zdobyć jej zaufanie. Gdyby zależało mu na randce, wziąłby numer telefonu i przeniósł znajomość do sfery prywatnej, a tymczasem on ją urabia na oczach ludzi. Nie sądzisz, że nasz komisarz jest zbyt mądry na to, żeby zachowywać się tak głupio?

Zasadniczo daleka jestem od szafowania wyrokami na temat mądrości czy głupoty ludzi, skoro sama niejednokrotnie udowodniłam, że osoba mądra może zachować się w sposób skrajnie idiotyczny. Gdyby dołożyć do tego hormony, uzyskamy przepis na bombę, która w każdej chwili może wybuchnąć. Jednak po dogłębnym zastanowieniu musiałam zgodzić się z Markiem. Coś w tej scenie rozgrywającej się na moich oczach wydawało się nie pasować. Coś było sztuczne, nie na miejscu. Coś zgrzytało.

– Hmm... Skoro dedukcja tak dobrze ci wychodzi, to co jeszcze odkryłeś? – zwróciłam się do męża, sama nie mogłam bowiem wymyślić kompletnie niczego.

– Nic więcej, to nie byłaby już dedukcja, tylko zgadywanki – odparł rzeczowo. – Najważniejsze jednak, że rzeczywiście nie występujesz w tej sprawie w żadnym charakterze. Co do tego mam całkowitą pewność.

– Oczywiście, że nie występuję! – uniosłam się, straciwszy cierpliwość. – Ale występuje trup!

Ostatnie słowa wypowiedziałam na tyle głośno, że dotarły do uszu komisarza Bączyńskiego, który w następnej sekundzie siedział z nami przy stoliku i beształ mnie jak nieposłusznego dzieciaka. Przyjęłam burę z pokorą, czułam, że tym razem na nią zasłużyłam.

– Gdyby pasażerowie zostali poinformowani o tym, co się dzieje... – podjęłam nieudolną próbę obrony.

– Niewiele by to zmieniło, pani Starosta – syknął policjant. – Pociąg nie ruszy, dopóki nie usuną przeszkody leżącej na torach, a wypuścić nikogo nie można.

– A ta przeszkoda leżąca na torach znalazła się tam... celowo?

– Na razie nic nie wiadomo – uciał chłodno i straciłam nadzieję, że czeokolwiek się dowiem, ale Bączyński najwyraźniej był w wylewnym nastroju, gdyż po chwili dodał: – Prokurator jest już na miejscu, więc spodziewam się, że niebawem będą mogli nas puścić.

– To niewiele wiemy – zawyrokowałam z zawodem w głosie.

– Bo ty to byś od razu chciała wszystko – westchnął Marek. – Imię, nazwisko, zawód, pochodzenie, przebyte choroby wieku dziecięcego, *mortis causa*, motyw.

– A żebyś wiedział! Wyobraź sobie, że pominę któryś element w swojej książce. Przecież czytelnicy żyć by mi nie dali! Co to za trup bez nazwiska?

– Miałem kiedyś pacjenta o nazwisku Zmarlak – odezwał się mój mąż, powodowany nagłym skojarzeniem. – Niestety, zszedł mi na stole, więc już zawsze będę o nim pamiętał...

Kiedy Marek wyskoczył jak filip z konopi z tym zmarłym Zmarlakiem, komisarz drgnął nieznacznie, a przez jego przystojną twarz przemknął delikatny grymas. Niemożliwe, żeby mi się przywidziało, wpatrywałam się bowiem w niego jak sroka w gnat. On jednak zdawał się tego nie zauważać, pogrążony w myślach.

– Dokąd pan się wybiera, komisarzu? – zagadnęłam, starając się nadać swojemu głosowi lekkości.

– Hmm? – mruknął mechanicznie, wciąż wpatrzony w coś lub kogoś za moimi plecami.

– Pytałam, dokąd pan jedzie.

– A, tak. Przepraszam. Do Warszawy.

– Czyżby szykował się awansik? – drążyłam z niewinnym uśmiechem. – A może prowadzi pan jakąś ciekawą sprawę o ogólnopolskim zasięgu?

Teraz miałam pewność, że trafiłam w czuły punkt. Oczy policjanta błysnęły, kąciki ust opadły na ułamek sekundy, jednak Bączyński szybko zapanował nad zdradzieckim ciałem.

– Nie, nie, nic z tych rzeczy – zapewnił z nieszczerym uśmiechem. – Sprawę mam do załatwienia. A państwo, jak słyszałem, jadą po materiał do nowej książki? Kurpie, co?

– To raczej taka... podróż sentymentalna, wie pan? Przy okazji przypomnę sobie to i owo na temat codziennego życia mieszkańców Puszczy Białej. Zamarzyła mi się książka bez trupów i mordów – wyjaśniłam.

– No i masz: Zmarlaki na torach – rzucił Marek. – Równowaga w przyrodzie musi być. Jak nie ma trupa w książce Starosty, to musi być w życiu Starosty.

Bączyński znów się skrzywił na dźwięk nazwiska pechowego pacjenta mojego męża. To z całą pewnością nie mógł być przypadek, a ja prędzej zrezygnowałabym z pisania książek, niż nie dociekała, żeby się dowiedzieć, o co chodziło.

– A właściwie to skąd nazwa „Kurpie”? – zagadnął policjant, zapewne dla odwrócenia uwagi od siebie. – Co ona znaczy? To jakieś regionalne określenie karpi?

Ta nieudolna próba dywersji wzbudziła we mnie litość. Biedny, biedny Bączek, żeby robić z siebie idiotę...

– Kurpie, panie komisarzu, to nazwa wywodząca się od obuwia wykonanego z lipowego drewna. Określenie przylgnęło do mieszkańców Puszczy Białej i Zielonej, a ostatecznie stało się nazwą regionu. Wcześniej tamtejszy lud nazywano Puszczycami – wyjaśniłam z pobłażliwością.

– A pan dokąd?! – Marek chwycił podnoszącego się z krzesła Bączyńskiego. – O nie, nie! Ona teraz nie przestanie gadać o tych Kurpiach, więc siedzi pan tu z nami i słucha, a przynajmniej udaje.

Policjant jęknął cichutko, ale posłusznie powrócił do pozycji siedzącej. Z jego nieszczęśliwej miny wywnioskowałam, że Kurpie interesują go dokładnie tyle samo, co mojego męża, przy czym możliwe, że jego nawet ciut mniej, wszak Marek miał spędzić na Kurpiowszczyźnie najbliższy tydzień.

– Domyślam się, że skoro mieszkali w puszczy, to trudnili się lowiectwem i zbieractwem? – zapytał zrezygnowany, udowadniając niechęć, że słusznie uważaliśmy go za osobę inteligentną i błyskotliwą.

– Też – potwierdziłam. – Ale przede wszystkim trudnili się bartnictwem, jest nawet kilka legend na ten temat. Chce pan posłuchać?

– Nie!!! – wykrzyknęli obaj mężczyźni jednocześnie.

Cóż, zrobiło mi się trochę przykro, ale skłamałabym, twierdząc, że ich reakcja mnie zaskoczyła. Wzruszyłam ramionami i dodałam, chowając żal głęboko w zakamarki duszy:

– No i bursztyniarstwo. Kurpiowszczyzna obfituje w złoża bursztynu, zwłaszcza dorzecze Narwi słynie z tego surowca, i pewnie dlatego w tradycyjnym stroju kurpiowskim znalazły się sznury bursztynowych koralików.

Byłam pewna, że ta informacja zainteresuje Bączyńskiego tak jak mnie wyniki w tabeli Ekstraklasy, ale zaskoczył mnie, wykazując godne podziwu zaangażowanie.

– Bursztyn? Naprawdę? Taki prawdziwy? I dużo go tam jest?

Nawet Marek wydał się zaintrygowany tą nagłą zmianą w postawie policjanta. Przyglądał mu się przez chwilę spod zmarszczonych brwi. Notabene, wyraźnie domagały się one przystrzyżenia.

– Nie wiem, jak to wygląda teraz, ale mogę sprawdzić – odparłam ostrożnie. – Mam ze sobą książkę Jerzego Jastrzębskiego, znamienitego badacza tematu. Przynieść?

Bączyński się zawahał, ale Marek natychmiast głośno wyraził protest, przypominając mi o uszkodzonym zamku w walizce. Rzeczywiście, jej ponowne zamknięcie mogłoby być problematyczne.

– Jeśli pan chce, to sprawdzę później i zadzwonię do pana – zaproponowałam.

Jakby na zawołanie rozległ się sygnał telefonu przytwierdzonego do paska policjanta.

– Przepraszam państwa, muszę odebrać – rzucił komisarz w popłochu, a następnie zerwał się z krzesła i wybiegł z warsu.

Chwilę później na korytarzu rozgorzała awantura, której przyczynę dojrzelśmy za oknem pociągu.

– No tak, niektórym pozwalają wyjść... – mruknęła młoda kobieta siedząca za nami.

– Przecież to glina – pocieszył ją partner.

– Glina, nie glina, palić mi się chce – warknęła dziewczyna.

I po co ona to mówiła? Od dwóch godzin wcale nie myślałam o moim nałogu, a teraz już nie przestanę!

Marek zerknął na mnie z niepokojem, bezbłędnie się domyśliwszy, że zło zostało obudzone. W zamkniętym pociągu, z setkami niewinnych potencjalnych ofiar na pokładzie.

– To może opowiesz mi te legendy o bursztynie – zaproponował.

– O bartnictwie – warknęłam. – Nie ze mną te numery, Starosta, nie dam się omamić twoim nieszczerym zainteresowaniem ludowymi podaniami. Idę! – postanowiłam i podniosłam się z krzesła, zostawiając męża w stanie osłupienia.

Przy drzwiach prowadzących na wolność spotkałam konduktora. Stał niczym bramkarz, gotowy do powstrzymania każdego śmiałka, któremu ubrdało się, że zdoła opuścić blaszane więzienie.

– Mogę pani w czymś pomóc? – zapytał tonem zaczepno-obronnym, zorientowawszy się, że idę wprost na niego.

– Dziękuję, że pan pyta. Owszem, może pan. – Głos mi nawet nie drgnął, podobnie jak powieka. – Muszę natychmiast porozmawiać z komisarzem Bączyńskim.

Czoło kolejarza zmarszczyło się nieznacznie i dostrzegłam wahanie na jego twarzy.

– Proszę otworzyć drzwi, to sprawa najwyższej wagi – nie ustępowałam.

– Zgodnie z procedurami nie wolno mi nikogo wypuścić – odparł, siłąc się na stanowczość, ale jej fundamenty już się chwiały.

– Nie wiem, czy pańskie procedury przewidują postępowanie w sprawach karnych, ale śmiem twierdzić, że zarzuty o utrudnianie śledztwa nie byłyby panu na rękę. – Większość kobiet w sytuacji podbramkowej sięga po niepodważalny argument „bo tak”. Ale najpierw należy spróbować blefu.

– Bzdury pani opowiada – odrzekł z wahaniem. – Prokurator zabronił...

– A czy ten pański prokurator ma pojęcie o sprawie, nad którą pracuje komisarz? – syknęłam na tyle głośno, żeby przyglądający się nam wąsaty jegomość wyraźnie wszystko słyszał. – Bo tak się składa, drogi panie, że ja mam cenne informacje, które natychmiast muszę przekazać panu komisarzowi. I niech bogowie mają w opiece osoby, które staną mi na drodze – zakończyłam dramatycznie.

Poniosło mnie, przyznaję, ale konfabulowanie w zawodzie autorki staje się nieuleczalnym nałogiem i chwilami sama miewam problemy z odróżnieniem fikcji od prawdy.

Wąsaty jegomość przyglądał się nam z wyraźnie rosnącym zainteresowaniem, co speszyciło konduktora nawet bardziej niż moje absurdalne straszaki. Kolejarz otworzył drzwi i ustąpił mi miejsca, a gdy tylko zeskoczyłam na ziemię, zamknął je z łoskotem.

Bączyński stał na skraju pola kukurydzy, odwrócony tyłem do pociągu, a zatem i do mnie, i wydierał się do telefonu, nader intensywnie gestykułując.

– Pociąg został przeszukany, milimetr po milimetrze! – Był wyraźnie rozwścieczony. – Jadę od samego Wrocławia, spuściłem go z oka dosłownie na pięć minut! – Najwyraźniej w odpowiedzi usłyszał jakieś niezbyt miłe informacje, bo kark mu poczerwieniał, uszy niemal płonęły, a po kilkunastu sekundach

wyrzucił z siebie, zachowując godny podziwu spokój: – Z całym szacunkiem, panie komendancie, ale do toalety nie mogłem za nim pójść!

Wyobraziłam sobie Bączka parującego po pociągu za kimś i pilnującego wrót do wucetu z tą giwerą pod pachą. To byłby doprawdy pocieszny widok. Prychnęłam głośno, nie mogąc powstrzymać rozbawienia. Policjant błyskawicznie odwrócił się w moją stronę.

– Co pani tu robi?! – ryknął do mnie, chyba bardziej wystraszony niż wściekły.

Ja również źle znoszę nagłe dźwięki, więc nawet się pogniewałam.

– Przewietrzyć się musiałam. Wie pan, nałóg... – Wyjęłam z torebki papierosy i zaczęłam w niej grzebać w poszukiwaniu zapalniczki. Jak zwykle diabeł ogonem nakrył.

– Przepraszam, panie komendancie, ale mam tu... sytuację – wycedził do telefonu i się rozłączył. – Pani Starosta, nie wolno pani tu być. Wszyscy pasażerowie muszą zostać w pociągu do czasu, aż bezpiecznie dowiezie was do stacji – oznajmił.

– Niech pan to powie temu zmarlakowi na torach – odparłam z papierosem między zębami.

Bączyński niemal podskoczył, a ja nabrałam pewności, że jego prywatny wyjazd do Warszawy jest tak prywatny, jak moja teściowa nie jest wścibska.

– Co pan naprawdę robi w tym pociągu? – zapytałam, wypuszczając dym. – I kim jest ten nieszczęsny samobójca?

– Pani Małgosiu... – westchnął stróż prawa o aparycji bardzo przyjemnej dla oka.

– Oho, zaczyna się. Teraz zagra pan dobrego glinę i delikatnie, acz stanowczo przekona mnie do zostawienia tej sprawy dla mojego dobra.

– Pani Małgosiu, ja naprawdę nie mogę pani niczego powiedzieć, nawet gdybym chciał – mówił tonem głaszcząco-ujmującym.

– Fajnie by było, gdyby jednak zechciał pan pisać słówko o tym tam – skinęłam ręką w kierunku radiowozów policyjnych – bo ludzie zaczynają się niecierpliwic. Wie pan – zniżyłam głos, jako że podobno niższe budzą większe zaufanie – zdecydowanie przyjemniej będzie kwitnąć w nagrzanym puszcze w polu kukurydzy, wiedząc, że tu się dzieją rzeczy, o których potem przeczyta się na Onecie. Albo usłyszy w TVN-ie, w głównym wydaniu wiadomości.

– Myśli pani?

– Jestem przekonana – zapewniłam bez wahania. – Powiedźcie, że był wypadek, człowiek na torach, nogi, ręce porozwalane, trzeba pozbierać, więc trochę to zajmie. A jakby tak jeszcze palaczy wypuścić na dymka...

Bączyński łypnął na mnie dziko, więc natychmiast wycofałam się z tego ryzykownego pomysłu.

– No nie, nie, ma pan rację. Ale jeden wagon możecie zrobić dla palących i po problemie.

– Może ma pani rację – skapitulował wreszcie i ruszył w stronę pociągu. – Tylko błagam panią, niech pani przestanie snuć te swoje teorie i pod żadnym pozorem nie rozpowiada głupot.

– No wie pan co... Za kogo mnie pan uważa?

Odpowiedzi się nie doczekałam, ale może to i dobrze.

Konduktor, wyglądający na skruszonego, otworzył mi drzwi i pomógł wejść. Komisarz wszedł za mną, zaraz jednak ruszył w przeciwnym niż ja kierunku – do przedziału konduktorskiego, jak się domyśliłam.

Marek siedział naburmuszony w warsie i nawet nie podniósł wzroku, kiedy zajęłam miejsce naprzeciwko. Ostentacyjnie uniósł butelkę z piwem, które musiał zamówić pod moją nieobecność, i wydudlił połowę jednym haustem. Upał stawał się coraz bardziej dotkliwy.

Przez chwilę siedzieliśmy w ciszy, patrząc przez okno na monotony krajobraz, aż z marazmu wyrwał nas skrzek głośników, z których po chwili popłynął głos konduktora informujący o sytuacji. Bączyński mnie posłuchał, pasażerowie, odurzeni sensacją, przestali się wściekać, a ja gorączkowo rozmyślałam o powodzie, dla którego ten łebski policjant znalazł się w pociągu. Z podsłuchanego fragmentu rozmowy

wiele nie wynikało, ale coś tam przecież usłyszałam. Kogo pilnował? I dlaczego? I czy trup na torach miał z tym coś wspólnego?

Kiedy powtórzyłam to pytanie w myślach i usłyszałam je wyraźnie, przeklełam moją przyjaciółkę. Niech diabli wezmą jej cholerne poczucie humoru i profetyczny trupi trop!

ROZDZIAŁ 8

Ludowy strój kurpiowski, noszony przez kobiety na odświętne okazje, składa się z kilku elementów. Czółko, czyli okrycie głowy, wykonane jest z tektury oklejonej aksamitną tkaniną, z ozdobami z kwiatów i wstążek. Mężatki zamiast niego noszą płócienne chusty. Kurpianki wkładają płócienną koszulę z obrętionym czerwoną wstążką kołnierzem i wystek, czyli gorset – krótszy z przodu, z dłuższymi klapami opadającymi na szeroką spódnicę, noszoną z zapaską (fartuchem). Zapaskę szyje się z tego samego materiału co spódnica lub z białego materiału z koronkowymi wstawkami. Odświętny strój kurpiowski uzupełniają trzewiki i korale z bursztynu.

Usuwanie „przeszkody” z torów trwało blisko dwie godziny. W tym czasie zdążyłam pokłócić się z Markiem tylko raz, co należy uznać za niebywały sukces. Wiadomo przecież, że przymusowe zamknięcie nie służy małżeństwu.

– Przestań się nad tym zastanawiać, kobieto! – warczał mój ukochany małżonek, kiedy ja snułam kolejne, coraz bardziej absurdatne teorie na temat powiązań nieznanego trupa ze znanym policjantem. – Nie twój cyrk, nie twoje małpy, zajmij się czymś pożytecznym. Po co się w to mieszasz?

– Pomaganie policji jest nie tylko pożyteczne, to też nasz konstytucyjny obowiązek – odcięłam się. Oczywiście „bo tak” załatwiłoby sprawę.

– Pomaganie w czym? Jakoś nie widzę, żeby Bączyński latał po pociągu z fotografią zmarłaka i kazał wszystkim zeznawać, czy go znali, czy nie.

To rzeczywiście miało sens, ale częściowy. Było oczywiste, że zmarlak na torach to ktoś inny niż osoba, której komisarz pilnował, jednak ja uparłam się wiązać te dwie osoby i żadna siła nie była w stanie mnie od tego odwieść.

– No dobrze, panie mądrało, a jak wytłumaczysz to, co podsłuchałam?

Rozmawialiśmy szeptem, lecz i tak zwracaliśmy pewnie na siebie uwagę, choćby samym wyglądem: oboje prosto z SOR-u. Znajomość z policjantem raczej też nam nie pomogła we wtopieniu się w tłum. Nic dziwnego, że siedząca za nami para przysłuchiwała się naszej rozmowie z niegasnącą ciekawością, a obsługująca dziewczyna co chwilę na mnie zerkała.

– Nie wiem, jak wytłumaczę, najpewniej wcale, bo to nie jest moja sprawa! – wysyczał Marek. – Ani twoja, tak gwoli ścisłości, więc zajmij się tymi swoimi Kurpiami, a trupy i przestępców zostaw policji.

– Ale ty jesteś... nudny! – Ten argument też należał do ostatecznych, co oznaczało, że rozmowa została zakończona. Zresztą w samą porę.

Drzwi do wagonu restauracyjnego otworzyły się z impetem, wpuszczając zgrzanego Bączyńskiego.

– Zaraz ruszamy – wydyszał. – Ja będę musiał wysiąść na najbliższej stacji, ale państwu życzę, żeby dalsza podróż przebiegła bez przeszkód.

– I zmarłaków – dodał Marek.

– Powie nam pan, co tam się stało? – zapytałam bez krztyny nadziei.

– Nie mogę podawać żadnych szczegółów. Zapewniam, że nie było to samobójstwo. Ten człowiek już nie żył, kiedy znalazł się na torach.

Rzecz jasna, w tym momencie chciałam zadać komisarzowi całą masę pytań, jednak on, spryciarz, nie dał mi na to szansy.

– Przepraszam państwa, muszę jeszcze coś załatwić – rzucił, wstając od stolika, po czym skierował się prosto do dziewczyny za ladą.

Chwilę poszeptali, ona skinęła głową, a zaraz potem Bączek ulotnił się jak kamfora. Coraz lepiej szkoła tych naszych policjantów – pomyślałam z uznaniem.

Na potwierdzenie słów przystojnego komisarza kilka minut później włączono klimatyzację, co wszyscy przyjęliśmy z niewysłowioną ulgą oraz wdzięcznością, i pociąg ruszył. Do najbliższej stacji mieliśmy niespełna pół godziny.

– Chcesz wracać? – zagadnęłam Marka.

Mnie samej odechciało się tej przygody.

– Bynajmniej – odparł ku memu zaskoczeniu. – Dawno tak dobrze się nie bawiłem, a to dopiero początek. Umieram z ciekawości, co jeszcze nas czeka. Ileż będę miał anegdotek do opowiadania na sali operacyjnej!

Można nie posłuchać sił wyższych raz, drugi to już ryzykanctwo. Jeśli zaś ignoruje się trzecie ostrzeżenie, nie można mieć pretensji do nikogo poza sobą samym.

ROZDZIAŁ 9

Na świecie istnieje tylko 11 jaj Fabergé – wszystkie zostały zrobione z bursztynu w niemieckiej firmie Victor Mayer, która przez 20 lat do roku 2009 wykonywała na licencji jubilerskie dzieła sygnowane marką Fabergé, nawiązując do tradycji firmy z przełomu XIX i XX wieku. Jedno z nich – podobno to najpiękniejsze – znajduje się w zbiorach gdańskiego Muzeum Bursztynu (oddział Muzeum Gdańska) od 1997 roku.

Dotarliśmy do Nowogrodu późnym wieczorem. Na szczęście w ciągu ostatnich osiemnastu lat transport prywatny się rozwinął, dzięki czemu mieliśmy zaledwie dwie przesiadki i w rozsądnych odstępach czasu. Niemniej przygoda kolejowa zrobiła swoje i nie było nam dane odwiedzić skansenu tego dnia.

Na widok hotelu Marek pokręcił nosem, jednak zmęczenie, żeby nie powiedzieć: wycieńczenie, wzięło górę. Ugoszczono nas kolacją, która usatysfakcjonowała mego małżonka na tyle, żeby przestał marudzić. Zresztą kto o zdrowych zmysłach marudziłby na najdoskonalsze kołduny okraszone chrupiącymi skwarkami czy podlaski kartoflak podany z soczystymi żeberkami i kapustką? Pokażcie mi takiego, a zaśmieję mu się w twarz.

Utudzenie trwającą pół doby podróżą, nagromadzenie emocji, a wreszcie obfita kolacja sprawiły, że dopadła mnie bezsenność. Marek zasnął natychmiast, ledwo przyłożył głowę do poduszki, a ja przewracałam się z boku na bok, usiłując uciszyć gonitwę myśli. Tajemniczy zmarlak na torach, jeszcze bardziej tajemniczy ktoś, kogo Bączyński pilnował, samochód w warsztacie, pocięta dłoń Marka – wszystko to kłębiło się w mojej głowie w postaci zapamiętanych lub wyobrażonych obrazów. O spaniu tej nocy mogłam zapomnieć.

Starając się poruszać bezszelestnie jak rasowy ninja, zsunęłam się z łóżka i na palcach podeszłam do walizki. Leżała niezapięta, bo zamek rozpadł się na amen, więc wystarczyło otworzyć ją delikatnie, może jeszcze troszeczkę, ociupinkę... Łup!

Połowa walizy rąbnęła o podłogę, przyprawiając mnie o zawał serca. Zastygłam jak trusia i prawdopodobnie wstrzymałam dech. Podniosłam wzrok na Marka, który poruszył się na łóżku i ni stąd, ni zowąd zaczął krzyczeć:

– To naprawdę nie moja wina! Robiłem wszystko, wszystko, żeby go uratować!

Nie obudził się, wołał przez sen.

Stałam bez ruchu przez kilkanaście sekund, aż jego oddech znów się uspokoił.

– Biedulinek – szepnęłam, wyciągając książkę z dna walizki.

Poza podwójnym łóżkiem w pokoju nie było żadnych mebli, na których można by usiąść, wślizgnęłam się więc z powrotem pod kołdrę i włączyłam latarkę w telefonie, żeby móc czytać. Było to nieco niewygodne, ale wolałam nie sprawdzać, czy aby w lampce nocnej nie zamontowano zbyt mocnych żarówek.

Żółte kartki nabytej w czasach studenckich niewielkiej publikacji dotyczącej nowogrodzkiego skansenu przyjemnie szeleściły pod palcami, gdy pochłaniałam kolejne strony, odświeżając dość już wypłowiałą wiedzę na temat regionu i jego mieszkańców. Niektóre zdania brzmiały znajomo, choć nie potrafiłam sobie przypomnieć, kiedy mogłam je usłyszeć lub przeczytać. Słownictwo trąciło myszką i budziło uśmiech politowania i dziwną nostalgię. Nim się spostrzegłam, w głowie ruszyły koła zębate, odpowiadające za konstruowanie scen fabularnych. Wyobrażałam sobie ludzi uciekających przed chcącymi ich zgermanizować zaborcami, chroniących się w puszczy, żywiących darami natury, podporządkowanych rytmowi przyrody. To tu, na tych ziemiach, rozgrywała się wielka historia, to tutaj

schronił się na chwilę pokonany Napoleon Bonaparte, a kilka wieków wcześniej tutejsze bory zapewniały mięso dla walczących pod Grunwaldem.

Snując historię, którą podsuwała mi wyobraźnia, zorientowałam się nagle, że scenariusz skręcił w złą stronę. Oto pośród łąk zobaczyłam tory kolejowe, a na nich ludzkie ciało. Leżało zupełnie nieruchomo, jakby czekało, aż ktoś je zauważy.

– Cholera jasna! – syknęłam, zła na siebie. – Żadnych trupów, żadnych ciał na torach! To ma być opowieść o miłości!

Marek mruknął coś niezrozumiale i przekręcił się na prawy bok. Jego lewa ręka w ciemności wyglądała, jakby zamiast dłoni wyrosła tam wielka makówka.

Zbliżała się czwarta, kiedy poczułam, że odpływam. Wyłączyłam latarkę, zsunęłam się do pozycji leżącej i niemal natychmiast zapadłam w niespokojny sen.

Oślepiąca intensywnym blaskiem wpadającym przez okno, zasłoniłam oczy przedramieniem, a drugą ręką macałam połowę łóżka, na której powinien znajdować się mój mąż.

– Maruś?

Cisza. Pomijając ptasie trele dochodzące z zewnątrz, w pokoju było cicho jak makiem zasiał.

– Marek? Jesteś?

Albo złośliwie siedział cicho, albo rzeczywiście go nie było. Oba wyjaśnienia uważałam za możliwe w tym samym stopniu.

Jeszcze przez chwilę leżałam, kontemplując tę cudowną ciszę, aż usłyszałam dźwięk otwieranych drzwi i do pokoju wkroczył mój mąż, podśpiewując pod nosem.

– Oooo, w końcu wstałaś! – przywitał mnie z radością, która pasowała do niego jak pięść do nosa. – Śniadanie cię ominęło, śpiochu, a było prima sort!

– Która godzina? – wychrypiałam.

Śniadania wcale nie było mi żal, za to kawy... O tak, kawy potrzebowałam jak kania dżdżu.

– Prawie jedenasta. Słońce już wysoko i grzeje niemiłosiernie.

Tyle akurat sama zdążyłam zauważyć, a nawet przemknęła mi przez głowę myśl, czy aby nie opale sobie niechcący tego przedramienia, którym chroniłam oczy.

– Przyniesiesz mi kawkę? – poprosiłam słodkim głosikiem. – A ja w tym czasie doprowadzę się do ładu. W skansenie pewnie nas już wypatrują.

O dziwo, Marek ochoczo zgodził się spełnić moją prośbę, co wydało mi się dość podejrzanym. W ogóle ten jego radosny nastrój zaczynał mnie zastanawiać.

Sięgnęłam do głęboko ukrytych rezerw silnej woli i wyczołgałam się z łóżka. Dopiero teraz zaczynałam czuć wszystkie siniaki i zadrapania, a szyja bolała mnie przy minimalnym nawet ruchu. Postępując i sycząc jak wściekły ląbędź, wcisnęłam się w szorty i bawełniany T-shirt, który kolorem złał się z moją elegancką ozdobą szyjną, przez co wyglądałam, jakbym w środku upalnego lata chodziła w grubym golfie. Rewelacja...

– Pani zamawiała kawę? – zaświergotał mój mąż, ledwo otworzył drzwi. – Taka jak pani lubi: czarna, mocna i gorzka.

Przejmując kubek, przyglądałam się Markowi z niedowierzaniem. Coś tu ewidentnie się nie zgadzało. Jakby ktoś mi podmienił męża! Gdzie się podział ten gbur, niezadowolony prawie ze wszystkiego i marzący jedynie o tym, żeby dano mu święty spokój?

– Maruś, a u ciebie wszystko w porządku? – zapytałam łagodnie, zanurzając usta w gorącej kawie.

– W najlepszym, Goni. A dlaczego pytasz?

– A nie, nic, nic, tak diagnostycznie tylko. Czyli nic dziwnego ci się nie przytrafiło? Nie zjadłeś żadnych przysmaczków nieznannej proveniencji, nie piłeś płynów świecących w ciemności?

- Nie przypominam sobie - odparł odrobinę zdziwiony. - A ty dobrze się czujesz? Że mnie podejrzewasz o picie luminoforu?

Uśmiechnęłam się niewinnie i pociągnęłam zbyt duży łyk kawy, parząc się przy tym dotkliwie. Ta konwersacja prowadziła donikąd, ale postanowiłam obserwować Marka uważnie. Bardzo uważnie.

- Chodźmy - zarządziłam, dopiwszy napój bogów. - Pani Jolinka czeka!

Kiedy w hallu mijaliśmy recepcjonistkę, odniosłam wrażenie, że dziewczyna uśmiechnęła się nieznacznie, a na jej policzkach wykwitł rumieniec. Nie widziałam miny Marka, to już nie te czasy, żebym wodziła za nim cielęcym wzrokiem, ale kiedy na niego spojrzałam, wyglądał całkiem zwyczajnie. Dziwne rzeczy działy się w tym hotelu...

ROZDZIAŁ 10

Męski strój kurpiowski to biała płócienna koszula noszona z jaką (lub lejbikeim), czyli czerwoną krótką kurtką z czarną lamówką. Pod szyją mężczyzna wiąże wstążeczkę (faforek), a na głowie nosi grzybek, czyli niski kapelusz ozdobiony wstążką i kwiatami. Jasne spodnie wpuszcza się w wysokie skórzane buty. Starsi Kurpiowie wkładali kiedyś dodatkowo wełnianą sukmanę, rozszerzająca się od pasa w dół.

Gdy tylko dostrzegłam zarys zabytkowego dworu we wsi Brzózki, serce załomotało mi tak mocno, że omal nie wyrwało się z piersi. Natychmiast wróciły wszystkie wspomnienia: nieodpowiedzialne bieganie po stromej skarpie w japonkach, zakończone uszkodzeniem obuwia i kostki w prawej nodze, wypicie zbyt wielu piw w karczmie w czterdziestostopniowym upale, wieczory nad Narwią, kiedy stanowiło się doskonałą pożywkę dla komarów i wszelkiego robactwa. O baziu wierzbowa, jakie to były piękne czasy!

Marek szedł obok mnie i rozglądał się z zaciekawieniem. Byłam pewna, że i na nim to piękne muzeum pod chmurką wywrze wrażenie; może i był betonem, ale potrafił docenić piękno, gdy już je dostrzegł albo ktoś – najczęściej ja – wskazał mu je palcem.

Trzy kamienne schodki, a za nimi ganek, dający schronienie przed prażącym słońcem. Doskonale pamiętałam, jak klóciłyśmy się z Barbs o to, która będzie oprowadzać wycieczki; ta druga mogła w tym czasie uprawiać zaawansowane plotkarstwo w chłodnym pomieszczeniu pracowniczym. Dziwnym trafem to ja wróciłam bardziej opalona.

– Dzień dobry! – rzuciłam do kasjerki obsługującej klientów, a szeptem odezwałam się do Marka: – Nic tu się nie zmieniło, nawet zapach jest ten sam!

– Nie wiem, czy to dobrze, czy źle...

Zanim zdążyłam kopnąć męża w kostkę, drzwi do pokoju, w którym wypaliłam więcej papierosów niż przez całe studia, otworzyły się i stanęła w nich niepozorna pięćdziesięciokilkulatka.

– Pani Jolinka!!! – wydarłam się, jakby mnie osa udziabała.

– Małgonia!!! – A ją musiało udziabac nawet coś większego.

Rzuciłyśmy się sobie na szyje, choć mój ortopedyczny naszyjnik sprawy nie ułatwiał, i ścisaliśmy się, piszcząc jak niespełna rozumu nastolatki na widok muzycznych idoli. Bez trudu wyobrażałam sobie, jak mój mąż na widok tej sceny przewraca oczami, strzela idiotyczne miny i pewnie jeszcze przy tym cmoka z dezaprobatą. Pani Jolinka miała go na linii wzroku i zaraz zapytała, wskazując brodą ponad moim ramieniem:

– A to twoje?

– To niepełnosprawne ruchowo? Niestety, moje.

– No, piękne! – zachwyciła się, wprawiając mnie w osłupienie. – Dorodne takie, testosteron bucha. Naukowiec?

– Lekarz, we flakach grzebie.

Byłam pewna, że Marek nabzdyczył się już tak, że nie tylko testosteron będzie z niego buchać, i odwracając się, spodziewałam się ujrzeć gotowego do ataku byczka Fernando. Jakże zdziwiła mnie rozanielona mina małżonka wpatrującego się z głupawym uśmiechem w panią Jolinę.

– Maruś, nie stój jak naćpany cielak, przywitaj się z panią Joliną.

Maruś omalże strzelił ostrogami, przy czym za owe służyły mu sprzączki w sandałach, dygnął z zaskakującą gracją i rzucił się do obcałowywania rączki pani Jolinki.

– Marek. – Cmok, cmok. – Starosta. – Cmok. – Wielki to dla mnie zaszczyt – cmok – poznać panią.

Jolinka promieniowała z zachwytu i przyjmowała owe hojnie rozdawane całusy z zachłannością, a ja nie byłam w stanie oderwać wzroku od tej absurdalnej sceny. Wrażenie, że przekroczyłam niewidzialną granicę świata Szalonego Kapelusznika, pęczniało z każdą sekundą.

– No proszę, proszę – zaszczębiotała Jolinka. – Wyjątkowo mądrego wyboru dokonałaś, Małgoniu. Bardzo dobrze zrobiłaś, zamieniając na to cudenka tego całego Mieszka.

Ugryzłam się w język, żeby przypadkiem nie wyrecytować: „Zamienił stryjek siekierkę na kijek”, i uśmiechnęłam się blado. Pani Jola i tak nie zwracała na mnie uwagi, wpatrzona w Marka jak w jakieś zjawisko niebiańskie, cud natury i wcielenie bóstwa. Matko jedyna, co tu się działo? Może jednak moja głowa ucierpiała w tym wypadku i to wcale nie była rzeczywistość, a moje ciało leżało w śpiączce we Wrocławiu?

Jolinka ujęła Marka pod zdrową rękę i zaprowadziła go do biura, w którym dwie kobiety wybałuszały oczy nie mniej niż ja. Jedną z nich rozpoznałam – spotkałam ją w trakcie praktyk studenckich, druga wyglądała na dwadzieścia kilka lat.

– Halinko, pamiętasz Małgonię? Studentka z Wrocławia, wszyscy faceci pytali o jej numer telefonu – zaanonsowała mnie Jola. – A to jest Marek, dostał od niej numer telefonu i znacznie więcej, czemu wcale się nie dziwię.

Halina, którą zapamiętałam jako rzutką i stojącą twardo na ziemi babkę, podniosła się z trudem z krzesła. Przez osiemnaście minionych lat nabrała nieco masy, posiwiiała, ale wciąż strzygła się krótko, na męsko, a jej przenikliwe stalowoszare oczy nie straciły ani krzty bystrości.

– No jak mogłabym zapomnieć, pamiętam, pamiętam. Skakała tu jak gazela, aż buciki pogubiła. Ale teraz to słynna pisarka, gwiazda, a nie żadna studentka.

– A jaka tam ze mnie gwiazda, pani Halinko! – zaprotestowałam, oblewając się rumieńcem. Nigdy nie nauczyłam się przyjmować tego rodzaju komplementów i wciąż bardzo mnie peszyły. – Niech pani nie wierzy we wszystko, co w internecie piszą, bo to tylko wierzchołek góry lodowej.

Wyciskałyśmy się serdecznie i dopiero gdy Halina uważnie przyjrzała się mojej opuchniętej twarzy, zwróciła się do Marka:

– Mógłby pan lepiej o żonę dbać, to skarb jest.

– A właściwie to co wam się przydarzyło? – Jolinka postanowiła szybko zmienić temat, bo Halina znana była z ciętego języka.

Szczególnie jeśli w grę wchodziły stosunki damsko-męskie, o których tak Halinka, jak i jej trzy córki, miały ugruntowaną opinię. Niekoniecznie łaskawą dla mężczyzn.

– Drobnym wypadkiem z nożem – odpowiedział Marek. – A małżonka rozbiła samochód.

– Oj, biedactwo! – rozczuliła się Jola. – Bardzo bolało?

Ewidencja nie pytała o mnie, bo patrzyła w oczy mojemu mężowi i głaskała go po przedramieniu. Wielkie nieba, nie do wiary...

– Ty już się tak, Jolka, nad nim nie użalaj. Na cierpiącego nie wygląda – parsknęła Halina, zniesmaczona co najmniej tak jak ja. – Chodź, Małgoś, kawy się napijesz, zanim ludzie przyjdą.

Och, jakże mi brakowało tego odnosowienia w wygłosie, tego akcentu! Doskonale pamiętam, z jaką łapczywością przysłuchiwałam się rozmowom moich ówczesnych menterek, w szczególności zaś dyrektorki skansenu, pani Zofii. A właśnie...

– A pani Zofia dziś się zjawi? – zapytałam z nadzieją w głosie.

Halina drgnęła i zerknęła na Jolę. Przez chwilę żadna się nie odzywała, a w powietrzu zaczęło się zbierać napięcie. W końcu trzecia z kobiet, jak dotąd mi nieznana, wstała od biurka, na którym leżały sterty wycinanek, podeszła do mnie z wyciągniętą ręką i przedstawiła się:

– Dzień dobry pani. Nazywam się Karolina Budzisz, jestem tu przewodniczką i odpowiadam za organizację wydarzeń w skansenie.

Była śliczna: ciemnowłosa, czarnooka, na jej malutkim nosie trzymały się okulary w okrągłych oprawkach.

– Bardzo mi miło, Małgorzata...

– Starosta – weszła mi w słowo z uroczym uśmiechem. – Znam pani książki. Szczególnie lubię cykl *W siedlisku*, z wiadomych przyczyn.

Odważemniłam jej uśmiech i skinęłam głową, co natychmiast poczułam w okolicach krzyża.

– Nikt nie wie, co się dzieje z panią dyrektor – kontynuowała dziewczyna. – Od kilku dni nie możemy się z nią skontaktować, zgłosiliśmy sprawę na policję.

– Co takiego? – Przeniosłam wzrok na Halinę, która nerwowo przygryzała wargę. – Pani Halinko, o co chodzi? Jaką sprawę na policję?

Jolinka puściła ramię Marka i skinęła na mnie głową. Oznaczało to zaproszenie do pomieszczenia socjalnego, w którym urządzone niewielką kuchnię. Halina poszła za nami, a śliczna przewodniczka wróciła do swojego biurka. Marek, nieco skonfundowany, przycupnął na krześle i zaczął przeglądać leżące na stoliku albumy. Bardzo dobrze, niech chłonie kulturę.

Kuchenka o kubaturze dwunastu metrów sześciennych z trudem pomieściła nas trzy, ale jakoś udało nam się wkomponować między meblami. Dla bezpieczeństwa – tak sądzę – Jola włączyła czajnik, którego buczenie i bulgotanie miało uniemożliwić podsłuchanie tajnej rozmowy.

– Słuchaj, Małgoniu – zaczęła ściszym głosem – chciałam ci powiedzieć, kiedy do mnie dzwoniłaś, ale Halina przekonała mnie, że to nie jest najlepszy pomysł. No wiesz, agent Mietek i te sprawy...

Uniosłam brwi tak wysoko, że zabolowały mnie powieki.

– Jaki agent? – szepnęłam zdumiona do granic. – Co wy, dziewczyny, wymyślacie?

– A bo to wiadomo jaki? – prychnęła Halina. – Cholera wie, kto nas tu podsłuchuje, ale ktoś na pewno. Słuchajo, pilnuj, trzeba być ostrożnym.

– Mniejsza o to jaki, ważne, że coś tu wybitnie śmierdzi – dodała Jolinka. – Pani Zofia zniknęła z dnia na dzień. Nikt nic nie wie, jej córka nie może się z nią skontaktować, nasi szefowie też nie, od nas nie odbiera. Byłam u niej w domu, ale sąsiedzi mówią, że nie widzieli jej od kilku dni.

– Matko kochana... – wyszeptalam. – Czyli zaginęła? Itaka jej szuka? Policja?

– I to jest właśnie najciekawsze, Małgoniu. Nigdzie nie ma informacji o zaginięciu, żadnych oficjalnych poszukiwań. Nawet nasze prywatne posty na Facebooku zostały usunięte.

– Nie może być! – Serce zaczęło mi bić jak szalone.

– No to sprawdź sama – upierała się Jolinka. – Nie ma ani moich ogłoszeń, ani Haliny, ani naszych dzieci, ani córki pani dyrektor. Nic, ani słóweczka.

Z wrażenia zrobiło mi się gorąco, chociaż w dworku panował przyjemny chłód. Wrażenie abstrakcyjności uderzyło mnie ze zdwojoną siłą. Co tu się działo?!

– Czekajcie, dajcie mi się uspokoić – poprosiłam szeptem. – Muszę pozbierać myśli.

Czajnik pstryknął i Halina zabrała się do parzenia kawy.

– Jak mi Jola powiedziała, że przyjeżdżasz, pomyślałam sobie, że to nie może być przypadek – rzuciła znad parującego czajnika. – Kto jak kto, ale ty na pewno nam pomożesz.

O masz ci los...

– Ja? Ale... jak ja mogę pomóc? Nie było mnie tu osiemnaście lat.

– Znasz się na kryminalnych sprawach, zagadkę teściowej rozwiązałaś – argumentowała Jolinka.

– Oni tutaj nic nie zrobili, to już wiemy z pewnością, ale ty możesz. I na pewno ci się uda, bo ty bystra dziewczyna jesteś – dodała Halinka.

Nie wiem, na ile były to szczerze słowa, a na ile miały łechtać moją próżność, w każdym razie sytuacja, w jakiej znalazły się te kobiety, obudziła we mnie gniew. A kiedy jestem zła, zaczynam działać.

- Dajcie mi tę kawę i wskażcie palarnię. Muszę pomyśleć – zażądałam. – Ma pani rację, Jolinko, śmierdzi na kilometr.

- Mówiłam? – ucieszyła się Halina. – Małgoś zaraz sprawę rozwiąże i po kłopotcie.

- Oby tylko nie było za późno... – Jolinka wyglądała na szczerze zmartwioną.

Poczułam zimny dreszcz płynący wzdłuż kręgosłupa.

- Za późno na co? – Mój głos zabrzmiał dziwnie obco. – Myśli pani, że coś jej się stało?

- Ludzie nie znikają bez śladu ot tak – szeptała. – Mało to historii mrozących krew w żyłach? Porwania, morderstwa, handel ludźmi...

- Gdyby ktoś ją porwał, to już zażądałby okupu – stwierdziłam sucho. – Niech pani nie myśli o tych okropnościach, nie ma co się zdręzczać.

- Ale wypadki chodzą po ludziach.

- Owszem, chodzą – zgodziłam się. – Gdyby jednak policja brała pod uwagę taki scenariusz, z pewnością nie zrezygnowałyby z poszukiwań.

- Może nam nie uwierzyli – zastanawiała się Jola.

- Trudno stwierdzić. Dajcie mi czas na przemyślenie tej sprawy. Przed drugą kawą moje neurony działają na pół gwizdka.

Opuściłyśmy ciasną kuchenkę, pogrążone w rozmyślaniach. W głowie mi szumiało, jakby ktoś włączył w niej wentylator. Złe przecucia wymieszane z oszołomieniem zaczynały przejmować nade mną kontrolę.

Musiałam wyglądać niespecjalnie dobrze, bo na mój widok Marek zerwał się z krzesła i wyraził niepokój. Zapewniłam go, że nic się nie dzieje, a za moją niewyraźność odpowiada niedobór nikotyny, po czym wyszłam na zewnątrz, gdzie znajdowało się miejsce dla palaczy.

Upał uderzył we mnie, jakby był fizycznym obiektem, aż na moment odebrało mi oddech. Upiłam łyk kawy i poczułam, jak napięcie powoli spływa od głowy do stóp, które nagle zrobiły się niebywale ciężkie. Oparłam się o drewnianą ścianę dworku, kubek odstawiłam na parapet okna i zapaliłam papierosa. Po kilku minutach do mych uszu dotarły głosy, a po chwili przysłuchiwanie się byłam w stanie już je rozróżnić. Najwyraźniej w biurze trwała rozmowa, w której mój mąż brał wyjątkowo aktywny udział.

- Bo widzisz, Mareczku – perorowała z zapałem Jolinka – nasz Nowogród to nie jest jakaś tam dziura zabita dechami, tu na każdym kroku spotkasz historię. Może to i żadna metropolia, ale za to w siedemdziesiątym ósmym nasze miasto zostało odznaczone Krzyżem Grunwaldu trzeciej klasy za bohaterstwo mieszkańców.

- Ależ ja wierzę, wierzę absolutnie! – zapewnił gorliwie Mareczek.

- Kurpie to dzielny i waleczny lud, zawsze taki był – dodała Karolina. – Nowogrodzianie brali udział w insurekcji kościuszkowskiej, kampanii Napoleona, powstaniu listopadowym i styczniowym. Za udział w tym ostatnim władze carskie odebrały miastu prawa miejskie, które przywrócono po odzyskaniu przez Polskę niepodległości.

- Niesamowite...

Albo się przesłyszałam, albo mój mąż wydawał się zachwycony, co poznałam po głębokim westchnięciu.

- A jakże, Mareczku, a jakże! Jak hitlerowcy przyszedli po trzydziestym dziewiątym, to całe miasto zmiotli z powierzchni ziemi. Kamień na kamieniu nie został. Ale zanim to nastąpiło, nasz dzielny Trzydziesty Trzeci Pułk Piechoty Strzelców Kurpiowskich trochę im szkód nawyrządzał. I dobrze tak łachudrom!

- Bardzo dobrze! – podniecał się Marek.

Stałam oniemiała, przestałam już nawet odczuwać temperaturę, która w słońcu z pewnością przekraczała pięćdziesiąt stopni. Gdyby ktoś mi tę rozmowę zrelacjonował, nie uwierzyłabym. Mój mąż, zatwardziały dyletant historyczny, ignorant kulturalny, zachwyca się opowieściami na temat historii

małego miasteczka, o którego istnieniu wcześniej nie miał pojęcia? Święta Hermenegildo, czy ty to słyszysz?!

Zgasiłam papierosa, dopiłam kawę i ruszyłam z powrotem. Chłód sieni otulił mnie przyjemnie.

– O czym tak dyskutujecie, robaczki? – zagadnęłam, siadając obok pani Halinki.

– Mareczek był ciekaw naszego miasta – pośpieszyła z wyjaśnieniem Jolinka. – Zdziwił się, że to nie jakieś tam krowie spod ogona wypadnięte.

– No gdzie krowie spod ogona? – zaperzył się Marek. – W życiu bym tak nie pomyślał! Gosia mi opowiadała o tych puszczykach, legendach, bursztynach...

No proszę, proszę, czyli czasami słuchał, co się do niego mówi.

– O bursztynach to lepiej głośno teraz nie mówić – odezwała się Karolina konspiracyjnym tonem.

– A to dlaczego? – zdziwiłam się. – Przecież to wasz ekskluzywny towar eksportowy.

– No właśnie ostatnio jakby nazbyt ekskluzywny i mało eksportowy – mruknęła Jolinka.

– Nie rozumiem... – Powiedziałam skonsternowanym wzrokiem po twarzach pracownic skansenu. Wszystkie wyglądały na zasmucone. – Przecież nadnarwiański bursztyn to jeden z najlepszych gatunkowo. I wciąż są tu złoża.

– A so, nawet bardzo duże – zgodziła się Halinka. – Tylko jakoś bursztyniarze nie mają roboty.

Nic z tego nie rozumiałam. Skoro złoża były, wydobyć szło, to w czym problem? Nie zdążyłam jednak zadać tego pytania, gdyż pani Jolinka zerwała się z krzesła i ruszyła do toalety, jakby ją diabeł gonił.

– O dwunastej wycieczka Niemców – wyjaśniła Karolina. – Ja oprowadzam grupy francusko-angielskojęzyczne, pani Jola niemieckie i rosyjskie.

– Maruś, ty znasz niemiecki – przypominałam mężowi. – Może pójdziesz z panią Jolinką? Trochę ruchu dobrze ci zrobi.

Byłam pewna, że zaprotestuje – ze względu na temperaturę, bolącą rękę, galopującą inflację i grzech pierworodny, a tymczasem moja druga połówka znów mnie zaskoczyła.

– Z wielką radością, przecież po to tu przyszliśmy – oznajmił.

Akurat w tej chwili z toalety wyłoniła się Jola ze świeżo ułożoną koafiurą i na odpowiedź Marka zareagowała radosnym piśnięciem. Mój niespodziewanie szarmancki małżonek podniósł się z krzesła, nadstawił ramię zdrowej ręki i z uśmiechem eskortował przewodniczkę do sieni, gdzie czekali na nią uczestnicy wycieczki.

Słowo daję, w życiu bym nie pomyślała, że tych dwoje znajdzie wspólny język... Odprowadziłam ich wzrokiem, mrugając energicznie, żeby się upewnić, czy to nie fatamorgana albo halucynacja wywołana upałem. Moja teściowa nigdy nie uwierzy, gdy jej o tym opowiem!

Powodowana nagłym skojarzeniem przypominałam sobie, że powinnam zadzwonić do Basi, która zapewne umierała z niepokojem. Żeby nie przeszkadzać pracownikom muzeum – jednej w przeglądaniu katalogu Oriflame, drugiej w rozwiązywaniu krzyżówek – znów wyszłam na zewnątrz, tym razem jednak schroniłam się w cieniu drzewa. Niewiele to dawało, ale przynajmniej słońce nie świeciło mi w oczy.

– Aloo? – odebrała moja przyjaciółka.

– No hej, wybaczone, że wczoraj nie dałam znaku, ale mieliśmy trochę przygód i dotarliśmy do hotelu ciemną nocą.

– To ty już jesteś w Nowogrodzie?!

Zatkało mnie.

– No jestem. Przecież mówiłam, że jadę, i miałam dać znać, jak dotrę, więc daję.

– O patrz, a ja zapomniałam.

– Czyli gdybym się nie odzywała przez dwie doby, ty nawet nie zwróciłaś uwagi, że coś mi się stało? Pięknie. Też mi przyjaciółka...

– Ejże, kicia, uspokój się. I tak miałam do ciebie dzisiaj dzwonić, bo muszę o coś zapytać. Dotarłaś w jednym kawałku, a to najważniejsze.

– Mhm... – Nie ukrywam, trochę mnie uraziła. – O co chciałaś zapytać?

– Potrzebuję, żebyś podjechała w jedno miejsce w Łomży. Zrobisz to dla mnie?

Niemal słyszałam, jak trzepocze rzęsami.

– Możliwe. A w jakie konkretnie?

– Do komendy policji.

– Teraz to chyba cię poniosło... – wycedziłam na bezdechu. – Dobrze się czujesz?

– Mówiąc szczerze, średnio na jeża. Trochę mnie w kolanach łupie i spuchłam jak bania od tego upału.

– Barbara, nie kpij ze mnie, bo ja wcale nie jestem w nastroju. Czy wyście wszyscy poszaleli?!

– Ale, Goniu, po co ta agresja? Ja cię tylko proszę o maleńką, malusienieczką przysługę...

– Szlajanie się po komendach policji nie jest moim hobby, jakbyś chciała wiedzieć.

Basia mlasnęła i przewróciła oczami – słyszałam to bardzo wyraźnie.

– Kicia, proszę cię tylko o to, żebyś tam podeszła i zapytała dyżurnego, czy ktoś nie zgłosił zaginięcia jednego faceta.

– A co ty masz wspólnego z zaginionym facetem z Łomży?

– Matko kochana, aleś ty się zrobiła wredna! – syknęła moja najlepsza przyjaciółka. – A tyle mam wspólnego, że miał do mnie przyjechać i cały czas go nie ma, telefon wyłączony i brak z nim kontaktu.

– No i?

– Wiesz co, ciebie chyba klimakterium dopadło przedwcześnie i ta wredota wylewa ci się uszami! Nie chcesz pomóc, to nie. Poproszę Marka.

– Ooo, jasne! Sukces gwarantowany – roześmiałam się niewesoło. – Marek z pewnością pomknie na skrzydłach, usatysfakcjonowany możliwością zrobienia dobrego uczynku.

Basia westchnęła tak głośno, że aż zadzwoniło mi w uchu.

– Zrobisz to dla mnie czy nie? – spytała ponownie, a tym razem jej ton zabrzmiał wrogo.

– Dobrze, zgadzam się – odparłam po chwili wahania. – Ale *qui pro quo*. Ty też musisz się zrewanżować.

Tajemnicza wzmianka o kryzysie bursztynowym mocno mnie zaintrygowała. Niestety, nie miałam ze sobą ani komputera z dostępem do internetu, ani notesu z przydatnymi kontaktami, żeby móc szybko zbadać temat. Potrzebowałam więc pomocy, a moja przyjaciółka, poza wieloma innymi zaletami, miała nieugaszone pragnienie grzebania w różnych informacjach. Wystarczyło jej rzucić hasło, a ona przekopywała wszystkie możliwe archiwa, docierając do głęboko ukrytych i niekiedy wręcz zazdrośnie strzeżonych sekretów. Gdyby nie była tak leniwa, byłaby świetnym dziennikarzem śledczym.

– No przecież, kicia, mówisz i masz! – ucieszyła się matka trojga dzieci i trzech kotów.

– Świetnie. Sprawdź więc, proszę, wszystko na temat rynku bursztynu. Jak stoimy z wydobyciem, co mówią bursztyniarze, czy przypadkiem nie było ostatnio jakichś grubych afer. Chcę wiedzieć o każdej jednej próbie przemytu i znać lokalizację wszystkich nielegalnych kopalń – wymieniałam na jednym oddechu. Ni stąd, ni zowąd znów przyszło mi do głowy słowo „trup”. – I szczególnie uważnie szukaj trupich tropów – dodałam.

– Ooooo, a cóż to za zmiana opcji politycznej? Czyżbyś wpadła na coś interesującego?

– Niewykluczone, dusza mnie gryzie. Ale na razie nic więcej nie mówię, zobaczymy, co znajdziesz.

– Tak jest! – ryknęła do słuchawki Barbs i pewnie nawet zasalutowała. – Zaraz się za to zabieram, a ty jedź do Łomży. Może to nic, a może jednak coś. Tylko postaraj się nie wpaść w oko żadnemu policjantowi, bo Marek jednak jest zazdrosny.

Rozłączyłam się bez żadnego komentarza, a już po kilku sekundach na wyświetlaczu pojawiła się wiadomość. Gdy ją przeczytałam, moja dusza, która wcześniej mnie gryzła, teraz zaczęła kąsać jak głodna

pirania.

„Artur Zmarzlak, lat 36, zameldowany w Łomży, samotny, nie ma rodziny. Ostatnie znane miejsce pobytu: Warszawa”.

Czy zbiegi okoliczności są z góry zaplanowane?

Nigdy nie byłam orłem z matematyki, ale nawet ja bez cienia wątpliwości mogłam stwierdzić, że Zmarlak i Zmarzlak brzmią aż nadto podobnie, żeby pojawienie się tych dwóch nazwisk w ciągu jednej doby było wyłącznie dziełem przypadku.

ROZDZIAŁ 11

Polska nazwa „bursztyn” pochodzi od jego niemieckiej nazwy *Bernstein* – ‘kamień, który się pali’. W różnych krajach bursztyn nosi różne nazwy. Grecy nazywali go elektronem, co oznacza ‘błyszczący i świecący’ (od tej nazwy pochodzi nazwa elektryczności). Dla Rzymian było to *electrum* lub *lyncurium*, czyli mocz rysia. Legenda mówi, że *lyncurium* powstało ze skamieniałego moczu tego drapieżnego kota. Ludy bałtyckie (Estowie) nazywali bursztyn *glaesum*, od którego pochodzi słowo ‘szkło’, używane w językach germańskich. Dla Egipcjan był to *sokal*, a dla Arabów – *anbar*, ponieważ zapach bursztynu kojarzył im się z zapachem ambry; od tej nazwy pochodzi angielska nazwa bursztynu – *amber*. Persowie nazywali go *karuba*, czyli ‘złoty rabuś’, a używana w niektórych językach słowiańskich nazwa „jantar” pochodzi z języka litewskiego, od słowa *gintaras*. Żydowska nazwa bursztynu to *chaszmal*, co oznacza ‘przepływ prądu’. W sensie metafizycznym jednak oznacza ona moc Bożą, moc anielską, tchnienie.

Panujący od kilku dni upał był wystarczającym powodem do odczuwania zawrotów głowy, a jeśli dołożyć do tego nadmiar wrażeń i zaskakujących informacji, stan, w jakim się znalazłam, nikogo nie powinien dziwić.

Kiedy wróciłam do chłodnego biura, pani Halina rozkładała już maszynę do szycia – to ona odpowiadała za utrzymanie strojów i dekoracji w należyтым stanie, a Karolina ślęczała nad jakąś starą publikacją, niemal szorując nosem po wyblakłych kartkach. Nie zamierzałam im przeszkadzać, ja także potrzebowałam uporać się z własnymi myślami, które na domiar złego wydawały się mało radosne.

Po pierwsze primo: co się działo z dyrektorką skansenu? Ludzie nie rozplywają się w powietrzu, nie znikają bez śladu, porwani przez kosmitów, nie wyjeżdżają bez pożegnania. Chyba że... Chyba że ktoś przyczynia się do ich zniknięcia, jednak w takim wypadku najczęściej uruchamiana jest procedura poszukiwań. Tymczasem pani Zofii nie było od kilku dni, a wyglądało na to, że nikt – poza pracownikami skansenu – zupełnie tym się nie przejmuje. I to właśnie budziło mój największy niepokój.

Po drugie primo: Bączek. Komisarz Bączyński, dokładniej rzecz ujmując, mój ulubiony oficer młodszy dolnośląskiej policji kryminalnej. Łebski facet, bystry śledczy i kłamczuch, jak się okazało. Kogo śledził w tym pociągu? Dlaczego prokurator, wezwany do trupa na torach kolejowych, w ogóle ujawnił mu jakiegokolwiek informacje? Możliwe, że organy ścigania nie mają przed sobą tajemnic, to jednak wcale nie tłumaczyło dziwnej reakcji Bączka na nazwisko przywołane przez Marka.

I wreszcie po trzecie primo: Zmarzlak. Basia miała całą masę dziwnych znajomych, o niektórych wręcz wolałam nic nie wiedzieć, ale pojawienie się na tapecie owego zaginionego osobnika z Łomży dokładnie w chwili, kiedy mój znajomy policjant niemal podskakiwał na dźwięk słowa „zmarlak”... No cóż, wydało mi się to szczególnie podejrzane.

Podróż do Łomży postanowiłam odbyć nazajutrz z samego rana, zanim zło zacznie łać się z nieba, tym bardziej że chciałam pojechać rowerem. Tymczasem do końca dnia pozostawało wciąż dużo czasu, który powinnam jakoś spożytkować. Co tu robić, co tu robić...

– W karczmie już Małgosia była? – zapytała znad lnianych portek Halinka. – Rejbaka³ niech spróbuje, zimne piwko jałowcowe wypije.

Właściwie... nie był to wcale zły pomysł.

Drogę od dworku do karczmy pokonałam niemal biegiem, skutkiem czego wpadłam do chaty upocona i czerwona, jak nie przymierzając diabeł, który ledwo oderwawszy się od kotła, zrobił sobie przerwę na

szklaneczkę orzeźwiającego napitku. Starczy powiedzieć, że stojąca za drewnianą ladą starsza kobiecina przelęknęła się nie na żarty.

– Pani z wycieczki? – zagadnęła, mierząc mnie nieufnym spojrzeniem.

– Dzień dobry – wydyszałam, zgięta w pół. – Nie, nie, ja tu w odwiedzinach. Pani Halinka mnie do pani wysłała.

– Nasza Halinka? – Twarz kobiety natychmiast się rozpozodziła. – No to zapraszam, zapraszam, niech siada w chłodzie, a ja piwka kozicowego⁴ naleję.

Na samą myśl o tym słodko-goryczkowym napoju z gęstą pianką zrobiło mi się błogo, a gdy karczmarka postawiła przede mną kufel, omal nie umarłam ze szczęścia. Pomarańczowe, lekko mętne, idealnie zagazowane piwo jałowcowe⁵ było jednym z najmilszych wspomnień ze studenckich praktyk. Natychmiast zamoczyłam usta w pianie, wydając przy tym jęk, jakby... No, wiadomo. Karczmarka zerknęła na mnie z niepokojem, przesunęła wzrokiem po skąpych szortach i cmoknęła, wyraźnie zniesmaczona. Ja natomiast – wprost przeciwnie. Czułam się jak Hera na Olimpie, sącząca ambrozję. Brakowało jedynie nektaru.

– A co by pani poleciła do przekąszenia? – zawołałam przyjaźnie.

Na tablicy wiszącej nad głową karczmarki co prawda znajdowało się imponujące menu, które można by śmiało podciągnąć pod hasło „czym chata bogata”, sama jednak nie potrafiłam się zdecydować, na co mam ochotę.

– Ano w taki dzień to chłodnik⁶ polecam, a na większy głód to można kartacze albo rejbak. Chyba że chleb ze smalcem, to też jest.

Choć wcześniej wcale o tym nie myślałam, pominięcie śniadania zrobiło swoje i czułam już ssanie w żołądku. Chłodnik ogólnie mnie nie pociągał – nigdy nie przepadałam za zupami na zimno, ale taki kurpiowski ze świeżej kapusty i porcyjka rejbaka... Mmm! Złożyłam zamówienie, rozważając, czy nie skusić się jeszcze na pierożki z kaszą, i wróciłam do opróżniania kufła z piwem. Karczmarka podśpiewywała pod nosem coś o Kurpiku, a ja spoglądałam przez okno, za którym rozpościerał się widok na skarpe. Ogarnął mnie błogostan i na chwilę zapomniałam o gnębiących mnie pytaniach.

Kuchnia kurpiowska – choć prosta i niezbyt obfita w składniki – cechuje się umiłowaniem do tłuszczu. Większość tradycyjnych potraw smaży się lub dusi, obficie okrasza skwarkami, dodaje słoninę do wszystkiego. Po zjedzeniu sówitej porcji ziemniaczanego placka, oczywiście z nadzieniem ze słoniny z cebulą, pomyślałam, że po tygodniu takiej diety wyglądałabym jak piłka do pilatesu. Nim się spostrzegłam, moja gospodyni podmieniła pusty kufel na pełny, a mnie zabrakło silnej woli, żeby zaprotestować. Poza tym przecież nie wolno odmawiać, to bardzo niegrzeczne!

– Może blina spróbuje? – zapytała znad lady kobiecina.

– Oj, bardzo dziękuję, ale już nie zmieszczę.

– A tam nie zmieści. Popije piwem i pójdzie.

No, pójdzie. Tylko nie wiadomo, w którą stronę...

Udało mi się wykręcić od blina, dopiłam piwo, a gdy opuszczałam karczmę, w drzwiach omal nie zderzyłam się z jegomościem, który na pierwszy rzut oka wyglądał na stałego bywalca, a na pewno na amatora kurpiowskiej okrasy.

– *Entschuldigung* – mruknął, ustępując mi miejsca.

– *Nicht ist passiert* – odpowiedziałam odruchowo, zanim zdążyłam się zdziwić, że mówię po niemiecku.

Oddalając się w stronę dworku, odwróciłam się i spostrzegłam, że obły jegomość stoi wciąż w progu i wpatruje się w moje plecy. Poczułam się nieswojo i przyśpieszyłam kroku.

W sieni spotkałam Marka i panią Jolinę, wracających z obchodu. Jeśli ja wyglądałam podobnie, wbiegając do karczmy, to cud, że karczmarka nie padła na mój widok na zawał.

– O jeżu w jeżynach, aleście mokrzy! – wykrzyknęłam z przerażeniem.

– Bo kto to widział takie upały? – żaliła się przewodniczka, odlepiając bawełnianą koszulkę od pleców. – To powinno być zakazane w naszej szerokości geograficznej.

– Przede wszystkim takie temperatury są niebezpieczne dla zdrowia – skonstatował Marek, lekarz medycyny. – Można się odwodnić, przegrzać, dostać udaru... Na szczęście wzięłem dużo wody i czapkę. – Zademontrował bejsbolówkę z logo jakiejś firmy farmaceutycznej.

– I na szczęście we wnętrzu chat jest chłodno, więc można było złapać oddech – dodała Jolinka. – Następną grupą twoja, Karolka.

Karolka podniosła wzrok na okno, za którym znajdował się termometr, i jęknęła głośno.

– Matko kochana, przydałoby się jakieś ochłodzenie, bo tu zwariujemy.

Haliny nie było na stanowisku pracy, ale za moment wyłoniła się z kuchni.

– No i jak tam wycieczka? Dużo upierdliwców? – rzuciła do koleżanki.

Jolinka opadła na krzesło, wyłożyła nogi na biurko i machnęła ręką.

– A, daj spokój. Tyle dobrego, że świr się nie pokazuje.

– Świr? – zaciekałam się. – Kogo ma pani na myśli?

Trzy pracownicy muzeum wymieniły porozumiewawcze spojrzenia, jakby uzgadniały, czy mogą powiedzieć cokolwiek więcej. Zorientowałam się, że temat „świra” nie powinien być przy mnie poruszony, a na pewno nie został wywołany celowo. Te pączkujące sekrety zaczynały mnie irytować.

– Hej, dziewczyny – odezwałam się surowym tonem. – Albo przestaniecie ukrywać przede mną te swoje tajemnice, albo w ogóle ze mną nie gadajcie. Dlaczego odnoszę wrażenie, że coś tu jest nie tak? Jeśli mam wam pomóc z panią Zofią, to radzę wyłożyć kawę na łąwę.

– Z czym pomóc? – Marek przestał wachlować się mapką skansenu i wlepił we mnie zciekawione spojrzenie.

– Nieważne, Maruś, nie interesuj się.

– Aha, no dobra... To ja sobie może posiedzę w kąciku.

– Bardzo słusznie, posiedź. Należy ci się.

– O, i to jak się należy! – wtrąciła się pani Jolinka. – Mareczek taką robotę wykonał na tym spacerze z Helmutami, że aż mnie zachwycił! Zasłużył na odpoczynek i jakąś nagrodę.

Spojrzała wymownie na Halinę, a ta natychmiast rzuciła się do szuflady biurka, skąd wyjęła buteleczkę.

– Własnej roboty naleweczka bursztynowa – pochwaliła się, machając trunkiem. W promieniach słońca można było dostrzec drobne kamyczki na dnie naczynia.

Marek wszelkie domowej roboty nalewki uwielbiał, sam zresztą zajmował się ich produkcją. Na widok błyszczącej zawartości jego oczy też zabłyśły.

– Z wielką radością! – oznajmił, ale zaraz potem się zawahał. – Mogę?

To pytanie, rzecz jasna, skierował do mnie, czym zaskoczył mnie tak samo jak pozostałe kobiety. Od kiedy pytał o zgodę na wypicie alkoholu?

– No możesz, co to za głupie pytanie – fuknęłam. – Myślałby kto, że ty taki pantoflarz jesteś...

– Oj, Małgoniu, nie wyzłośliwiaj się – upomniała mnie łagodnie Jolinka. – Takiego chłopca to jedynie pozazdrościć. Na loterii go wygrałaś.

– Chętnie się zamienię z wygranymi w totolotka – mruknęłam, nie spuszczać z Marka podejrzliwego wzroku. No słowo daję, ktoś mi męża podmienił!

Nie robiąc sobie wiele z mojego kąśliwego komentarza, Marek przyjął od Haliny buteleczkę, ucałował dłoń ofiarowującą nagrodę i oddalił się do kąta, w którym stał wysłużony fotel.

– Świr – rzuciłam pełnym jadu szeptem. – Teraz wszystko jak na spowiedzi.

Jolinka zerknęła na Marka i skinęła głową.

– Dobra, ale na zewnątrz. Muszę zapalić.

Ja też musiałam, więc przyjąłam warunek bez dyskusji. Halina wróciła do obrabiania rozprutego szwu w spodniach, a Karolina czekała, aż zbierze się jej grupa. Wyszłyśmy więc we dwie – jak za starych, dobrych czasów.

ROZDZIAŁ 12

Szlak Turystyczny „Wstęga Kurpiowska” to około 65 kilometrów trasy rowerowej biegnącej z Myszynca przez Chorzele do Przasnysza.

– No, opowiadaj, Małgoniu, jak ci w życiu? Nie żałujesz, że zostawiłaś etnologię?

Ręka z zapalniczką drgnęła mi nieznacznie.

Stałyśmy w cieniu wielkiego drzewa, częściowo ukryte przed wzrokiem turystów spacerujących po Wzgórzu Ziemowita.⁷

– Czy żałuję...? – Zawahałam się, bo właściwie nigdy się nad tym nie zastanawiałam. – Trochę brakuje mi tego życia wśród eksponatów, badań terenowych i kontaktu z żywą kulturą. Ale przecież nauka nie poszła w las i staram się w inny sposób зараżać miłością do folkloru.

– Mądra dziewczyna – pochwaliła mnie Jolinka, wypuszczając dym. Wciąż paliła marlboro setki, nic się nie zmieniło. – Już kiedyś byłaś u nas, wiedziałyśmy z Halinką, że ty się zamkniesz w jakiejś bibliotece. „Ta dziewczyna to chodząca energia”, mówiłam. Zośka też była zachwycona, wystawiła ci najwyższą ocenę za praktyki i pochwaliła pracę, którą napisałaś.

Choć zupełnie nie pamiętałam, żeby znana z lakoniczności pani dyrektor mnie kiedykolwiek pochwaliła, zrobiło mi się głupio. Nigdy nie przywykłam do komplementów i za każdym razem bardzo mnie zawstydzały. Na szczęście panujący na dworze upał powodował zaczerwienienie skóry, więc płonące policzki mogłam zrzucić na karb gorąca.

– Robię to, co kocham, i uważam się za prawdziwą szczęściarę – odparłam odrobinę wymijająco. – Mogłabym kilka rzeczy zmienić, ale na to chyba jestem zbyt leniwa.

– No i życie małżeńskie ci służy. – Jolinka się wyszczerzyła, prezentując garnitur pięknych licówek.

– Żartuje pani? – prychnęłam. – To jest właśnie ta łyżka dziegciu w beczce miodu. Nie mam pojęcia, co w Marka wstąpiło, ale on na co dzień jest wielkim wrzodem na siedzeniu. Jego celem życiowym jest chyba uprzykrzenie mojego. Nic dziwnego, że jego matka tak chętnie pchała go do ożenku. Pozbyła się garbu.

– No co ty mówisz, Małgoniu? Taki uroczy człowiek! I żebyś widziała, z jakim zapalem latał po tych wszystkich chatach!

Przewróciłam oczami tak mocno, że poczułam ból w skroniach. Nic już nie mogło mnie zdziwić w kwestii zachowania mojego małżonka. Coraz bardziej skłaniałam się ku konstatacji, że podane mu w szpitalu leki zadziałały mocniej, niż zakładano.

– Zostawmy ten mało wdzięczny temat, pani Jolu – poprosiłam. – O co chodzi z tym świrem?

Jolinka zgasiła papierosa i natychmiast zapaliła kolejnego. Rozejrzała się konspiracyjnie, po czym zbliżyła do mnie na odległość kilku centymetrów. Wyraźnie czułam jej delikatne, pudrowe perfumy, te same, których używała, kiedy byłam naiwną studentką.

– Wiesz, że ja nigdy nie narzekałam na brak adoratorów – zaczęła, ścisząc głos do szeptu. – Fajna ze mnie babka, łebska, lubię żarty, to i nie ma czemu się dziwić. Latali za mną różni: ładni, brzydki, grubi, chudzi, bogaci, bardzo bogaci, ale ja byłam nieugięta. Chłop mi nie jest do niczego potrzebny, i basta! Jednego już miałam, wyszłam na tym jak Zabłocki na mydle, drugi raz nie dam się tak załatwić.

Wszystko to była prawda. Choć pani Jola zbliżała się do sześćdziesiątki, wciąż była atrakcyjna. Dbała o siebie, a i geny musiała mieć dobre. A do tego jej kolorowa i pogodna osobowość robiła jeszcze większe wrażenie. Sama pokochałam ją po pięciu minutach znajomości, a co dopiero jakiś samotny facet...

– A Marian nie próbował pani odzyskać? – Przypomniałam sobie imię jej męża, z którym się rozwidziła, kiedy przebywałam w skansenie lata temu.

– No jak nie próbował? Starał się o mnie chyba nawet bardziej niż przed ślubem, ale nic nie wskórał – zapewniła bez cienia pychy. – Co ja, głupia jestem, żeby dwa razy do tej samej rzeki wchodzić? Już jeden to za dużo, do dzisiaj mam odruch wymiotny na widok wątróbki.

Gwoli ścisłości, to ja też mam odruch wymiotny na widok wątróbki, a przecież mój małżonek wcale nie nazywa się Marian Wątroba.

– Czyli pozbyła się go pani na amen, razem z nazwiskiem – domyśliłam się.

– Jasna sprawa. Odcięłam się od idioty całkowicie, załatwiłam mu zakaz zbliżania się, a potem przez lata walczyłam, żeby moje dziecko też mogło zmienić nazwisko. Trochę to trwało, bo swołocz ma rodzinę w sądzie w Ostrołęce, ale w końcu przegiął tak, że nawet familia mu dupy nie uratowała. Pardon my French.

Właśnie to jest najgorsze w kwestii swołoczy: rzadko występuje samodzielnie, zwykle ma jakąś rodzinę albo znajomych, a oni już niekoniecznie muszą być swołoczą, czasami wręcz się przydają. Moja teściowa, dla przykładu, zna świetnych medyków sądowych i stracenie jej koneksji wskutek rozwodu byłoby mi bardzo nie na rękę...

Miałabym jeszcze kilka pytań o Mariana, ale może zdązę zadać je kiedy indziej. Wróciłam do sedna tej rozmowy.

– Okej, czyli ten temat mamy omówiony. Co z tym świrem?

Jolinka westchnęła i ze zdziwieniem spojrzała na papierosa, który wypalił się bez jej udziału. Zduśiła niedopałek w popielniczkę i wyciągnęła z paczki kolejne marlboro.

– Jakoś na początku sezonu turystycznego mieliśmy najazd niemieckich wycieczek – mówiła wciąż szeptem. – Jedna za drugą, absolutne pandemonium. Karolina po niemiecku ni w ząb, Halinka co najwyżej mogłaby mówić do nich dialektem, a Zośka akurat pracowała nad wystąpieniem na sympozjum, więc miała mało czasu. Wszystko spadło na mnie. Po cztery, pięć grup dziennie. Obłęd, Małgoniu! – Zaciągnęła się mocno papierosem, a jej wzrok błędził po panoramie okolicy widocznej ze wzgórza. – Na początku nie zwróciłam na to uwagi, dopiero kiedy dyrektorka poszła ze dwa razy za mnie, zapytała, czy zauważyłam jakiegoś gościa. No to ja ją pytam: „Jakiego gościa, bo ich tam wielu było?”. Ona mi na to: „Był ostatnio w mojej grupie i dzisiaj też go zauważyłam”. Zośka bez okularów ślepa, więc jej nie uwierzyłam. Ale ziarno niepewności zasiała.

Milczałam, czując mruganie ostrzegawczej lampki. I u mnie ziarno zaczęło kiełkować.

– Kiedy znów trafiła mi się grupa Helmutów, podświadomość musiała się uaktywnić – ciągnęła Jolinka, pociągnawszy wcześniej dym z papierosa. – I faktycznie zauważyłam znajomą paszczę. Taką typowo niemiecką, grubo ciosaną, wielkie niebieskie ślepia, nos jak klamka od zakrystii. No wiesz.

Skinęłam głową, na ile pozwalało mi moje urocze wdzianko szyjne, bo rzeczywiście wiedziałam. Marek znał wielu Helmutów, a ja, na swoje nieszczęście, od czasu do czasu także musiałam ich oglądać.

– Jak go rozpoznałam, to już wzięłam na celownik. – Teraz głos pani Joli brzmiał mocniej. – Co przystanek w chacie, to ja gadałam tylko do niego. On się na mnie gapił, a ja nie pozostawałam mu dłużna. Myślałam, że się spieszy, ale gdzie tam! Lampił się tak, jakby miał w głowie drukarkę trzy de i chciał zaraz sobie Jolinkę w domu wydrukować.

– Gadał coś? – zapytałam, żeby rozwiać wizję wpatrującego się Helmuta.

– Mało. Najbardziej się ożywiał, gdy opowiadałam o bursztynach, i czasem nawet o coś zapytał.

Zamyśliłam się. W sumie nic dziwnego, że bursztyny wydały mu się interesujące, ja sama jestem ich wielką fanką.

– Ale chyba musiał coś zrobić, że nazwałyście go świrem?

– Mhm, zaczęłyśmy liczyć, ile razy zjawił się na spacerze. U mnie siedemnaście, u Zośki kilka mniej. Po jakimś czasie miałam wręcz wrażenie, że to jest stały eksponat skansenu.

– Może faktycznie to jakiś wielki amator kultury kurpiowskiej – dywagowałam. – Nie spróbowała go pani zagadać?

– No przecież, że próbowałam! – oburzyła się Jolinka. – Jakies dwa miesiące temu to było, może trzy, podeszłam do niego w kuźni i pytam: „*Wie geht es Ihnen?*”⁸. Ten się głupkowato uśmiechnął i coś tam bąknął. No to ja dalej: „*Gefällt Ihnen unser Museum?*”². Znowu coś mruknął, po czym zapytał mnie o imię – relacjonowała. – Gdy podałam, wyszczerzył się jak wściekły pies i mówi: „*Sie sind eine schöne Frau, Jolinka*”¹⁰.

– Dała mu pani w pysk za spoufalanie się?

– Nie, bez przesady. Przecież jedynie stwierdził fakt. Przyznałam mu rację i zapytałam, czy zwiedzanie skansenu to jego hobby, a on mi na to: „*Mit einer solchen Anleitung ist es jedes Mal ein Vergnügen*”¹¹.

Zmarszczyłam brwi, analizując usłyszane informacje. Helmut może i był dziwny, ale jak dotąd nie zauważyłam żadnych objawów szaleństwa.

– Wiem, wiem. Zastanawiasz się, dlaczego uważamy go za wariata – domyśliła się pani Jola. – Przez całą swoją karierę zawodową ani razu nie spotkałam nikogo, kto tyle razy łąziłby z przewodnikiem po skansenie. Zazwyczaj, jeśli ludzie wracają, to chodzą sami, chyba że od poprzedniej wizyty minęło kilka lat. Ileż razy można słuchać tej samej gadki?

– Może on naprawdę jest pani wielbicielem, tylko z tych wstydlivych?

– Niewykluczone, ale dokładnie to samo powiedział Zośce.

No tak, to definitywnie zmieniało postać rzeczy. Pani dyrektor z całą pewnością nie zaliczała się do piękności, nawet osiemnaście lat temu. Jeśli kiedykolwiek miałabym opisać stereotypową przedstawicielkę świata naukowego, to przedstawiłabym właśnie Zofię Wilkońską. Fryzura w stylu baranka z lat osiemdziesiątych, wielkie okulary w grubych szklakach, kształtem przypominające telewizor rubin, gęsty wąsik pod nosem, bezkształtna spódnica do połowy łydki, nijaka koszula, na niej kamizelka zdobiona kurpiowskimi haftami. Antonim kobiecości.

– Zgoda – stwierdziłam po chwili. – Coś tu śmierdzi.

– Czekaj, Małgoń, czekaj. – Jolinka złapała mnie za przedramię. – To jeszcze nie koniec. Ten Niemiec zniknął na kilka tygodni i myślałyśmy, że się wystraszył naszej bezpośredniości. A tu nagle, na początku wakacji, znowu przylazł. To była kolej Zośki. Ja obsługiwałam wtedy polskie wycieczki, głównie jakieś kolonie, więc jeździłam też z nimi na warsztaty do bursztyniarza. Wracam i patrzę, a Zośka tacha wielki bukiet jakichś chwastów polnych, ledwo ją zza tego kwiecica widać. – Przewodniczka znów sięgnęła po papierosa, a ja już przestałam liczyć, który to z kolei. – Rzuciła wiecheć na biurko i wydyszała: „No świr jak nie wiem! Zaczął mnie nagle wypytywać, czy nie mógłby się ze mną umówić na kawę, może u mnie w domu, bo chciałby posłuchać nieco więcej o bursztynie”.

– O masz... To może on jednak wcale nie z tych wstydlivych... – mruknęłam.

Jola zgromiła mnie spojrzeniem, a po uśmiechu na jej przyjemnej twarzy nie było ani śladu.

– Bezczelny cham! Następnego dnia znowu to samo, i dzień później. Zośka w końcu się wściekła i oznajmiła, że mam przejąć Niemców. Jak mnie świr, znowu z tymi wiechciami w łapach, zobaczył zamiast Zośki, to wyglądał, jakby go piorun strzelił. Odwrócił się na pięcie i poszedł won.

– Neeeeeee...

– No mówię ci! Od tamtej pory go nie było, chwała wszystkim bogom.

Sprawa faktycznie była dziwna. To, że ludzie, a w szczególności mężczyźni, są osobliwi, wiedziałam od lat. Iluż to ja takich świrów spotkałam na swej drodze! Jak nie zboczeńcy, to toksyczne narcyzy albo zakompleksieni socjopaci... Co jeden, to gorszy. Prawdą jest stwierdzenie, że jeśli mężczyzna w pewnym wieku – a mam tu na myśli wiek powyżej trzydziestego piątego roku życia – jest singlem, to z całą pewnością coś musi być z nim bardzo nie w porządku.

Mignęła mi myśl, że być może pani Jolinka poczuła się urażona tym, że na jej widok niemiecki dziwak wziął nogi za pas, ale szybkie spojrzenie na moją rozmówczynię natychmiast owo podejrzenie odeгнаło. Nie, ona była szczerze zniesmaczona.

– Szkoda, że nie mamy jak się dowiedzieć, co to za gość – pomyślałam na głos.

Jola wzruszyła ramionami, oglądając swoje paznokcie.

– Może i mamy, tylko nie wiem, czy jest po co. Ja tam się cieszę, że go już nie ma.

Pochłonięta rozmową nie zwróciłam uwagi na upływający czas. Zaczynało robić się chłodniej, słońce powoli zniknęło za drzewami.

– Kiedy dokładnie były te ostatnie kwiaty? – zapytałam z ciekawości. Zboczenie zawodowe, w dodatku nieuleczalne.

– Najdalej dwa tygodnie temu, ale dokładnie nie pamiętam. A co?

– W sumie to nic, zastanawiam się tylko, czy to może mieć jakiś związek ze zniknięciem pani Zofii.

Jola oderwała wzrok od paznokci i wlepiła go we mnie. Wyglądała przy tym, jakby doznała udaru.

– Małgoś, ty absolutnie masz rację! – wycedziła. – Ten świr ją porwał! Jasna cholera, to trzeba gdzieś zgłosić! Trzeba działać! On ją pewnie wywiózł do Hanoweru i więzi tam bidulkę!

Wątpiłam, by tajemniczy Helmut faktycznie porwał pyską dyrektorkę skansenu w celu więzienia jej w piwnicy w Hanowerze, ale lampka ostrzegawcza pulsowała coraz mocniej. Tyle że... kto uwierzy pisarce, której podpowiada coś intuicja?

Miałam tylko jedną możliwość i zamierzałam natychmiast ją wykorzystać.

– Pani Jolu, idziemy! – zaordynowałam, podając kobiecie ramię. – Muszę natychmiast wykonać telefon do przyjaciela.

ROZDZIAŁ 13

Najstarszy wydobyty bursztyn pochodzi z okresu późnego karbonu (320 mln lat temu).

Komisarz Michał Bączyński brzmiał tak, jakby niecierpliwie czekał na telefon ode mnie.

– Sprawdziła pani? – zapytał zamiast powitania.

– Yyyy... Co takiego?

– Myślałam, że dzwoni pani w sprawie bursztynu...

– A, bursztynu! Nie, zapomniałam. Ale sprawdzę, gdy wrócę do hotelu, i zadzwonię jeszcze raz.

– Czyli w coś się pani władowała... – skwitował kwaśno.

– Ależ z pana człowiek małej wiary, komisarzy! – No jak on mógł? Serce mi zламаł, niesprawiedliwiec jeden. – Jedyne, w co się władowałam, to bawełniane szorty. Niewykluczone jednak, że jedna moja znajoma wpadła w jakieś bagno.

– To rozmowa prywatna czy służbowa? – W tonie głosu policjanta usłyszałam wyraźne wahanie.

– Uznajmy, że na razie prywatna. Przyjacielska konsultacja.

W chłodnym biurze panowała absolutna cisza. Dwie pracownice muzeum wpatrywały się we mnie hipnotyzującym wzrokiem, a Marek drzemał w fotelu w odległym kącie. Napięcie wypełniające pomieszczenie dałoby się pokroić jednym z leżących na biurku kozików.

– Niech pani mówi – odezwał się po krótkim milczeniu Bączyński.

No to powiedziałam: począwszy od świra Helmuta, a na zniknięciu Zofii Wilkońskiej skończywszy. Opowiedziałam także o braku reakcji policji na zgłoszenie zaginięcia, a gdy mówiłam, Jola i Halina kiwały głowami.

– Nie wydaje się panu, że to wszystko podejrzane? – zakończyłam zachrypniętym głosem, bo w gardle mi zaschło od perorowania.

– Hmm, może pani mieć rację, ale wcale nie musi – odpowiedział ostrożnie policjant.

– Oczywiście, że nie muszę – zachnęłam się. – Gdybym miała co do tego pewność, już wsiadałabym na rower i jechała do Łomży. Tylko, wie pan – coś właśnie przyszło mi do głowy – jak mam powiedzieć policji o Helmucie, który prawdopodobnie jest Heinrichem albo Hansem, nie daj Boże Adolfem? Pojęcia nie mam, jak ten gość się nazywa, a jedyne, co wiem, to że ma dużo wolnego czasu i dziwny gust do kobiet...

– Więc niech pani na razie do żadnej Łomży nie jedzie – poradził mi. – Prawdopodobnie facet rzeczywiście zakochał się w tej Zofii, a gdy został odrzucony, to podkułił ogon i prysnął.

– To możliwe, nawet dość prawdopodobne – zgodziłam się z nim. – Ale nie tłumaczy, co się dzieje z dyrektorką skansenu. Pan lepiej niż ktokolwiek powinien wiedzieć, że człowiek nie wylogowuje się ze świata bez powodu.

– Zgadza się, powód zawsze jest. Ale niech sobie pani przypomni swojego byłego męża, którego podejrzewała o zabicie jego własnej matki. Tymczasem miał zupełnie inny, w dodatku istotny powód do wylogowania się.

Miał rację. Mieszko, mój pierwszy mąż, o którym zdołałam zapomnieć na dwie dekady, faktycznie zniknął bez śladu, narobiwszy sobie nie lada kłopotów.

– Nie sądzi pan chyba, że uznana naukowczyni, kobieta rozsądna, zadekowała się gdzieś, żeby uciec przed złolami?

Obserwując mnie Jolinka z Haliną pobladyły, ale uspokoiliam je, przybierając stosowną minę.

– Niczego nie sądzę, pani Małgorzato, zwracam pani jedynie uwagę na to, że nie należy zakładać żadnych wyjaśnień, dopóki nie mamy wystarczających przesłanek.

Na tym rozmowa właściwie się zakończyła. Bączyński przypomniał mi jeszcze, żebym sprawdziła te dane na temat bursztynu, po czym się rozłączył. Żadnego „do widzenia” ani „żegnam”. Ani nawet „niech pani na siebie uważa”, co odrobinę mnie ubodło. Mógłby wykazać krztynę troski o praworządną obywatelkę...

– Nie uwierzył? – zapytała Jolinka.

– Uwierzyć może uwierzył, ale niewiele z tego nam przyjdzie. Mówi, że pani Zofia na pewno miała jakiś powód, żeby zniknąć.

– A o co chodziło z tymi złolami? – zainteresowała się Halina.

Odwróciłam się i zerknęłam na Marka. Wciąż spał, ale wolałam nie kusić losu. Dałam dziewczynom znak, żeby się do mnie zbliżyły, i pokrótce szeptem opowiedziałam historię Mieszka.

– To ten twój ładny chłopak, po którym nam tu rozpaczają? – przypomniała sobie Jola.

Mrugnęłam wymownie, bo kiwać głową wciąż się bałam.

– Czyli nie było po kim rozpaczac – zawyrokowała Halina. – Nie ma tego złego...

Powodowana naturalnym skojarzeniem pomyślałam, że Nie ma tego złego Marcina Mortki to fantastyczna, nomen omen, książka, i muszę znów ją przeczytać dla poprawienia sobie humoru. Tym niemniej nasza sprawa nie ruszyła się ani o włos, a wręcz zaczęłam wątpić, czy w ogóle jakkolwiek sprawa istnieje.

– Słuchajcie, musimy się zastanowić, co robimy – oznajmiłam normalnym już głosem. – Jutro skoro świt jadę do Łomży, muszę wyświadczyć przysługę Basi...

– Tej Basi?! – wykrzyknęła Jolinka z zachwytem. – O kurka wodna, co u niej? Jak się miewa to złoto chodzące?

– A cholera ją wie, jak się miewa, bo u niej to zawsze coś – odrzekłam z nieudolnie ukrywaną niechęcią. Wciąż byłam zła na przyjaciółkę. – Ma troje dzieci i trzy koty, wiecznie gdzieś lata, coś załatwia, czasu na życie nie ma. A nie – przypominałam sobie – na żarcie ciastek ma zawsze czas.

– Czyli zgrubła? – zapytała przerażona Jolinka.

– A gdzie tam! Ona chyba ma tasiemca, bo co zje, to znika od razu. Nie to co u mnie: wypiję pół szklanki wody i dwa kilo na plusie, szczególnie w udach... Jakby tak chociaż w biust szło, to nawet bym się poświęciła.

– A tobie czego brakuje? – fuknęła Halina. – Bo urody na pewno nie.

– Ostatnio głównie talii – wyznałam niechętnie. – Ale postanowiłam wziąć się za siebie i dlatego jutro wsiadam na rower i drałuję do Łomży.

– Siedemnaście kilometrów? – Jolinka patrzyła na mnie wzrokiem pełnym niedowierzania.

– A cóż to jest, pani Jolu? Godzina maksymalnie. A talia mi się przyda, bo na jesień dużo targów, trzeba wyglądać jak człowiek.

Kobiety wciąż nie wyglądały na przekonane, lecz ja byłam nieugięta. Decyzję podjęłam, trasę obejrzałam na mapie, miałam plan i zamierzałam się go trzymać.

Skansen niebawem miał się zamykać. Choć nie udało mi się go dzisiaj zwiedzić, bardzo chciałam już znaleźć się w hotelu. Musiałam rozważyć kilka spraw z dala od rozpraszających mnie dźwięków, dodatkowych bodźców i wyskakujących z każdego kąta niespodzianek. Rozmowa z Bączyńskim niczego nie wniosła, a mimo to dała mi sporo do myślenia. Nie powiedziałam tego przysłuchującym się rozmowie kobietom, ale odniosłam wrażenie, że słowa: „dopóki nie mamy wystarczających przesłanek” komisarz wymówił z wyraźnym naciskiem. Od tego więc należy zacząć: od zebrania danych, odszukania tropów i ukucia tezy na podstawie faktów.

Marek przecknął się i przez chwilę wyglądał na oszołomionego, jednak gdy tylko jego wzrok spoczął na szyczącej się do domu Jolinie, uśmiechnął się szeroko jak kot z Cheshire.

– Wypałeś się? – rzuciłam do niego jadowicie. – Zbieraj się, śpiący królewiczu, wracamy do hotelu.

– Już? – zapytał pełnym zawodu głosem i z trudem podniósł się z zapadniętego siedziska. – Ale jutro też przychodzimy?

Spojrzałam na niego z nieukrywaniem zdumieniem i otworzyłam usta, żeby się wyzłościwić, kiedy uprzedziła mnie pani Jola.

– Jutro Małgonia jedzie do Łomży, a u nas od rana będzie młyn. Lepiej zostań w hotelu, Mareczku, i skorzystaj z tych cudownych masaży, basenów, yakuzy.

– Z Yakuzy to może lepiej nie – odpowiedziałam. – Z jacuzzi możesz, wykupiłam ci pakiet. Chodźmy już, zaraz będzie obiad – rzuciłam sucho.

Na dźwięk magicznego słowa oczy mojego męża zabłyśły, jakby zobaczył trzy jednakowe symbole w jednoręki bandycie, i nagle znalazł w sobie nowe pokłady energii.

– Do zobaczenia! – wykrzyknął jeszcze w progę i tyle go widzieli.

– Faceci... – mruknęła Jolinka, całując mnie w policzek. – Jakby tak im odebrać zdolność mówienia, byłoby z nich całkiem proste w obsłudze zwierzątka domowe. Nakarmić, podrapać za uszkiem, posprzątać po nich i pozwolić się wyspać...

*

Nocne rozmyślenia poskutkowały jedynie bólem głowy i rozdrażnieniem, którego ofiarą padł, rzecz jasna, mój osobisty małżonek.

– Wyłącz ten diabelski budzik! – krzyczał na mnie, gdy irytujący dźwięk wyrwał nas z głębokiego snu.

– Wyłączam, tylko trafić nie mogę, nie drzyj się!

– Jest środek nocy, zwariowałaś, kobieto?

– Z całą pewnością musiałam nie być przy zdrowych zmysłach, kiedy za ciebie wychodziłam.

Wreszcie udało mi się znaleźć właściwy przycisk na ekranie telefonu i jazgot ucichł. Był kwadrans po piątej, godzina, o której nierzadko dopiero kładłam się spać, pracując nad książką. Przez moment zaprzęgnęłam zrezygnować z wycieczki do Łomży i powrócić w kojące objęcia Morfeusza, ale poczucie odpowiedzialności wzięło górę. Jasna cholera, czy ja zawsze muszę być taka słowna?!

Z ogromną niechęcią i po długiej walce z samą sobą zwlekłam się z łóżka, poczłapałam do łazienki, gdzie dokonałam stosownych ablucji, następnie wdziałam na siebie odzież, która od biedy mogła uchodzić za sportową, i opuściłam pokój, gdzie rozlegał się dźwięk wydawany przez niedźwiedzia w gawrze zimową porą. Byłam już całkiem rozbudzona.

Rower czekał przygotowany do wyprawy. Uroczą recepcjonistka zapewniła mnie, że wszystko zostało sprawdzone, łańcuch na pewno nie spadnie, przerzutki działają, hamulce też, nie mam czego się obawiać. A gdybym zabawiła na wycieczce nieco dłużej, to wszystkie przepisowe światła także są.

Nie miałam zamiaru zabawiać nigdzie dłużej, niż było to konieczne, niemniej świadomość, że jestem przygotowana, dodała mi otuchy. Jak by nie patrzeć, wybierałam się w podróż zupełnie nieznaną mi trasą, więc chociaż niech sprzęt mnie nie zawiedzie.

– No to w drogę – szepnęłam do siebie i ruszyłam spod hotelu.

Trasę zdążyłam niemal wyryć w pamięci, wpatrując się w mapę przez cały poprzedni wieczór. Nigdy bowiem nie ukrywałam, że orientacja w terenie to moja pięta achillesowa, podobnie jak wyobraźnia przestrzenna. Ustawianie mebli, planowanie remontów – to nie ze mną. Mogłam obmyślać sceny fabularne, motywy, zwroty akcji, ale narysować coś, co nie wyglądałoby jak wykonane przez Egipcjan? Zapomnijcie.

Po kwadransie poczułam, że mam mięśnie czworogłowe ud. Kilka minut później doznałam skurczu w łydce i omal nie wywróciłam się na szosie. Na szczęście ruch był niewielki, więc nic mnie nie rozjechało. Za to ja rozjechałam coś. Skupiona na obezwładniającym bólu w mięśniu nie zauważyłam zwierzątka, które nagle wybiegło z pola prosto pod koło roweru. Usłyszałam mrozący krew w żyłach pisk, poczułam

opór, spojrzałam w dół i skręciłam kierownicą, zapewne w przyływie paniki. Darłam się przy tym jak szalona, bez cienia wątpliwości.

Tym sposobem, choć nie do końca potrafię sobie przypomnieć sekwencję kolejnych zdarzeń, znalazłam się w rowie, na tyle głębokim, że kiedy leżałam na płasko, zupełnie nie było mnie widać z szosy. Rower z finezyjnie wygiętą rafka leżał obok. No pięknie...

– Au, au, au! – stękałam, podnosząc się z trawy. – Brakuje mi tylko kolejnych siniaków.

Rower nie nadawał się do dalszej jazdy. Przednie koło wyglądało, jakby ktoś po nim skakał, i o wiele bardziej przypominało kształtem bieżnię stadionu niż okrąg. Sięgnęłam do przypiętej do pasa nerki po telefon i jęknęłam głucho. Oczywiście, brak zasięgu... Ale czego się spodziewałam?

– Cholera jasna, jest tu kto?! – Rozejrzałam się wokół bez większej nadziei. Otaczały mnie pola, gdzieś dalej majaczyły drzewa. – No dobra, trzeba sobie poradzić inaczej.

Wyszłam z rowu i stanęłam na poboczu. Od czasów studenckich nawet nie pomyślałam o autostopie, ale teraz nie było innego wyjścia. Był za to kolejny problem.

Ruch na trasie Nowogród–Łomża zamarł. W drugą stronę co jakiś czas coś jechało, ale ja nie zamierzałam wracać na tarczy. Musiałam załatwić sprawy, zwłaszcza że lampka alarmowa mrugała coraz mocniej, a moja dusza nabierała pewności, że coś dziwnego dzieje się wokół Zofii Wilkońskiej. Wieczorem, kiedy rozrysowałam mapę myśli i zadałam maksymalnie dużo pytań, upewniłam się, że w tej sprawie zbyt dużo rzeczy zbiegło się w czasie. O ile jeden zbieg okoliczności można za taki uznać, o tyle każdy kolejny staje się coraz bardziej podejrzany.

Podzieliłam się wątpliwościami z Bączyńskim, kiedy zadzwoniłam do niego w sprawie bursztynu, a on nagle nabrał wody w usta i zaskakująco szybko zakończył rozmowę. To dodatkowo wzmogło moją czujność i postanowiłam, że nie odpuszczę, dopóki nie dowiem się wszystkiego. Choćbym miała osobiście znaleźć tego świra Hermana czy tam Helmuta i wyciągnąć mu prawdę z gardła.

Stałam na poboczu blisko kwadrans, aż w końcu mi się znudziło. Pewnie gdzieś wcześniej wydarzył się jakiś wypadek i chwilowo wstrzymano ruch. Jak nie urok, to wiadomo co...

Słońce świeciło już coraz mocniej, a w pobliżu drogi nie rosło ani jedno drzewo. Wolałam nie dodawać udarów do kompletu nieszczęść, już i tak wystarczająco ucierpiałam. Niewiele myśląc, ruszyłam w głąb pola, w stronę majaczących na horyzoncie drzew. Miałam do nich raptem pięćset, może siedemset metrów, ale obolałe nogi spowalniały mnie tak, że dotarcie do zacienionego miejsca zajęło mi niemal pół godziny. Wolałam też nie oglądać się za siebie i nie wiedzieć, czy jakiś samochód właśnie uciekł mi sprzed nosa. Czego oczy nie widzą...

Gdy znalazłam się na polance otoczonej gęsto rosnącymi drzewami, serce podskoczyło mi niemal z radości. Śliwy! Piękne, dorodne, obsypane owocami! Natychmiast przypomniały mi się wakacyjne wyprawy na wieś do prababci, gdzie jedyną obowiązującą zasadą była konieczność meldowania się na posiłki, a poza tym hulaj dusza, piekła nie ma! Kto nie spędzał wakacji na wsi, ten nie miał prawdziwie szczęśliwego dzieciństwa. Biedna Alicja...

Wdrapałam się na jedną z niższych śliw i rozsiadłam na grubym konarze. Rwałam owoce jeden po drugim i pochłaniałam, jakbym w życiu nie jadła śliwek. Prawdę mówiąc, tak dobrych chyba faktycznie nie jadłam. A może po prostu byłam bardzo głodna.

Czułam się błogo. Delikatny wietrzyk osuszał mokrą koszulkę, gęste listowie dawało idealną ochronę przed słońcem, owoce ratowały przed odwodnieniem. Mogłabym tak siedzieć, aż mi się sprzykrzy, jak mawiała babcia. Nagle coś zwróciło moją uwagę. Jakiś regularny dźwięk dochodzący z niewielkiej odległości. Siedząc na gałęzi, miałam zdecydowanie lepszy widok na okolicę, rozchyliłam więc liście i wyteżyłam wzrok.

Na ogrodzonej siatką działce jednostka ludzka wielkości figurki do gry w piłkę stołową machała czymś, a owo coś zaraz uderzało w ziemię. Domyśliłam się, że jednostka macha łopata lub czymś podobnym.

Rytmiczne uderzanie metalu o spaloną słońcem glebę w pewnym momencie niemal mnie uspiło, ale właśnie wtedy dźwięk zamilkł, a jednostka ludzka się oddaliła i przez chwilę nie było jej widać. Wróciła, ciągnąc za sobą coś równego jej wielkością, zatrzymała się przy czarnym fragmencie gleby, w który – jak się domyśliłam – do wykopanego dołu wrzuciła coś taszczonego do niego i znów zaczęła machać łopatą.

– A niech mnie... To wygląda jak zakopywanie trupa – bąknęłam pod nosem, zastygłszy z nadgryzioną śliwką w dłoni. – Czy to możliwe, że ktoś zakopał zwłoki na moich oczach? – szeptałam do siebie.

Oczywista i jedynie słuszna odpowiedź natychmiast przyszła mi do głowy, powodując, że wizyta w komendzie stała się pilna. Trzeba było natychmiast zgłosić chowanie trupa!

Zaraz, zaraz, tylko gdzie ja jestem? Zasięgu nie było, internet nie działał, a wszystko dookoła wyglądało tak samo.

Zeskoczyłam z drzewa i pognałam w stronę szosy, modląc się do wszystkich znanych mi bóstw o zesłanie ratunku. Któres z nich musiało mieć dobry humor, bo po kilku chwilach z prawej strony nadjechał ford.

– Jedzie pan do Łomży? – zapytałam, wciskając głowę do środka przez opuszczoną szybę po stronie pasażera.

– Jadę, niech pani wsiada.

Spojrzałam na nienadający się do niczego rower i machnęłam ręką. Trudno, odkupię.

– Może mnie pan podrzucić do komendy?

Około pięćdziesięcioletni, szpakowaty mężczyzna o niezwykle przyjemnej aparycji i bystrym spojrzeniu błękitnych oczu nawet się nie zdziwił moją prośbą. Widocznie większych wariatów już woził.

– Gdzie się pani tak urządziła? – zapytał przyjaźnie, zerkając na moje poobijane ręce.

– Rozjechałam nornicę i wpadłam do rowu – przyznałam się.

– To się zdarza – podsumował. – Ale ten kołnierz to chyba był wcześniej?

Raczej nie mogłam mu wmówić, że zawsze noszę przy sobie stabilizator ortopedyczny na wypadek rozjechania polnego gryzonia. Z niejasnego powodu facet wzbudził we mnie zaufanie. Opowiedziałam mu więc bez szczegółów o niedawnym wypadku, a on ani razu nie spojrzał na mnie oceniająco.

– I tym sposobem – zakończyłam – znalazłam się tutaj bez środka transportu, a w dodatku zniszczyłam kolejny.

– Niech pani się tym nie przejmuje, znam właściciela hotelu i na pewno bardziej się przejmie pani stanem niż rowerem – pocieszył mnie. – Poza tym jestem pewien, że koło da się naprawić.

To rzeczywiście nieco podniosło mnie na duchu, ale nie byłabym sobą, gdybym natychmiast nie wymyśliła kolejnego problemu.

– A jak ktoś ten rower ukradnie? Ja nawet nie wiem, gdzie my jesteśmy!

Kierowca się roześmiał. Było w tym śmiechu tyle życzliwości, że i mnie drgnęły kąciaki ust.

– Gdy złapie pani zasięg, powiem pani dokładnie, gdzie wbić pinezkę na mapie – oznajmił. – Ale chyba nie jedzie pani na policję, żeby zgłosić rozjechanie nornicy?

– Nie, nie – zapewniłam z uśmiechem. – Muszę zapytać o jednego faceta, który zniknął bez wieści.

Tym razem poczułam na sobie zdumione spojrzenie.

– Nie, nie, nic z tych rzeczy! – uniosłam się, zrozumiawszy wymowę owego spojrzenia. – To żaden mój absztyfikant z Tindera, brońcie bogowie! Moja przyjaciółka się niepokoi, że nie może się skontaktować ze znajomym. Rozumiem, że pan nie rozumie, bo ja też nie rozumiem...

Znów się roześmiał i znów udzieliła mi się jego wesołość. Niektórzy ludzie emanują dobrą energią, a mój nowo poznany szofer do takich właśnie się zaliczał.

– Pocieszna z pani osóbką – stwierdził ciepło.

– Oby policja uważała podobnie, bo dotychczas raczej miewali odmienne zdanie...

– Czyli pani pozostaje w regularnych kontaktach z policją?

– Niekoniecznie z własnej woli. – Sama prawda! – Wygląda na to, że coś nas do siebie przyciąga, wie pan? Trupy, teściowe, pociągi, bursztyny...

– Bursztyny? – zainteresował się nagle. – Zna się pani na bursztynach?

– Znam się na ich noszeniu i wiem, że doskonale komponują się ze złotem. Mam taki jeden wielki wisior, wie pan, z inkluzją...

– Fiu, fiu! To musi być sporo wart.

– Wolę nie wiedzieć, żeby mnie jego wartość nie przytłoczyła – odparłam zgodnie z prawdą. – Noszę go od wielkiego dzwonu, za każdym razem w miejscach, gdzie kręcą się smutni panowie w garniturach.

– Bardzo mądrze, bursztyń bałtycki jest obecnie o wiele więcej wart niż złoto – pochwalił mnie.

– A co z tutejszym? – zapytałam, węsząc okazję do zbadania męczącego mnie tematu. – Podobno na rynku go tyle, co kot napłakał, a złoża są.

– Pani na pewno nie jest z PSG¹²? – Speszył się nagle.

– Mój jedyny związek z geologią polega na tym, że tatuś jest hydrogeologiem i kiedyś jeździłam z nim w delegacje do Sławy i Boszkowa – odparłam. – Jestem etnografką z zamiłowania i pisarką z zawodu. Ostatnio zaś interesują mnie bursztyny nadnarwiańskie, bo mało kto wie o ich istnieniu.

Moja odpowiedź wyraźnie uspokoiła mężczyznę. Pokiwał głową, zerknął na mnie w lusterku i odpowiedział:

– Szczerść za szczerść. Nazywam się Bogumił Lisik, jestem bursztyńniarzem, tak samo jak mój ojciec, jego ojciec i wszyscy moi antenaci do siedemnastego wieku włącznie.

– Małgorzata. Primo voto Starosta, pisarka – przedstawiłam się, jak na kulturalną osobę przystało. – Czyli pan jesteś prawdziwy i oryginalny Kurps! – orzekłam zachwycona.

– Nie inaczej, miła pani, nie inaczej. Pani pytanie jest tyleż zasadne, co problematyczne: dziwne rzeczy ostatnio dzieją się na naszej ziemi, Kurpie ojcowiznę wyprzedają, mafia lasy plądruje, a bursztyńniarze nie mają czym pracować. Zalewa nas plaga ukraińskiego bursztynu, a on jest gorszy niż nasz, nie mówiąc już o tym, że nielegalny.

– Co też pan mówi... Mafia?

– A diabeł ich tam wie, kto to jest... Wystarczy przejść się kawałek w głąb puszczy, a zaraz się pani natknie na kratery. Wie pani, teraz, żeby coś znaleźć, to trzeba kopać głęboko, na kilka metrów. Tyle że jak ktoś wie, co robi, to i wie, jak kopać, jak po sobie posprzątać, i ma koncesję na wprowadzenie kamienia do obrotu – tłumaczył. – A tu dziury jak na Księżycu i bursztyń nigdzie nie wypłynął.

– Może niczego nie znaleźli – dywagowałam na gorąco. – Co komu przyjdzie z bryłek, w domu się nimi będzie okładać? Dla urody? Jak kopią, to po to, żeby sprzedać, tak myślę...

– Słusznie pani myśli, tak być powinno. I zgadzam się, że niczego nie znajdują, bo moim zdaniem złoża są zupełnie gdzie indziej.

Ostatnie kilka minut wspólnej podróży pokonałszy w milczeniu. Sympatyczny bursztyńniarz wysadził mnie prosto pod drzwiami komendy, a na pożegnanie wcisnął w moją dłoń wizytówkę.

– Niech pani dzwoni, gdybym mógł w czymś pomóc – rzucił przyjaźnie. – I proszę się nie martwić o rower, na pewno nikt go nie ukradnie.

Pomachałam mu, gdy odjeżdżał, po czym wzięłam głęboki wdech i pociągnęłam drzwi prowadzące do Komendy Miejskiej Policji w Łomży.

ROZDZIAŁ 14

Muzeum Kurpiowskie w Wachu jest prywatną placówką założoną i prowadzoną przez Zdzisława i Laurę Bziukiewiczów. W placówce zgromadzono przedmioty pochodzące z Kurpiów Zielonych, obrazujące dawną materialną kulturę tego regionu. Najstarsze eksponaty datowane są na koniec XVIII wieku (pasyje-krucyfiksy), a najmłodsze pochodzą z lat 70. XX wieku. Laura i Zdzisław Bziukiewiczowie to aktywni twórcy ludowi. Zdzisław jest przedstawicielem kolejnego pokolenia znanej rodziny kurpiowskich bursztyniarzy, Laura zaś jest koronkarką, specjalizującą się w wykonywaniu trudnej koronki frywolitkowej.

Dyżurny obrzucił mnie mało uprzejmym spojrzeniem i bardziej z musu niż z grzeczności zapytał o powód wizyty. Babcia od zawsze uczyła mnie, że należy krakać w języku wron, zatem nie widziałam potrzeby, by być uprzejma.

– Chciałabym porozmawiać z dzielnicowym – oznajmiłam głosem suchym jak pieprz na pustyni.

– Z jakim konkretnie?

– Najlepiej z wysokim, przystojnym, szatynem, lekko zarośniętym, o wielkich piwnych oczach i dołku w brodzie – wystrzeliłam.

To nie moja rola, żeby uczyć policjantów poprawnego posługiwania się językiem ojczystym. Wątpiłam, żeby docenił dowcip, i byłam gotowa na atak. Tymczasem...

– Majchrzak, zawołaj mi tu Kurasa! – rzucił dyżurny do słuchawki telefonu. – Pani godność? – To było do mnie.

– Starosta. Małgorzata – odparłam, zbita z tropu.

– Pani usiądzie, aspirant sztabowy Adam Kuras zaraz do pani zejdzie.

No, fajnie. Zwłaszcza jeśli będzie wyglądał tak, jak go opisałam.

Chwilę musiałam poczekać na to zjawisko nadprzyrodzone, ale w końcu policjant się zjawił. Faktycznie wyglądał jak Joe Manganiello, tylko był od niego mniej napakowany. Widocznie aspirant sztabowy Kuras nigdy nie musiał grać wilkołaka.

– Pani chciała ze mną rozmawiać? – odezwał się głosem niskim jak kontrabas, czym zdobył mnie ostatecznie.

– No ba! – wyrwało mi się niechcący. – Znaczy: tak, z panem i tylko z panem. Chciałabym zgłosić niepokojący brak kontaktu z jednym facetem.

Policjant zmarszczył brwi, jakby się zastanawiał, czy grzecznie poprosić mnie o opuszczenie komendy, czy może wynieść mnie z niej za fraki. Dałby radę, bez dwóch zdań.

– A facet ma nazwisko?

– Owszem, nawet dość oryginalne. Artur Zmarzłak.

Nie tylko aspirant sztabowy Adam Kuras, ale także dyżurny oraz mijający nas policjant w stroju cywilnym, za to z bronią, spojrzeli na mnie z przerażeniem.

– Proszę ze mną – rozkazał mój dzielnicowy. – Schodami w górę, a później w lewo i do końca.

Poszłam pierwsza, zgodnie z instrukcjami. Zastanawiałam się jedynie, czy oszałamiająco piękny aspirant sztabowy bardzo przyglądał się moim upapranym szortom, ale nawet jeśli tak, to raczej wstydu nie było. Na końcu korytarza zatrzymałam się przed drzwiami, które policjant przede mną otworzył i w których przepuścił mnie przodem. W pomieszczeniu siedziała młoda kobieta i zawzięcie stuknęła w klawiaturę.

– Dzień dobry – przywitałam się.

- Dobry - odpowiedziała i na chwilę oderwała wzrok od monitora.
- Proszę siadać. - Kuras wskazał mi krzesło, a sam zajął miejsce przy drugim biurku, tuż pod oknem. -
Słuchaj, Anka, to może cię zainteresować. Pani przyszła z pytaniem o Zmarzlaka.

- Uuuu. - Młoda policjanta ułożyła usta w dzióbek. - Proszę, proszę, a pani to kto?

- Małgorzata Starosta - przeczytał z mojego dowodu dzielnicowy.

Dziewczyna zmarszczyła czoło, jakby się nad czymś zastanawiała, i rzuciła:

- Moja ciotka czytała niedawno książki jakiejś Starosty, chyba właśnie Małgorzaty... - mówiła, przyglądając mi się uważnie.

- I co mówiła? - zapytałam neutralnym tonem i z kamienną twarzą.

- Że to taka nieudana podróba Chmielewskiej.

- A nie, to żadna rodzina. Zwykła zbieżność nazwisk - zapewniłam szybko. - O co chodzi z tym Zmarzlakiem? - Pytanie skierowałam do przystojnego mężczyzny zajętego odgruzowywaniem biurka.

- To chyba ja powinienem panią pytać. Anka, widziałaś gdzieś mój prztyczek?

- Ostatnio walał się między starymi zeznaniami. Mogę ci dać swój.

Niewielki plastikowy prztyczek powędrował z rąk do rąk, po czym aspirant sztabowy Adam Kuras uruchomił swój komputer, co poznałam po nagłym rozświetleniu jego twarzy. Ach, ten dołeczek w brodzie!

- Słucham panią, pani Małgorzato - zachęcił mnie, nie podnosząc wzroku.

- Właściwie to niewiele mam do powiedzenia, bo przysłała mnie tu przyjaciółka...

- Nazwisko przyjaciółki poproszę - rzucił Kuras.

- Eeee, no ja nie wiem, czy mogę tak szastać danymi osobowymi bliskiej mi osoby. Musiałabym zapytać o zgodę, wie pan. Ona siedzi w przepisach prawnych i wołałabym nie mieć z tego tytułu do czynienia z jakimś IODO...

Obydwoje policjanci spojrzeli na mnie jak na małpę, która właśnie odkryła, że potrafi mówić, ale nie skomentowali. Sięgnęłam do nerki, wyjęłam telefon i wybrałam numer Barbary. Odebrała niemal natychmiast.

- Co jest, kicia? Jeszcze nie mam dla ciebie tej bursztynowej komnaty, ale pracuję nad tym w pocie czoła.

- Tak? To świetnie, znakomicie. Słuchaj, ja w innej sprawie dzwonię.

- Dajesz, maleńka, byle szybko, bo właśnie jadę na zumbę. Jesteś na głośnym - ostrzegła, co miało znaczyć, że nie wolno mi zbyt wiele powiedzieć, a już na pewno słów na „k”, „ch” i „p”.

- Jestem tu, gdzie mnie prosiłaś, żebyś była, i zapytałam o tę osobę, o którą miałam zapytać, a teraz ci ludzie chcieliby znać twoje nazwisko, a ja nie wiem, czy mogę im je podać.

Przez chwilę słyszałam tylko buczenie silnika, a następnie Basia oznajmiła:

- Możesz podać, a jak trzeba, to PESEL też im wydeklamuj, ja nie mam nic do ukrycia.

Rozłączyłam się natychmiast i podałam policjantom nazwisko przyjaciółki. PESEL-u nie chcieli, za to adres był im potrzebny.

- Czyli pani Barbara Wróbel, zamieszkała we Wrocławiu, prosiła panią o skontaktowanie się z tutejszą jednostką policji w celu dokonania zgłoszenia, że niejaki Artur Zmarzlak, mieszkaniec Łomży, nie zjawił się w umówionym miejscu i nie ma z nim kontaktu? - podsumował zgłoszenie Kuras.

- Tak właśnie było.

- A jakie stosunki łączą panią Wróbel z panem Zmarzlakiem? - dopytywała policjantka.

- Są znajomymi. Gdyby byli czymś więcej, z pewnością wiedziałabym o tym.

- I to wszystko, co pani wiadomo w tej sprawie?

„Nie, wiem zdecydowanie więcej, ale chciałabym się z wami podroczyć” - miałam ochotę odpowiedzieć, jednak ugryzłam się w język i odparłam z uśmiechem:

– Tak, panie aspirancie sztabowy, to wszystko. Tylko nie mam pewności, czy jest tu jakaś „sprawa”.

Policjanci wymienili ukradkowe spojrzenia, ale nie wzięli chyba pod uwagę tego, że siedziałam naprzeciw obojga i wszystko widziałam.

– Czyli jakaś sprawa jest, tak? Państwo znają tego Zmarzlaka, a to raczej nie jest dla mnie dobra wiadomość.

– Skąd ten wniosek? – Kuras nie zaprzeczył, czyli trafiłam.

– No, wie pan, rzadko kiedy na dźwięk nieznanego nazwiska cała komenda podskakuje. Tak sobie wyedukowałam.

– Jest pani pewna, że to nie pani pisze te książki? – zaatakowała mnie policjantka.

– Proszę mi wierzyć, pani... aspirant – z trudem przypominałam sobie oznaczenia szarży na pagonach – raczej bym wiedziała, gdybym pisała książki.

– A co właściwie pani tu robi? – zainteresował się Kuras.

– Jestem na wywczasach w Nowogrodzie. Odwiedzam znajome w skansenie.

– Dawno nie byłam w skansenie – rozmarzyła się dziewczyna. – Może byśmy się wybrali w jakiś dzień wolny?

– Pani Jola wciąż pracuje? – indagował dzielnicowy.

– No jasne, że pracuje – zapewniłam go z nieudawaną żarliwością. – Bez pani Jolinki ten skansen straciłby duszę. – I nagle jakieś złe znów obudziło się we mnie, każąc mi zapytać: – A jak tam sprawa tuszowania zaginięcia pani Zofii Wilkońskiej?

Policjanci wyglądali, jakbym właśnie obrzuciła ich stekiem przekleństw w nieznanym języku. Patrzyli na mnie z mieszaniną zniesmaczenia, grozy i niechęci.

– O czym pani mówi? – zapytała policjantka niskim głosem. – Nic nam nie wiadomo na temat jakiegokolwiek zaginięcia.

– Zdziwiłabym się, gdyby powiedzieli państwo cokolwiek innego – brnęłam dalej ku swojej własnej zagładzie. – Kobieta znika z powierzchni ziemi, rodzina, współpracownicy i bliscy zgłaszają zaginięcie, a śladu po zgłoszeniu nigdzie nie ma. To właśnie nazywa się tuszowanie.

– Pani Starosta, radzę się zastanowić, zanim powie pani cokolwiek więcej – ostrzegł mnie Kuras.

– Przecież ja nic takiego nie mówię – broniłam się. – Ale wie pan co? Skoro już tu jestem, a państwo nie mają pojęcia o zaginięciu szacownego pracownika naukowego szacownej instytucji kulturalnej, to ja bym właśnie chciała zgłosić zaginięcie. Mogę?

Cud jakiś, że mnie nie skuli, nie wrzucili do aresztu, a przedtem nie zakneblowali. Zaimponowali mi właściwie, zachowując absolutnie kamienne twarze.

– Owszem, może pani. Potrzebujemy zdjęcia zaginionej i wszystkich informacji mogących pomóc w ustaleniu jej miejsca pobytu – odpowiedziała mechanicznie pani aspirant. – Kiedy widziała ją pani po raz ostatni?

– Dwudziestego lipca dwa tysiące szóstego roku – odparłam bez zawahania.

Doskonale zapamiętałam tę datę, bo dokładnie wtedy, w drodze powrotnej do domu, dostałam swoją pierwszą pracę.

– Pani wie, że po pięciu latach osobę zaginioną uznaje się za zmarłą? – sztywno ze mnie Kuras.

– Bardzo pan zabawny, wiesz. Według pracownic muzeum w Nowogrodzie pani Wilkońska zniknęła tydzień temu. Jej córka też nie widziała matki od tamtej pory, nie ma z nią kontaktu telefonicznego ani żadnego innego. Tak samo jak z tym waszym Zmarzlakiem.

Niestety, nie dysponowałam ani zdjęciem, ani adresem pani Wilkońskiej, nie wiedziałam też, jak teraz wyglądała, moje zgłoszenie nie mogło więc zostać przyjęte. Trudno, przecież nie w tym celu przyjechałam do komendy. Przy okazji jednak, zupełnym przypadkiem, potwierdziłam słowa Joli i Haliny. Pies z kulawą nogą nie szukał zaginionej pani Zofii, a to już było więcej niż podejrzane.

- Przyjadę do państwa, gdy będę lepiej przygotowana - oznajmiłam, szykując się do wyjścia. - To co mam przekazać przyjaciółce?

Chyba nie zrozumieli mojego pytania, bo spojrzeli na mnie dziwnym wzrokiem.

- Barbarze, tej od Zmarzlaka, co mam przekazać?

- A, tej. Najlepiej to nic niech pani nie przekazuje, sami się z nią skontaktujemy. - Policjantka straciła zainteresowanie moją osobą i wróciła do walenia w klawiaturę.

Co ona tam pisała? Powieść?

Aspirant sztabowy bez słowa wyprowadził mnie do dyżurki, a następnie odwrócił się i zniknął na klatce schodowej. Spojrzałam na dyżurnego, który przyglądał mi się z ciekawością, mruknęłam „do widzenia”, po czym z ulgą opuściłam budynek komendy.

- No tak, co teraz? Mam wracać na piechotę? - zastanawiałam się, włączając mapę w telefonie. Prawie trzy godziny marszu. W skwarze, kurzu i bogowie wiedzą, czym jeszcze...

- Halo! Podwieźć panią? - usłyszałam od strony jezdni.

Bogumił Lisik machał radośnie znad kierownicy.

A jednak szczęście tak całkiem mnie nie opuściło.

ROZDZIAŁ 15

Bursztyń czasem zawiera inkluzje – zwierzęta lub materię roślinną, która została uwieczniona w żywicy podczas wydzielania. Są to: owady, pająki, pierścienice, żaby, skorupiaki, bakterie i ameby, morskie mikroskamieniałości, drewno, kwiaty i owoce, sierść, pióra i inne drobne organizmy.

Kiedy zbiegałam po schodkach komendy, uświadomiłam sobie, że zupełnie zapomniałam o zakopywanym na działce trupie. Zachowanie policjantów tak mnie wyprowadziło z równowagi, że przestałam myśleć racjonalnie. Może powinnam zawrócić i porozmawiać z kimś z wydziału kryminalnego?

Zawahałam się i zaczęłam gryźć paznokcie kciuka, co robiłam zawsze, gdy się denerwowałam.

– Coś się stało? – zaniepokoił się bursztyń.

– No właśnie sama nie wiem... Co pan tu robi?

– Muszę pilnie podjechać do Zbójnej i pomyślałem, że gdyby przypadkiem pani wracała do Nowogrodu, to panią podwiozę.

Hmm... I znów przypadek. niespotykane duże ich natężenie budziło we mnie nieufność. Wątpliwości musiały odbić się w wyrazie mojej twarzy, bo uprzejmy pan Bogumił uśmiechnął się pokrzepiająco i zapewnił:

– Naprawdę wcale tu nie sterczałem, czekając na panią, i naprawdę jadę do Zbójnej. To zaledwie kawałek za Nowogrodem.

Bez słowa wsiadłam do samochodu i zapięłam pas. W głowie huczało mi od nadmiaru pytań, które w dodatku pączkowały w zatrważającym tempie. Albo przypadkiem – jasna cholera niech to weźmie! – uczestniczyłam w jakiejś aferze, albo faktycznie doznałam wstrząśnienia mózgu i zaczynałam tracić poczucie rzeczywistości.

– Załatwiła pani sprawę? – zagadnął mnie mój kierowca, gdy włączyliśmy się do ruchu.

Uparcie milczałam, mieląc w głowie nachalne myśli.

– I tak, i nie, a o jednej zapomniałam – bąknęłam w końcu, zła na siebie. – Odnoszę wrażenie, że tutejsze organy ścigania postępują według innej procedury niż obowiązujące resztę kraju.

– To znaczy? – Lisik zerknął na mnie, wyraźnie zaintrygowany.

– Idzie pan zgłosić zaginięcie człowieka, a oni nic sobie z tego nie robią. Albo robią z siebie konkursowych debili, usiłując pana przekonać, że wcale pan nie zgłasza zaginięcia człowieka, a ostatecznie odwracają kota ogonem i wychodzi na to, że to pan jest podejrzany, że w ogóle o tego człowieka pyta. Rozumie pan coś z tego?

– Nic a nic – przyznał, kręcąc głową.

– Ja też nie. A na dodatek przez to ich irracjonalne zachowanie zupełnie zapomniałam, że miałam zgłosić naoczne świadectwo zakopywania trupa.

Całe szczęście, że Bogumił Lisik był doświadczonym kierowcą i zaliczał się do ludzi opanowanych. Gdybym to ja siedziała na jego miejscu, z pewnością od razu wkomponowałabym się w rosnące przy drodze drzewo albo wjechała do rowu.

– Może pani powtórzyć? – zapytał niepewnie. – Albo może lepiej: rozwinąć?

Oczywiście, że powinnam rozwinąć, to nie ulegało najmniejszej wątpliwości, tyle że im dłużej się nad tym zastanawiałam, tym mniej byłam pewna, co widziałam.

– Kojarzy pan miejsce, z którego mnie zabrał?

– Oczywiście. Chce się pani tam zatrzymać po rower?

– Jeśli byłby pan tak miły... Ale nie dlatego pytam. W głębi pola rosną śliwy, pewnie kiedyś był tam sad owocowy.

– Zgadza się, dawno temu rosło tam mnóstwo drzew, ale później ziemia została sprzedana, częściowo pod uprawy zbóż.

– A jeszcze dalej – ciągnęłam, upewniwszy się, że oboje myślimy o tym samym miejscu – jest działka, na której stoi jakiś budynek. Widziałam go z pewnej odległości i nie wiem, czy ktoś tam mieszka, czy to w ogóle jest dom, czy może jakaś hala produkcyjna.

Lisik zmarszczył czoło, wyężając zapewne pamięć, i po chwili cmoknął z zadowoleniem.

– Wiem! Faktycznie, jest tam działka, a konkretniej kilka. Jakiś deweloper miał tam zbudować osiedle bliźniaków, ale chyba splajtował. Działka została podzielona na mniejsze i sprzedana.

– Możliwe, widziałam tylko część, w dodatku ogrodzoną. I właśnie za tym ogrodzeniem zauważyłam człowieka zakopującego coś podejrzanie wyglądającego. Albo może tylko mi się ubzdurało, że to podejrzanie wyglądało, może to był kawałek rury...

– Pomyliłaby pani rurę z człowiekiem? – powątpiewał bursztyniarz.

– Teraz to już niczego nie jestem pewna. Byłam w szoku po rozjechaniu bożego stworzonka, rozwaleniu kolejnego pojazdu, w dodatku słońce grzało mnie niemiłosiernie w czerep...

– Trochę się śpieszę do tej Zbójnej... – Zawahał się. – Jutro mnie nie ma, ale może pojutrze miałyby pani ochotę tam podjechać?

– Gdzie? – zdumiałam się szczerze. – Tam? Na tę działkę z zakopanym człowiekiem, względnie rurą?

– Aha – przyznał, choć bez przekonania. – Głupi pomysł?

Jeśli rzeczywiście widziałam zacieranie śladów przestępstwa – a już samo zakopywanie ciała człowieka stanowiłoby przestępstwo – to kręcenie się tam było nie tylko głupie, ale wręcz idiotycznie nieodpowiedzialne.

– Znakomity! – odparłam z emfazą i poczułam motyle latające mi wokół kręgosłupa. – Niech mnie pan zgarnie z hotelu z samego rana.

Czy ja kiedykolwiek powiedziałam, że nie robię głupich rzeczy? Małżeństwo z Markiem nie wystarczy za dowód, że jednak robię?

– No to wspaniale, jesteście umówieni – ucieszył się mój nowy kompan w zbrodni. Zbrodni głupoty, ma się rozumieć. – Ale wciąż nie rozumiem, o co chodzi z tym zaginionym człowiekiem, przez którego pani okazała się podejrzana.

Westchnęłam głęboko, dając tym samym wyraz osobistego braku zrozumienia, i w wielkim skrócie powiedziałam, w czym rzecz. Ku mojemu – nie wiem już któremu dnia – zdumieniu Bogumił Lisik także zareagował na nazwisko Artura Zmarzlaka, w przeciwieństwie jednak do policjantów był uprzejmy wyjaśnić mi swoją reakcję.

– Jeśli nie doszło do zbieżności nazwisk, a raczej nie sądzę, żeby w Łomży mieszkało zbyt wielu Arturów Zmarzlaków, sama pani rozumie, to ten jegomość jest mi znajomy.

Pomijając fakt, że prawdopodobnie Arturów Zmarzlaków w całej Polsce było niewielu, to rzeczywiście zbieżność nazwisk należałoby uznać za wyjątkową złośliwość losu.

– Ale tak osobiście znajomy czy jak w moim przypadku: znajomy znajomego? – Sama nie wiem, dlaczego akurat tak sformułowałam pytanie, musiałam niechcący przejąć ten durnowaty idiolekt policjantów.

– Nie przyjaźnimy się i nie pijemy razem wódki, jeśli to rozwiewa pani wątpliwości – odrzekł z uśmiechem Lisik. – Znam go niejako służbowo, Zmarzlak jest moim stałym dostawcą, o ile mogę tak to określić. Zajmuje się wydobyciem bursztynu, chociaż w ostatnich latach nie miałem z nim zbyt wiele styczności – wyjaśnił. – Słyszałem, że wyniósł się na Mierzeję Wiślaną, a niedawno chodziły plotki, że jednak na Lubelszczyznę.

- Co pan powie... - Z jakiegoś powodu ta informacja wydała mi się istotna. Ta o fachu Zmarzlaka. Uznałam, że jego wyprowadzka na drugą stronę Polski nieco komplikowała sprawę, o ile nie była, rzecz jasna, jedynie plotką. - A mógł mieć jakieś... No, wie pan, zatargi z prawem? Być na celowniku policji? - dociekałam.

- Zaskakująco trafne pytanie, sam właśnie zacząłem się nad tym zastanawiać - odparł powoli bursztyniarz pełnym namysłu tonem. - Moim zdaniem od czasu ostatnich głośniejszych afer związanych z przemysłem bursztynu z Ukrainy, a zwłaszcza po zaostrzeniu prawa geologicznego¹³, policja ma teraz na oku każdego detalistę. Tak przewencyjnie.

Byłam podobnego zdania. Cywilny człowiek nigdy się nie zastanawia nad tym, skąd w jego bransoletce, kolczykach czy broszy wziął się ten piękny kamień: mieniący się wszystkimi odcieniami złota, herbaciany, pomarańczowy, zielony, czerwony lub czerwono-brunatny. Podobno najcenniejszy jest bursztyn o mlecznej barwie, ale trochę mnie to dziwi, bo nigdy w życiu nie słyszałam, żeby ktokolwiek mleko określał mianem „bursztynowego napoju”. To raczej zarezerwowane jest dla whisky, koniaków i brandy. Bez względu na swoją barwę jantary jakoś musi do tych ozdóbek trafić. Albo z kopalni - a te kontrolowane są przez państwo lub upoważnione podmioty - albo poprzez poszukiwaczy bursztynu czy też ludzi zajmujących się jego wydobyciem poza basenem Bałtyku. Problem z tymi ostatnimi polega zaś na tym, że nie wszyscy mają tak uprawnienia, jak koncesja na wprowadzanie znalezionej surowca do obrotu. Skoro jednak Zmarzlak od lat handlował z legalnie działającym bursztyniarzem, to papiery musiał mieć w porządku. Tym niemniej należało zakładać - a już na pewno policja i służba celno-skarbowa powinny wychodzić z takiego założenia - że okazja czyni złodzieja, ukryte zaś w puszczech kurpiowskich złoża bursztynu stanowiły doskonałą okazję do wzbogacenia się bez konieczności oddawania państwu należnego mu myta.

Gdy tak rozmyślałam nad możliwościami rozwijania kariery przestępczej wokół bogactwa skamieniałej żywicy, pan Lisik zgrabnie przejechał na drugą stronę jezdni, zaparkował samochód na poboczu, zapakował zdezelowany rower do bagażnika i znów przejechał na właściwą stronę, kierując się do Nowogrodu. Wszystkie te czynności zarejestrowałam jedynie mimochodem, tak bardzo bowiem pochłonęło mnie budowanie profilu działalności gospodarczej Artura Zmarzlaka, którego nigdy w życiu nie widziałam na oczy.

- To co? Widzimy się pojutrze? - upewnił się mój szofer, wyjmując pod hotelem rower z bagażnika.

Jednoślad wyglądał tragicznie, ja natychmiast też tak się poczułam. Zrobiło mi się wstyd i nie umniejszały go żarliwe zapewnienia Lisika, że właściciel hotelu mnie nie zatłucze, a jedynie poprosi o pokrycie kosztów naprawy koła.

Odstawiłam rower na miejsce, a jego opłakany stan uwydatnił się jeszcze w otoczeniu pozostałych pojazdów, których koła były idealnie okrągłe. Smętym krokiem ruszyłam do środka.

Wyprawa mająca zająć górą dwie i pół godziny zamieniła się w całkiem długi wypad, z którego jedynie cudem wróciłam w jednym kawałku. Trafiłam na porę serwowania obiadu. Gdy spojrzałam na swój strój, niemal pędem pobiegłam do pokoju, żeby nie straszyc pozostałych gości. Marka nie było, co przyjął z ulgą - tego mi jeszcze brakowało, żeby zaczął się nade mną znęcać. Albo użalać - sama nie wiem, co gorsze.

Przyjemny, chłodny prysznic przyniósł ulgę i dopiero kiedy moja skóra odzyskała swój brzoskwiniowy kolor, poczułam, że jestem głodna. No tak, przecież zjadłam dzisiaj tylko kilka śliwek... Skoro zaś pomyślałam o śliwkach, natychmiast przed oczami stanęła mi scena zakopywania czegoś lub kogoś na tajemniczej działce. Coś, choć nie potrafiłam skonkretyzować, co konkretnie, kazało mi myśleć, że to nie była żadna rura, worek śmieci, stary dywan czy cokolwiek równie mało istotnego. Pierwsza myśl, przeblysł intuicji zawsze są najtrafniejsze, choćby cały tabun policjantów próbował nam wmówić, że czarne jest białe, a białe jest czarne.

Ledwo zdążyłam wyjść spod prysznicza i owinać się ręcznikiem, kiedy sygnał telefonu wywołał mnie z łazienki.

– Już się pan za mną stęsknił, panie komisarzu? – rzuciłam zaczepnie do mikrofonu.

– Pani Starosta, czy ja mogę się dowiedzieć, co pani najlepszego wyprawia?!

Spojrzałam na siebie w lustrze wiszącym obok drzwi.

– Stoję w ręczniku na środku pokoju hotelowego i słucham, jak pan na mnie krzyczy, chociaż nie mam pojęcia dlaczego.

– Czy pani ze wszystkiego musi sobie robić żarty? – Bączyński niemal już sapał do słuchawki, a ja bez trudu wyobraziłam sobie pianę na jego ładnych ustach.

– Nie ze wszystkiego. Nigdy nie żartuję z ludzkich nieszczęść, niepełnosprawności i tragedii. I z rudych też nie, bo to najczęściej nieszczęście.

Policjant zgrzytnął zębami tak głośno, że aż mi zapiszczało w uchu. Przy okazji ręcznik się poluzował i zaczął zsuwać z biustu, odłożyłam więc telefon na łóżko, kliknęłam ikonkę głośnika i zabrałam się za poprawianie prowizorycznego przyodziewku.

– Jest pan tam, komisarzu?

– Co pani robiła w komendzie w Łomży?

Oho, wieści szybko się rozchodzą! A w innych kwestiach jakoś nasza policja nie potrafi tak zgodnie współpracować, no, no...

– Nie wiedziałam, że trzeba się tłumaczyć z wizyt w pańskiej firmie – odparłam przekornie. – Z własnej woli tam byłam i w dobrej wierze, niech się pan nie martwi.

– A martwię się, żeby pani wiedziała! – ryknął policjant. – Niech się pani nie interesuje sprawami, o których nie ma żadnego pojęcia, i ludźmi, o których ma pani jeszcze mniejsze.

Już miałam na końcu języka ripostę, że mniejszego pojęcia niż żadne to się raczej nie da mieć, ale jakiś instykt kazał mi się w ów język ugryźć. Zamiast tego postanowiłam wy badać, co mogło tak rozsierdzić sympatycznego stróża prawa.

– Dobrze, obiecuję, że nie będę się interesowała ludźmi, o których nie mam pojęcia – zapewniłam, nadając swojemu głosowi powagi. Żeby nie myślał, że sięgam po ironię, w żadnym wypadku! – Czy mam rozumieć, że niechcący powiedziałam coś głupiego? Skompromitowałam siebie, a pana przy okazji? Uraziłam kogoś?

– Ech... – westchnął głęboko Bączyński, ale też chyba trochę z ulgą. – Nikogo pani nie skompromitowała, na całe szczęście, ale proszę, żeby nie zajmowała się pani sprawami policji. My naprawdę wiemy, co robimy, pani Małgorzato.

No jasne, że wiecie, bo nic nie robicie...

– Panie komisarzu, ale ja naprawdę nie rozumiem. Przecież z panem też rozmawiałam o zaginięciu Wilkońskiej i wtedy pan na mnie nie wrzeszczał.

W słuchawce zapadła cisza. Nie żeby mi to przeszkadzało, zawsze uważałam, że w miłym towarzystwie przyjemnie się milczy, ale głód zaczynał mi już poważnie doskwierać.

– Panie komisarzu?

– Mhm.

– Muszę się ubrać, bo nic dzisiaj nie jadłam, a w restauracji obowiązuje dress code. Niech pan sobie pomilczy, jak ma ochotę, ja się postaram uwinąć.

– Niech mi pani obieca, że nie będzie więcej odwiedzać jednostek policji – poprosił niemal błagalnym tonem.

– A jak mnie ktoś napadnie? Okradnie? Zgwałci?

– To proszę do mnie dzwonić. Długo pani będzie na tych Kurpiach?

– Trudno powiedzieć, ale nie dłużej niż dziesięć dni. Marek musi wrócić na zdjęcie szwów.

– Wytrzyma pani tyle czasu bez pakowania się w kłopoty?

Cholera jasna, jak ja nie lubię kłamać! A zwłaszcza okłamywać takich miłych facetów.

- Obiecuję, że postaram się zrobić wszystko, żeby nie stwarzać przypadkowych okazji do celowego wpakowania się w poważne kłopoty.

Nie wiem, czy była to satysfakcjonująca odpowiedź, bo prawdopodobnie Bączyński musiał przez chwilę zastanowić się nad jej sensem. Ja w tym czasie szybko się z nim pożegnałam i zakończyłam rozmowę. Teraz byłam już pewna, że ten cały Zmarzlak był nie tylko szemrany, ale z jakiegoś powodu znajdował się w centrum zainteresowania komisarza Michała Bączyńskiego. A to z kolei oznaczało, że jego zniknięcie bynajmniej nie było dziełem przypadku.

ROZDZIAŁ 16

Bartnicy należeli do jednych z pierwszych mieszkańców puszczy. Zakładali barcie w wydrążonych pniach drzew sosnowych lub dębowych i hodowali dzikie pszczoły. Po powaleniu drzewa przez burzę zabierali uszkodzone barcie do zagrody. W ten sposób narodziło się pszczelarstwo.

Gdyby nie fakt, że kiszki grały mi marsza niemal weselnego, a telefon miał ledwie kilka procent baterii, pewnie od razu zadzwoniłabym do Bachy, żeby wypytać o tego jej „znajomego”. Skoro już mam mieć przez kogoś kłopoty, to wolałabym wiedzieć, przez kogo oraz jakiego rodzaju te kłopoty mnie czekają. Jeśli Zmarzłak zasłynął wśród organów ścigania za okradanie państwa polskiego z podatków należnych od dóbr naturalnych – jakoś zdzierzę. Ale gdyby okazał się swołoczą handlującą narkotykami pod szkołami, to moja trwająca ćwierć wieku przyjaźń z Barbarą zakończy się jak ręką odjął. Chyba że ona o działalności znajomego nie ma wiedzy, to wtedy należy się zawieszenie kary.

Tak czy inaczej głód wiedzy przegrał z atawistycznym głodem fizjologicznym, telefon został podłączony do ładowania, w związku z czym na odpowiedzi przyjaciółki musiałam jeszcze chwilę poczekać.

– Pięknie wyglądasz! – przywitał mnie Marek.

Przez chwilę nawet zwątpiłam, że to mój małżonek, bo szeroki uśmiech na jego twarzy, teraz zaczerwienionej od słońca, był widokiem tak obcym, że zupełnie mi się z nim nie kojarzył.

– Dziękuję – odparłam niepewnie. Pomijając piankowy kołnierzyk pasujący do strojów dworzan Marii Antoniny, rzeczywiście wyglądałam nie najgorzej w błękitnej sukience podkreślającej opaleniznę i niebieskie tęczówki. – A co ty jesteś taki zadowolony?

– Wolałabyś, żebym płakał?

Dyplomatycznie zmieniłam temat.

– Jak ci minął dzień?

– O, znakomicie! Miałaś rację, wspaniale tu można odpocząć. A twoja wyprawa udana?

– Całkiem, całkiem – odparłam, sięgając po karafkę z wodą, którą przed chwilą kelnerka postawiła na środku stołu. – Poznałam sympatycznego bursztyniarza, zepsułam rower, najadłam się śliwek, trafiłam na trop trupa i zrobiłam z siebie widowisko na policji.

Marek nagle się zachłysnął. Odczekałam, aż minie atak, po czym podsunęłam mu szklanekę z wodą.

– Co zrobiłaś? Możesz powtórzyć? – wycharczał, odzyskawszy oddech.

– Widowisko na policji.

– Nie to! Co zrobiłaś z rowerem?

Noż diabli nadali! Z tych wszystkich informacji wychwycił akurat tę, którą starałam się ukryć. Czy mężowie mają wmontowany jakiś radar?

– Nic takiego, pan Bogumił mówi, że właściciel ma dobrego naprawiacza...

– Jaki pan Bogumił? – Brew mojego małżonka drgnęła niepokojąco.

– Ten bursztyniarz, którego poznałam. Sympatyczny.

Mogłam sobie podarować tego sympatycznego, bo mężowska brew uniosła się jeszcze wyżej. Na całe szczęście przemilczałam, że Lisik jest także dość przystojny.

– Ja nie wiem, jak ty to robisz, że gdzie się nie zjawisz, tam cię jacyś faceci zaczepiają – wyrzucił z siebie coraz bardziej naburmuszony Marek.

- No, kochany, maszkarona za żonę nie brałeś - przypomniałam mu. - Co ja na to poradzę, że na świecie są inni mężczyźni i akurat oni zjawiają się na mojej drodze, kiedy tego potrzebuję? Widać babcia nade mną wciąż czuwa.

To powiedziawszy, zrobiłam miejsce dla talerza, który właśnie zmaterializował się nad moim lewym ramieniem. Na talerzu zaś pysznił się różowutki filet z łososia podany na sałatce w towarzystwie opiekanych ziemniaków. Jedzenie, jak wiadomo, łagodzi obyczaje, złagodziło także odrobinę nadwątłony humor mojego małżonka. Po kilku kęsach radosny nastrój powrócił na jego czerwone oblicze, a przewiny zostały mi wybaczone. Przynajmniej chwilowo.

- À propos bursztyniarza - odezwał się, konspiracyjnie nachylając nad stołem. - Było tu dzisiaj dwóch takich, na basenie ze mną siedzieli. Myśleli, że zasnąłem, i rozmawiali o jakimś odkryciu. Że niby gdzieś niedaleko ktoś przypadkiem odkrył podobno całkiem duże złożę bursztynu.

- Co ty powiesz? - Takich „niby” i „podobno” to pewnie więcej niż ziaren piasku na plaży w Karwii. - Ale gdzie dokładnie i jak duże?

- Nie wiem, gdzie dokładnie, przecież spałem!

- Mareczku - syknęłam złowieszczo - jestem przekonana, że tych dwóch nie użyło między sobą określenia „gdzieś niedaleko”.

Czerwona twarz Marka okryła się burgundowym rumieńcem.

- No możliwe, że nie... - bąknął, po czym jednym haustem wypił szklanekę wody.

- Czyli musieli podać nazwę tego miejsca albo powiedzieć „niedaleko tego” czy też „tuż koło tego”. Tak było?

Marek skinął głową.

- To może sobie przypomnij, o jakim miejscu mówili.

- A właściwie po co ci to wiedzieć? - zachnął się nagle mój ślubny garb.

- Bo jestem z natury ciekawska, a poza tym chciałabym to skonfrontować z moim nowo poznanym bursztyniarzem. On twierdzi, że wie, gdzie są złoża.

Nie da się ukryć, że zafiksowałam się na tym bursztynie. Po rozmowie z Bączyńskim postanowiłam dowiedzieć się wszystkiego o Zmarzlaku. Jeśli wymagało to wejścia do świata bursztyniarzy, to ja wejdę do niego po czubek głowy. Nauczę się wydobywać bursztyn i go obrabiać, jeśli będzie trzeba - choć miałam nadzieję, że jednak nie będzie takiej konieczności. Tym niemniej oczy i uszy należało mieć otwarte.

- To w jaki sposób rozwalilaś rower? - zapytał, gdy z jego talerza zniknęło wszystko, włącznie z kielkami rzodkiewki, których nigdy wcześniej nie lubił.

Z dwojga złego wolałam powiedzieć prawdę, nawet jeśli w rezultacie czekała mnie długa połajanka.

ROZDZIAŁ 17

Bursztynowe ozdoby znaleziono w grobowcach mykeńskich na Półwyspie Peloponeskim i w innych miejscach w Europie. W jubilerstwie najbardziej ceniony jest bursztyn bałtycki. Ozdoby i amulety wyrabiano z niego już w paleolicie, o czym świadczy stanowisko archeologiczne we wsi Niedźwiedziówka w powiecie nowodworskim.

Kiedy Marek, ku mojej uldze, poszedł ustalić kwestię naprawy roweru, ja postanowiłam zająć się sprawą Zmarzlaka. Nie potrafiłam sobie wyobrazić sytuacji, w której moja przyjaciółka, odpowiedzialna żona, matka dzieciom oraz kotom, szanowana bizneswoman i przewodnicząca rady osiedla, weszła w komitywę z reprezentantem świata przestępczego. W spożywcza raczej się nie poznali.

Telefon niemal wcale się nie podładował, tyle co nic, czemu trudno się dziwić, biorąc pod uwagę, że gniazdka w hotelach działają tylko przy włożonej w odpowiednie miejsce karcie dostępowej. Na domiar złego akurat w tym momencie wyświetliło się połączenie przychodzące.

– Booondziorno, *cara mia* – zanuciła Barbara, zanim zdążyłam jej powiedzieć, że oddzwonię, jakby była po kilku głębszych. – Co słychać? Jak się miewa moja najcudniejsza badaczka kultury ludowej?

Oooohooo, coś tu się wyraźnie odjaniepawliło. Usiadłam na łóżku i włączyłam tryb głośnomówiący.

– Mam się znakomicie, chociaż w odróżnieniu od niektórych jeszcze nie piłam – odparłam, nie kryjąc przygany w głosie. – A ty co?

– A ja, proszę cię, zdobywam bezcenne informacje na temat bursztynu. – Ostatnie słowo wymówiła z niejakim trudem, co ostatecznie mnie upewniło, że z trzeźwością jest na bakier.

– Ale wiesz, że chodziło mi o zastygłą żywicę, a nie wysokoprocentowy alkohol o bursztynowej barwie?

– Pffffff! – parsknęła do słuchawki. – Ty mnie wcale nie doceniasz, kicia, nic a nic. Jak tylko usłyszysz, czego się dowiedziałam, to ci ten złośliwy jęzor kolkiem stanie w gardle.

– Wątpliwe, ale zawsze warto spróbować...

– Ciiii... Milcz, zmij! Teraz ja przemawiam. Otóż...

Usłyszałam szeleszczący dźwięk, co musiało oznaczać, że Barbara sięgnęła po swoje zapiski.

– Bursztyn – ciągnęła po chwili – a konkretniej jego eoceńska odmiana, czyli sukcynt, jest zaliczany do kamieni szlachetnych, zgodnie ze znowelizowaną ustawą Prawo geologiczne i górnicze. Oznacza to nie mniej, nie więcej tyle, że każda bryłka leżąca w ziemi należy do Skarbu Państwa. Ergo: każdy, kto będzie chciał sobie wykopać dziurę, żeby – dajmy na to – ukryć zwłoki, a przy okazji znajdzie w owej dziurze jantary, musi rozliczyć się z miłościwie nam panującym stosownym ministrem.

Nietrudno się domyślić, że na wspomnienie dziury w ziemi i zakopywania w niej zwłok przeszły mnie ciarki. Nie – ciary, biegnące w tę i nazad, od góry do dołu. Z wrażenia nie zdążyłam zareagować.

– Idąc tym tropem – kontynuowała Basia – należy odnotować, że zarówno poszukiwanie, jak i eksploatacja złóż są regulowane przez państwo stosownymi koncesjami, których zdobycie wcale nie jest sprawą prostą, a zatem pojawia się problem pierwszy – cmoknęła głośno i znów zaszeleściła kartką. – Mianowicie: lud w nosie ma przetargi i takie tam, zdecydowanie woli pod osłoną nocy dokonywać nielegalnych wykopków. Ustawa zabrania zbierania bursztynu na przykład na wydmach albo w lasach, a od dwa tysiące dziewiętnastego także koło własnego obornika. Nadążasz?

Powoli zaczynałam nadązać. Zaostrenie prawa geologicznego musiało wynikać z procedury nielegalnego wydobycia bursztynu, co zapewne szkodziło nie tylko interesowi fiskusa, ale także – a może przede wszystkim – środowisku naturalnemu. O ile dobrze się orientowałam, a jako córka geologa miałam

jako takie pojęcie, wykopywanie sięgających kilka metrów w głąb ziemi dziur w sposób oczywisty niszczyło cały ekosystem. Kopanie plastikową łopatką Alicji na plaży w Karwii oczywiście się nie liczy.

– Wydobycie bursztynu, jak zdradziło moje źródło zbliżone do trójmiejskich bursztyniarzy, odbywa się dwiema metodami. – Niezawodna przyjaciółka była jak zwykle doskonale przygotowana. – Odkrywkowo, jak standardowa żwirownia, albo hydraulicznie. Ten drugi sposób jest częstszy i bardziej efektywny. Polega na...

– ...wylukiwaniu pod ciśnieniem nawierzonej dziury w kształcie leja – dokończyłam za nią.

– Tak jest. Trochę to potem przypomina poszukiwanie złota w Ameryce, takie same sitka mają. I teraz tak: zarówno legalni, jak i ci na czarno, robią to tak samo. Tyle że pierwsi zgodnie z literą prawą zasypują wądoły po sobie i na wszystko mają papier, a drudzy... No, wiadomo.

– No dobrze, jak dotąd wszystko rozumiem. Ale skoro ci nielegalni nie mają papieru, to w jaki sposób potem opychają towar? – zastanawiałam się na głos.

– Ano właśnie, w tym sęk. Bursztynnicy nie chcą kupować surowca bez dokumentów. A zatem nasi bursztyniarze-złole muszą szukać innego rynku zbytu. Niekoniecznie w kraju nad Wisłą. Słyszałam, że Chińczyk kupi bez certyfikatu.

– Czyli problemy się mnożą... Zniszczone lasy, krajobraz księżycowy, niebezpiecznie głębokie otwory stwarzające zagrożenie dla zwierząt i ludzi, straty finansowe i podgryzanie naszego narodowego dziedzictwa oraz szkodzenie branży jubilerskiej – wymieniałam, powoli rozumiejąc, co musiał czuć bursztynnik gdański z dziada pradziada.

– Pięknie to podsumowałaś, Goniu – pochwaliła mnie przyjaciółka i cmoknęła z zadowoleniem. – I tak sobie myślałam, kiedy zbierałam dla ciebie te materiały, że gdybym na przykład kupiła sobie działeczkę na terenie bursztynodajnym i przy okazji wkopywania jakichś drzewek natknęła się na takie maleńkie, malusienieczkie złóżko, to czy nie skusiłabym się, żeby nie lecieć od razu do Wielkiego Brata. Bo wiesz, takie bryłeczki po dwieście, trzysta gram to można na czarnym rynku opchnąć nawet za trzy tysiące euro za kilogram. A ileż na ten kilogram wejdzie? Woreczek?

Wyobrażenie sobie tego woreczka z bryłkami przyszło mi nader łatwo. I zrozumiałam to, co Basia przekazywała między wersami.

– Kochana moja, a skąd ty tak szczegółową wiedzę zdobyłaś? – zapytałam, bo na to tylko czekała ta chodząca encyklopedia bursztynu. – I dlaczego odnoszę wrażenie, że jesteś odrobinę... miętowa?

– Aha! – ucieszyła się nad wyraz głośno. – Wiedziałam, że się poznasz! Domyślna z ciebie bestyjka, *mi amore*. Pamiętasz, jak cię prosiłam, żebyś poszła zapytać w jedno miejsce o jednego takiego? To nawet dobrze, że jeszcze tego nie zrobiłaś, bo on się znalazł, wyobraź sobie. I właśnie świętujemy to znalezienie się, przy okazji uzupełniając moje braki w wiedzy z bursztyniarstwa. Ty wiedziałaś, że we Wrocławiu na Partynicach znaleziono jeden z największych bursztynowych skarbów?!

Nie wiem, która z informacji oszołomiła mnie bardziej. Przez chwilę milczałam, mrugając szybko, jakby miało mi to pomóc w rozwianiu mgły mózgowej.

– Basiu, czy możesz powtórzyć? – poprosiłam niemal szeptem.

– O skarbie? No to słuchaj, tylko muszę zajrzeć do notatek, bo nie pamiętam, czy to było w tysiąc dziewięćset szóstym, kiedy zaczynano budować Halę Stulecia, czy w trzydziestym szóstym...

– Nie, nie o skarbie, Barbara! – podniosłam głos, czując, jak pot ścieka mi po plecach. – O jednym takim.

– A! – Rozległ się niewyraźny szept, po chwili jakiś trzask w tle i dopiero wtedy moja przyjaciółka się odezwała: – No znalazł się, niemota jedna, tak samo nagle, jak zaginął. Pojawił się na mojej wycieraczce jakby nigdy nic.

– A gdzie był, kiedy go nie było?

– Ukrywał się. Tak twierdzi, a ja mu wierzę.

Siły mnie opuściły.

– Basiu... – jęknęłam. – Ty sobie nie wyobrażasz, co ja dzisiaj przeżyłam. Naprawdę będę ci bardzo wdzięczna, jeśli zaczniesz mówić jaśniej. I tak na marginesie: byłam już tam, dokąd mnie wysłałaś, i wygląda na to, że ten twój Zmarzlak to nie jest dla tutejszej policji persona incognita.

W słuchawce zapadła cisza. Przez kilka minut słuchałam regularnego oddechu Barbary, przerywanego co jakiś czas cmoknięciem.

– No? – ponagliłam ją w końcu.

– No... to klops. Kaplica. Zaraz będzie awantura.

– Ponieważ?

– Przestań syczeć, dobra? Musimy się zastanowić, co zrobić, żeby to naprawić.

– Co?! Co, do cholery, i dlaczego mam naprawić?! – wydarłam się na nią, straciwszy cierpliwość.

– Ciiii, kicia, nie krzycz. Nie krzycz, bo ktoś cię usłyszy, wezwie policję i będzie afera.

– Barbara, ja nie wiem, co ci się stało, co piłaś, a już na pewno nie wiem, co ma znaczyć ten bełkot – zaczęłam, wściekła do granic. – Kim jest ten facet?! Co ty tam z nim wyrabiasz? I czy nie przeszło ci przez głowę, że skoro ukrywał się przed złolami, to może złole zaraz wparują ci do domu i zrobią krzywdę kotom?

– Co ty pleciesz? – oburzyła się moja przyjaciółka. – Nikt kotom krzywdy nie robi, bo on się przed złolami nie ukrywał, tylko przed policją.

No nie... Jeśli można kogoś zamordować siłą umysłu, to ja właśnie dokonywałam brutalnego mordu na swojej najbliższej przyjaciółce, a w dodatku sprawiało mi to przyjemność.

– Wyjaśnij – wycodziłam, czując, że od zaciskania zębów zaczyna boleć mnie głowa.

Znów usłyszałam niesprecyzowane dźwięki w tle, po chwili zamknięcie drzwi, przytłumione szepty. To, czego dowiedziałam się później, sprawiło, że zaczęłam żałować nieposłuchania siły wyższej. „Mądry Polak po szkodzie”, jak zwykle się mawiać, tyle że szkoda dopiero zaczynała pokazywać swoje rozmiary.

ROZDZIAŁ 18

Skansen Kurpiowski w Nowogrodzie to w zasadzie park etnograficzny, który rozpościera się na obszarze około 3,5 hektara. Znajdują się tu 23 zabytkowe budynki drewniane oraz kilkadziesiąt obiektów tzw. małej architektury: bramy, kapliczki, studnie itp.

Mina, z jaką zastał mnie Marek, musiała w pełni odzwierciedlać klębiące się we mnie przerażenie. Pewnie tylko dlatego nie dostałam bury za zniszczenie roweru, który okazał się wyjątkowo drogi. Mążzonek usiadł obok, chwycił mnie za rękę i cierpliwie poczekał, aż będę gotowa wydać z siebie jakikolwiek dźwięk.

– Straciłam przyjaciółkę – bąknęłam dość niewyraźnie, nie odrywając wzroku od przeciwległej ściany.

– Co ty mówisz? – przestraszył się Marek. – Co się stało Basi?!

– Oszalała. Straciła rozum. Zdurniała do reszty...

– Aaaaa, to już dawno – westchnął z ulgą i machnął zdrową ręką. – Myślałem, że coś poważnego.

– Ty się nie natrzęsaj, Maruś – warknęłam, patrząc na niego. – Jak ci zaraz wszystko streszczę, to ci skarpetki spadną.

– Klapki mam... – Poruszył prawą nogą i rzeczony kłapek wykonał piruet w powietrzu, po czym wylądował z plaśnięciem na podłodze. – O, widzisz, faktycznie spadł.

Wciąż nie mogłam uwierzyć w to, co usłyszałam w ciągu trwającej blisko pół godziny rozmowy, a prawdę mówiąc, miałam nadzieję, że to wszystko mi się przyśniło. To niemożliwe! – powtarzałam w myślach – to absolutnie nie może być prawda. Baśka nie jest głupia, z nas dwóch to raczej ona uosabia rozum, jak więc do tego doszło?

– Gosiu, czy ty możesz wreszcie powiedzieć, co się stało? Bo trochę się zaczynam bać...

– Bój się, jako i ja się boję, albowiem złe wkroczyło do naszego życia i nie zawaha się w nim namieszać.

*

W wieku osiemnastu lat ludzie robią dziwne rzeczy. Zazwyczaj głupie, często ryzykowne, niekiedy skrajnie nieodpowiedzialne. Osiemnastoletni Artur Zmarzlak bynajmniej nie był chlubnym wyjątkiem od reguły; przeciwnie – można by go stawiać innym za przykład patologicznych zachowań młodych gniewnych.

Wychowany w środowisku nadnarwiańskich bursztyniarzy szybko nauczył się działać na granicy etyki, a ponieważ zawsze lepiej potrafił liczyć, niż przewidywać skutki swoich działań, bardzo wczesnie się zorientował, że oddawanie lwiej części zysków fiskusowi jest niesprawiedliwością wołającą o pomstę do nieba. Zapomniał jednak, zachłyszawszy się łatwo pomnażanym majątkiem, o zdaniu, które niemal codziennie powtarzała jego babka: że pycha kroczy przed upadkiem. A Artur, coraz częściej posługujący się ksywą Zimny, do której po jakimś czasie przylgnął drugi człon, czyli Trup, robił się pyszny w tempie wprost zatrważającym.

Szemrane interesy i nielegalnie zdobywany surowiec, który Zmarzlak następnie opychał – raczej detalicznie i pod stołem – kolekcjonerom i bursztynnikom, znalazły się w centrum uwagi policji, nim chłopak zdążył wywnioskować, że nie wszyscy jego „klienci” grają fair. Jeden z nich, pośrednik w obrocie kamieniami szlachetnymi, skrupulatnie meldował organom ścigania o wszystkich transakcjach, w których maczał palce Zimny. A że chłopak niczego tak się nie bał jak wypoczynku w polskim więzieniu, funkcjonariusze operacyjni łatwo przekonali go do przyjęcia oferty pracy w charakterze POZI¹⁴. Ostatecznie, jak uznał po krótkim namyśle, lepiej być szpiclem, niż dzielić przysznic z mordercami.

I tym sposobem Artur Zmarzlak, pseudonim Trup (ksywkę Zimny policja uznała za zbyt oczywistą), zyskał spokój i amnestię oraz dość długą smycz, którą znosił dzielnie, bo z natury był raczej optymistą

i plusy dodatnie zawsze przysłały mu te drugie.

Sielanka trwała dość długo, niemal dwie dekady, w trakcie których Trup był wzorowym ucholem, a Zmarzlak działał bez przeszkód w światku bursztyniarzy. Zyskiwał coraz szersze kontakty, realizował coraz poważniejsze transakcje, zdobywał pozycję w branży. Dodatkowe gratyfikacje od policji sprawiały, że nie kusiły go żadne lewe interesy, z oddaniem donosił na szabrujących po lasach kolegów, informował o przemyśle z Ukrainy i wyświadczał zaprzyjaźnionym funkcjonariuszom operacyjnym różne mniejsze i większe przysługi. Aż tu nagle, zupełnie znienacka, wszystko to trafił szlag tak solidny, że gdyby zamienił się w energię elektryczną, mógłby oświetlić całe Las Vegas.

Artur Zmarzlak zakochał się bez pamięci, na śmierć i życie, do końca świata i bezgranicznie, w sensie dosłownym i metaforycznym. Oksana Marczenko, dziewczę najpiękniejsze na tym najlepszym ze światów, tak zawróciła w głowie blisko czterdziestoletniemu bursztyniarzowi, że nikt nie był w stanie mu przetłumaczyć, iż po pierwsze ona jest od niego dwa razy młodsza, a po drugie, jej ojciec jest bossem zorganizowanej grupy przestępczej. Dla zakochanego po uszy Zmarzlaka nie stanowiło to żadnej przeszkody. W końcu od dziecka był optymistą i nigdy nie wątpił, że „jakoś to będzie”.

Jedynie wrodzona nieśmiałość w kontaktach damsko-męskich powstrzymała Artura przed rzuceniem się do stóp Oksany i błaganiami jej, by za niego wyszła. Wymyślił inny sposób, w jego mniemaniu absolutnie niezawodny: wejdzie do organizacji Aleksieja Marczenki, zostanie jego totumfackim i zdobędzie serce, rękę, usteczka Oksany wraz z błogosławieństwem ojca. Matką się nie martwił, bo tę zdobył już wcześniej. Dosłownie. Choć właściwie to on był zdobyczą pięknej Tatiany, jak zresztą każdy, kogo sobie upatrzyła na chwilowe towarzystwo.

Z jego kontaktami, doświadczeniem i znajomością lokalnego rynku nie było trudno przekonać Aleksieja, że zatrudnienie Zmarzlaka przyniesie odpowiednie profity, problemem jednak okazały się dotychczasowe układy z policją. Marczenko nie był w ciemni bity, doskonale wiedział, kogo należy opłacać, i dwudziestoletni staż pracy Artura w donoszeniu szybko został odkryty. Jednak wbrew obawom Zimnego boss uznał to za atut i postanowił wykorzystać po swojemu, oferując mężczyźnie stanowisko podwójnego agenta.

Początkowo było łatwo: tak jedni, jak i drudzy ufali mu bezgranicznie. Każdy cynk sprzedany Marczence okazywał się prawdą, a pozycja Zmarzlaka w firmie umacniała się z każdym miesiącem. Policja z coraz większym zdziwieniem obserwowała spadek liczby prób przemytu. Z czasem, głównie z racji coraz większego zaangażowania w działalność firmy Marczenki, Zimny zaniedbał obowiązki informatora, coraz częściej unikał kontaktów, wymawiając się delegacjami, kolacjami służbowymi i nienormowanym czasem pracy. I znów nadmierny hurraoptymizm poskutkował nieprzewidzianymi przez Zmarzlaka wydarzeniami: pewnego dnia informacja przekazana mu przez jego „psa” okazała się dezinformacją, dość długo przygotowywane przez Marczenkę przedsięwzięcie zostało skompromitowane, a kilka osób trafiło za kratki.

Na domiar złego – czego Zmarzlak przewidzieć nie był w stanie – wraz z wejściem do świata przemytników stał się obiektem zainteresowania Centralnego Biura Śledczego Policji, które sprawę przeciwko Marczence budowało od dłuższego czasu. Brakowało im jedynie solidnych dowodów, a najlepiej złapania przestępców na gorącym uczynku. Potrzebowali do tego kreta.

Każdy może zostać informatorem, jak twierdzą służby bezpieczeństwa, wystarczy znaleźć właściwy argument. W przypadku Zmarzlaka argumenty były dwa, oba solidne: zarzut prania pieniędzy i uczestnictwa w grupie przestępczej trudniącej się nielegalnym handlem i przemytem oraz kupa forsy. Sześciocyfrowa liczba przemówiła do rozumu Zimnego nawet szybciej niż odpuszczenie grzechów i tym sposobem wykiwał zarówno policję, jak i mafię, zyskując plecy niemal z tytanu. Co prawda ręka Oksany nie stała się bliższa ani na jotę, a możliwe, że wręcz się oddaliła, ale przecież jakoś to się poukłada.

- Jeśli pod tą sensacyjną pelerynką ukryłaś historię życia męża twojej przyjaciółki, to oficjalnie odszczekam wszystko, co mówiłem o swojej znajomości ludzi - oznajmił Marek po wysłuchaniu opowieści na temat meandrów życia Zmarzlaka.

- Moja przyjaciółka jeszcze się nie pojawiła w narracji, bo właściwie wciąż nie mam pojęcia, w jaki sposób się w niej w ogóle znalazła...

- A ten cały Zimny Trup to kto?

- Jej kolega. Przyjaciel. Sama już nie wiem! - zdenerwowałam się okrutnie, bo ja bardzo nie lubię nie wiedzieć. - Bateria mi się rozładowała i przerwało rozmowę, a później ona już miała wyłączony telefon.

Marek cmoknął z niesmakiem, bo osobiście nie znosił, gdy nie udawało mu się do kogokolwiek dodzwonić. A już w szczególności do mojej przyjaciółki, która dość niefrasobliwie traktowała baterię w telefonie.

- Maruś?

- Hmm?

- Martwię się...

- To się nie martw. Naładuje telefon i oddzwoni. Kiedyś.

- Ale ty nie rozumiesz. - Przygryzłam wargę jak zawsze, gdy miałam do wyznania coś bardzo niewygodnego. - Bo ten cały Zimny Trup jest teraz u Basi.

Ten wyjazd z wielu względów miał się zapisać w mojej pamięci jako wyjątkowy. Jednym z tych względów był mój osobisty małżonek, który niemal bezustannie mnie zaskakiwał, jakby przeszedł przemianę. Spodziewałam się, że zacznie wyklinać, odsądzać Basię od czci i wiary, tymczasem on przejął się chyba bardziej ode mnie.

- Matko kochana, musimy coś zrobić! - Zerwał się z łóżka i ruszył dookoła pokoju. W jednym klapku, co wyglądało odrobinę komicznie.

- Ale co?

- Nie wiem, chronić ją jakoś. Pomoc ściągnąć, cokolwiek!

- Odniosłam wrażenie, że nic jej nie grozi z jego strony...

- Z jego może nie, ale co się stanie, jeśli ten element przestępczy się za nim puści?

- Nawet nie chcę o tym myśleć.

- Dzwoni do Bączyńskiego! - ryknął nagle olśniony. - Niech on nam powie, co robić albo czego nie robić!

- Głupi jesteś, Maruś? - Postukałam się w czoło. - Mam zafundować Baśce nalot policji?

- To mu nie mów, że to o Baśkę chodzi - odparł z przekonaniem. - Jesteś autorką kryminałów, research robisz i potrzebujesz kilka rzeczy ustalić.

- No dobra... - zgodziłam się po krótkim wahaniu. - I tak ma mnie już za wariatkę, to niczym nie ryzykuję.

Po tych słowach wybrałam numer komisarza, wzięłam trzy głębokie wdechy i wcisnęłam słuchawkę.

- Na głośnik daj! - syknął Marek.

- Halo? - rozległo się po chwili w telefonie.

- Dzień dobry, panie komisarzu, nie przeszkadzam za bardzo?

- Za bardzo nie. W czym mogę pomóc?

- Mam do pana taką małą prośbę. Pytanie właściwie. Do researchu potrzebuję. - Zerknęłam na Marka, który kiwał głową z aprobatą.

- Proszę pytać.

- Proszę sobie wyobrazić taką sytuację, że czyjaś córka zupełnym przypadkiem wpakowała się w kłopoty - mówiłam, ważąc każde słowo. - Albo raczej kłopoty znalazły ową córkę i zawarła znajomość

z człowiekiem o dość szmeranym życiorysie. Dajmy na to: jest uwikłany w działalność grupy przestępczej, jednocześnie jest informatorem policji i zrobił coś, albo nawet więcej cosiów, za co i jedni, i drudzy chcą dostać go w swoje ręce. I tenże szmerany gość ukrywa się u tej córki. Nadaża pan?

– Nadażam.

– I moje pytanie brzmi: co powinna zrobić... matka tej córki, żeby nie było z tego kłopotów? Czy w ogóle powinna coś robić? A może powinna zamknąć oczy i udawać, że o niczym nie wie?

Bączyński, który od razu wydał mi się bez humoru, odchrząknął głośno, z wyraźnym niezadowoleniem, i odrzekł:

– Najlepiej by było, gdyby rzeczona matka zawiadomiła służby publiczne o tym, że jej córka może znajdować się w niebezpieczeństwie. A z całą pewnością nie powinna robić niczego na własną rękę, nie mieszać się i siedzieć tam, gdzie jest bezpieczna.

Odniosłam wrażenie, że Bączyński doskonale wiedział, że mój research to ściema, i jego odpowiedź skierowana została do mnie – z wyraźną przestrożą. Marek musiał myśleć podobnie, bo zmarszczył czoło.

– A służby publiczne zagwarantują tej córce bezpieczeństwo? Wie pan, złołe są zazwyczaj nieprzewidywalni.

– Pani Starosta, od walki ze złolami jesteśmy my. Czy pani chce mi coś powiedzieć?

– Ja? Panu? Bynajmniej! – roześmiałam się głośno, ale nawet ja słyszałam fałsz w tym śmiechu. – Wie pan, muszę stworzyć bardzo realistyczną i prawdopodobną sytuację zagrożenia i tak mi właśnie przyszło do głowy...

– Gdyby jednak, to wie pani, jak mnie znaleźć. – Rozłączył się bez pożegnania, zostawiając mnie z poczuciem klęski.

– Najchętniej wsiadłabym do pierwszego pociągu do Wrocławia – skwitowałam kwaśno.

– Słyszałaś komisarza: siedź tam, gdzie jesteś bezpieczna.

– Jak mam siedzieć, kiedy moja przyjaciółka może właśnie walczyć o życie?

Mój odmieniony małżonek obszedł łóżko, usiadł i przytulił mnie mocno.

– Na twoim miejscu raczej bałbym się o tych, z którymi będzie walczyć – wyszeptał. – Widziałem kiedyś, jak w furii roztawiała dzieci po kątach, i chyba nigdy nie cieszyłem się bardziej, że to ty jesteś moją żoną.

Uśmiechnęłam się do siebie, odrobinę uspokojona. Co prawda, to prawda.

ROZDZIAŁ 19

Jako substancja lecznicza bursztyn i jego ekstrakty używane były od czasów Hipokratesa w starożytnej Grecji, przez średniowiecze, aż do początku XX wieku. Tradycyjna medycyna chińska stosuje bursztyn jako środek do „uspokojenia umysłu”.

Marek miał rację. I ja też miałam. Basia faktycznie walczyła o życie – po wypiciu butelki whisky, ale jej kompan stoczył walkę o wiele cięższą. Niestety on, w przeciwieństwie do nas, nie odebrał treningu bojowego na studiach.

Było kilka minut po szóstej rano, gdy usłyszałam w słuchawce zachrypnięty głos Barbary.

– Gooooniaaaa, umieram...

– Coś takiego, niemożliwe – zaszydziłam, przerywając mycie zębów. – A taka byłaś wczoraj wesolutka.

– Nie przypominaj mi nawet... Telefon mi się rozłądował i nie widziałam, że dzwoniłaś.

– Jedyne siedem razy, nie przejmuj się. Jak się miewa twój kolega?

– Gorzej ode mnie, wciąż na bani. I chyba coś sobie zrobił w nocy, ale nie wiem co, bo bełkocze.

– Skoro już jesteśmy przy twoim koledze, to zechciej mi, kochana moja, wyjaśnić, jakim cudem członek zorganizowanej grupy przestępczej znalazł się w twoim życiorysie – zażądałam, możliwe, że odrobinę zbyt głośno, ale z ogromną satysfakcją.

Kto powiedział, że przyjaciółki nie bywają dla siebie wredne?

– Jeju, nie krzycz tak, ja mam słuch absolutny, zapomniałaś?

– Nie, nie, doskonale pamiętam. A zatem?

– Na swoje usprawiedliwienie mogę powiedzieć tylko tyle, że kiedy go poznawałam, nie miałam pojęcia, że jest członkiem. Zresztą wtedy jeszcze nie był żadnym członkiem, nawet członkiem rodziny. O!

– Wzruszyła mnie twoja historia – warknęłam. – Do brzegu, Barbs.

Barbs wybitnie nie chciała płynąć do brzegu, ewidentnie temat Zmarzlaka bardzo ją parzył. Zaczynałam rozumieć, dlaczego nigdy, przez dwadzieścia pięć lat naszej przyjaźni, ani słowem o nim nie wspomniała. A przecież nawet do toalety chadzałyśmy razem.

– Jeśli mnie zaczniesz oceniać, to się rozłączam – oznajmiła Basia. – To jest historia bardzo zamierzchła i okryta zasłoną milczenia, której rąbek właśnie uchylam. Otóż Artur Zmarzlak to człowiek, który lata temu uratował mi życie. I od tamtej pory jest stałym wolnym elektronem na mojej orbicie, co oznacza, że dopóki nie zostanie osądzony za morderstwo pierwszego stopnia, moje drzwi zawsze będą dla niego otwarte.

Szczoteczka do zębów, którą trzymałam w dłoni, wpadła do umywalki i narobiła hałasu. Stałam oniemiała i gapiałam się na swoje odbicie w lustrze, na twarz wykrzywioną na skutek szoku. Niemal straciła życie?! Nigdy wcześniej też nie słyszałam, żeby moja najbliższa przyjaciółka z taką powagą mówiła o czymkolwiek.

– Opowiesz mi o tym? – udało mi się wydusić.

– Na łożu śmierci albo pod groźbą śmierci kogoś z moich kotów. Z dziećmi jeszcze nie mam pewności, przegięły wczoraj. W każdym razie już wiesz wszystko, co powinnaś.

– Nie wszystko – zaprzeczyłam. – Nie wiem, co się stało, że zaginął i nagle się znalazł, ani dlaczego ukrywa się przed policją. Bateria wysiadła ci w złym momencie.

– Tak po prawdzie to ja też nie wszystko wiem – przyznała Basia. – Zrozumiałam tyle, że coś poważnego nabroił i postanowił się ulotnić za zachodnią granicę z przystankiem we Wrocławiu. Przywiózł mi bursztynki, wiesz, jakie ślicznie? – ożywiła się.

- Bacha, wytrzeźwiej w końcu! - Nerwy mi puściły i o mało nie ugryzłam telefonu. - Schowaj te bursztyнки gdzieś głęboko i wyekspeduj swojego wolnego elektrona won, żeby ci zaraz jakieś złole nie zrobiły nalotu. Przecież ten facet zadaje się z uzbrojonymi po zęby przestępcami, na których poluje CBS!

- No to chyba nic nam nie grozi, skoro nas chronią struktury państwowe?

- A Magdalenkę pamiętasz? - wyszczałam jadowicie. - Struktury to sobie możesz wsadzić do książki. Wywal go na zбитy pysk, najlepiej z fanfarami, żeby ci, co go ścigają, od razu wiedzieli, że go u ciebie nie ma.

Możliwe, że argument o Magdalence przemówił mojej przyjaciółce do wyobraźni, a może po prostu nie lubiła, gdy się na nią syczy. W każdym razie mruknęła coś, co odebrałam jako akt kapitulacji, i obiecała podjąć się wywalania z fanfarami natychmiast, gdy tylko Zmarzlak odzyska pion.

- To może ja jednak nie będę pytała, za co go ściga policja, co? - zapytała na koniec.

- Nie pytaj, im mniej wiesz, tym lepiej śpisz. A jakby cię gliny wzięły na spytki, to nawet kłamać nie będziesz.

Rozmowę zakończyliśmy w pełnej zgodzie, konstatując, że może policja wcale nie będzie miała czasu ani ochoty na odpytywanie Basi. Niech lepiej zajmą się ściganiem przestępców i inwigilowaniem skorumpowanych polityków, co w zasadzie na jedno wychodzi.

- Myślałem, że chociaż na wczasach będę mógł się wypaść - mruknął niezadowolonym głosem Marek, kiedy wyszłam z łazienki.

- Przepraszam, już znikam, możesz spać dalej.

- Rozumiem, że nie na pogrzeb przyjaciółki?

Zatkało mnie na moment, a zanim odzyskałam rezon, szanowny małżonek, aktualnie obrażony, obrócił się na drugi bok i nakrył głowę kołdrą.

Ubrałam się pośpiesznie i wyszłam na śniadanie, mając w planach spędzenie spokojnego dnia w skansenie.

Plany planami, a życie życiem - kto z nas nigdy się o tym nie przekonał, niech uważa się za największego farciarza w historii świata.

Ledwo przestąpiłam próg dworku, w którym mieści się biuro skansenu, a już dopadła mnie pani Jolinka. Musiała wystawać w oknie, bo wyskoczyła jak pershing, złapała mnie za rękę i zaciągnęła do kuchni.

- Małgoniu, jaka to wielka szkoda, że wczoraj cię nie było. On wrócił! - wydyszała mi do ucha, podczas gdy czajnik wesoło bulgotał.

Wiadomo: agent Mietek nie śpi.

- Ale kto?

- No on! Ten tamten. *Ich liebe dich*.

- Aaaaaa, ten! I co?

- Wparował tu wczoraj i zaczął pytać w kółko: *Wer ist Zofia?* i *Wer ist Zofia?* No to ja mu na to, że *Ich habe keine Ahnung*, a ten dalej swoje. *Was hast du mit Zofia gemacht?* A co ja miałam z Zośką zrobić? Głupi on czy ki czort?

- Całkiem możliwe, że głupi... I jak to się skończyło?

- No tak się skończyło, że on na policję pójdzie, bo *Zofia ist verloren*, a on ją kocha i trzeba ją znaleźć.

- No to niech idzie, bardzo dobrze! - oświadczyłam. - Może jeśli obywatel obcego państwa zgłosi zaginięcie, to coś w końcu z tym zrobią.

Czajnik pstryknął i w klitce zapadła cisza. Jedynie para unosiła się znad dzióbka naczynia. W mojej głowie też parowało, choć sama nie wiedziałam, czy bardziej od rewelacji Jolinki, czy może wciąż przetwarzałam sensacyjne historie dotyczące Zmarzlaka.

– Małgoniu, ty myślisz, że Zośce coś się naprawdę stało? Że ona może... nie żyć? Wypadek miała i leży w lesie albo ktoś ją gdzieś zakopał?

Nagle przed oczami stanęła mi oglądana z gałęzi śliwy scena. Wszystkie włosy natychmiast mi się zjeżyły, a na czoło wystąpiły perełki lodowatego potu. Moja mina musiała być wymowna, bo Jolinka zbladła i zrobiła krok do tyłu, wkomponowując się w stojącą za nią szafkę.

– Nie... Ty naprawdę tak myślisz – wyszeptała zbielełymi ustami, które zaraz zakryła dłońmi.

– Nic nie myślę, pani Jolu – skłamałam. – Nie mam pojęcia, co tu się dzieje, ale absolutnie nie wolno nam zakładać takich scenariuszy. Policjanci zachowują się co najmniej dziwnie, panuje nieodgadniona zmowa milczenia, ale jestem przekonana, że gdyby pani Zofii coś się stało, już byśmy o tym wiedziały.

– Chyba że jej zwłoki właśnie konsumują łosie, dziki, kuny albo wilki.

Tak. Chyba że stało się coś, czego normalny człowiek nie jest w stanie przewidzieć, a nienormalny – jak autorka kryminałów – woli o tym nie myśleć.

Atmosferę grozy, jaka zapanowała w dusznej klitce, przerwało nadejście pozostałych pracowników muzeum. Na mój widok pani Halinka rozpromieniła się, jakby zobaczyła walizkę wypchaną studolarówkami, i radosnym truchcikiem dołączyła do kuchennych dywagacji.

– Dobrze, że jesteś, Małgoś, bo mam do ciebie romans – oznajmiła, sięgając nad ramieniem Jolinki po kubek.

– Pani też? – mruknęłam. – W sumie to nie powinnam się dziwić.

– Słyszałam, że poznałaś mojego kuzyna, Bogumiła. Tak się składa, że mam dla jego żony poprawiono sukienkę, więc skoro widzicie się jutro...

Powinam była także wiedzieć, że plotki roznoszą się lotem błyskawicy, a w takich miejscach jak to każdy zna każdego albo przynajmniej kogoś, kto zna kogoś, kto zna kogoś i tak dalej...

– Nic tu się nie ukryje, co? – zauważyłam z przekąsem. – Dobra, niech pani da tę sukienkę, przekażę panu Bogumiłowi. Swoją drogą, to bardzo ciekawe, że wszyscy o wszystkim wiedzą, a kiedy ludzie znikają bez śladu, to nagle nikt niczego nie wie...

Sens mojej uwagi dotarł do mnie w pełni, gdy wypowiedziałam ją na głos. Jak to możliwe, że osoba publiczna, znana wszystkim od lat dyrektorka jednej z najważniejszych instytucji kulturalnych w powiecie, ba!, w całym województwie, z dnia na dzień rozplywa się jak kamfora? Na dodatek nikt sprawy nie nagłasnia, policja zdaje się nic na ten temat nie wiedzieć, media milczą, a życie płynie dalej – jak Narew.

– Wiecie co? – Powiodłam wzrokiem po twarzach moich współkonspiratorek. – To doprawdy kuriozalna sytuacja. Im dłużej się nad tym zastanawiam, tym bardziej umacnia się we mnie przekonanie, że pani Zofia znalazła się w środku poważnej afery. A poważnymi aferami – ściszyłam głos – zwykle zajmują się ludzie na bardzo wysokich stołkach albo tacy, których istnienia nie da się udowodnić.

– Jezus Maria – szepnęła Halinka, łapiąc się za pierś. – Jezus Maria i Święty Rochu!

Jolinka nic nie powiedziała, lecz jej mina wyrażała wszystko. Tak, ona także uważała, że odbywa się tu zamiatanie pod dywan w białych rękawiczkach.

– Musimy coś przedsięwziąć – oznajmiłam.

– Zgadzam się. – Jola skinęła głową.

– Masz jakiś pomysł? – podchwyciła Halinka.

– Kobieto małej wiary, oczywiście, że ma! – fuknęła na nią Jolinka. – Ja wiedziałam, że ty jesteś łebska dziewczyna i coś wymyślisz – zwróciła się do mnie z szerokim uśmiechem. – I myślę, że mam pomysł, od czego powinnaś zacząć.

Plan Jolinki był prosty, a przez to genialny. Pewnie sama od tego kroku bym zaczęła, ale dobrze było wiedzieć, że dedukujemy zbieżnie.

– Wielkie umysły myślą podobnie – stwierdziła, czytając w moich myślach.

– A żeby pani wiedziała. Ostatnio coraz częściej się o tym przekonuję.

– Jak to? – zdumiała się Halinka, mieszając intensywnie w kubku z kawą.

– Ano tak to, zwyczajnie. Podam wam taki przykład: pisarze. Jaka jest szansa, że dwoje zupełnie różnych ludzi pióra bez konsultacji wpadnie na niemal identyczny pomysł? – Zawiesiłam głos, żeby moje retoryczne pytanie wybrzmiało z odpowiednim natężeniem. – Stuprocentowa! Wyobraźcie sobie, moje drogie, że jakiś czas temu wymyśliłam drużynę ancymonów, każdy z innej parafii. Główny mąciwoda to kucharz, Rondelek miał się nazywać, miał być pantoflarzem i dzieciorobem, z mendel tych zasmarkańców mu się po chałupie pałęta, a do tego mamunia, nieznosząca jego żony i komentująca w stylu: „Jak po drugim się nie zorientowała, skąd się biorą dzieci, to inteligencji u małżonki, synku, bym nie szukała. To już lepiej z kozą dyskusje uprawiać”.

– No i co się stało z tym Rondelkiem i jego kozą? – zacięła się Jolinka, wykorzystując fakt, że zabrakło mi tchu.

– Co się stało, co się stało. Mortka się stał, z tym swoim Edmundem!

Jolinka wyglądała na oburzoną – chyba tym, że Mortka się stał, bo raczej nie czytała niczego, co napisał, i na temat jego twórczości nie miała wyrobionego poglądu.

– Ale jest znakomity! – zapewniłam zgodnie z prawdą i osobistymi przekonaniem. – Tylko, cholera jasna, w tym zawodzie kto pierwszy, ten lepszy. I on, widać, jakoś szybciej się w tej zasadzie zorientował...

– Nie martw się, Małgós – pocieszyła mnie Halinka. – Jeszcze swojego Rondelka gdzieś wciśniesz i też będzie znakomity. Ludzie twoje pisanie lubio, to i Rondelka pokochają.

Machnęłam ręką, bo temat karczmarza-dziecioroba porzuciłam już dawno, i właściwie ogromnie mnie cieszyło, że Mortkowy Kociołek robi karierę. Zasłużył chłopak, zwłaszcza że należała mu się jakaś satysfakcja za teściową, którą go bezlitosny autor obdarował.

Na dalsze dyskusje czasu nam już nie starczyło, jako że zbliżała się godzina pierwszego spaceru po skansenie. Tego dnia miałam towarzyszyć pani Joli, choć temperatura panująca na zewnątrz nie zachęcała do wyściubiania nosa z chłodnego dworku. Dopiłam kawę, która niespecjalnie mi smakowała, pewnie dlatego, że przez nieuwagę Jolinka posłodziła wszystkie trzy, wyszperałam słomkowy kapelusz i ruszyłam na spotkanie z krwiożerczymi turystami. Na szczęście przewodniczka nie wydawała się przerażona, co dodało mi otuchy.

– Jak ktoś będzie fikał, to się go za karę zamknie na trochę w kuźni – szepnęła mi do ucha, gdy zbliżyliśmy się do miejsca zbiórki. – Działają za każdym razem.

*

Na placu bartnym, od którego zaczyna się zwiedzanie nowogrodzkiego skansenu, czekała na nas kilkunastoosobowa grupa składająca się z osobników dorosłych, nastoletnich i ledwo odrośniętych od ziemi. Tym, co ich łączyło – pomijając, rzecz jasna, przynależność do gatunku homo sapiens – była wyjątkowa głośność. Darli się jedno przez drugie, przekrzykiwali, a ci najniżsi wzrostem piszczeli, jakby ich zaatakowało stado ludożerczych pszczół.

– Dobra grupa – orzekła półgębkiem pani Jolinka. – Będą zadawać dużo pytań, jeszcze więcej komentować, a na sam koniec i pomarudzą, że przepłacili.

Nieźle się zapowiada – przemknęło mi przez głowę, ale szybko uciekło, zastąpione jeszcze bardziej przerażającą myślą, a mianowicie: te dzieciory łażą samopas i wszystko zdemolują! Na szczęście pani Jolinka tylko z postury była delikatną niewiastą. Charakter miała wyćwiczony za sprawą band szkolnych wandalii, głos wytrenowany na pyskanych głupiomądrych, a nerwy zahartowane przez upierdliwców.

– Uwaga, uwaga! – zaczęła tak donośnie, że nawet ja się wzdrygnęłam. – Zasada numer jeden: po terenie muzeum poruszamy się wyłącznie wyznaczonymi ścieżkami, niczego nie dotykamy brudnymi

łapskami, nie wtykamy patyczków od lizaków pomiędzy belki, nie przyklejamy gum do żucia do cennych artefaktów i nie niszczymy mienia pod groźbą odpiłowania rąk. Czy to jest jasne?!

Odrobinę wstrząśnięci dorośli wymruczeli: „Jasne”, nieco bardziej wstrząśnięci nastolatkomie skinęli głowami, a ledwo odrośnięci od ziemi natychmiast przypomnieli sobie, że mają rodziców.

– Świetnie! – pochwaliła ich Jolinka. – Mam na imię Jola, będę państwa przewodniczką, a towarzyszyć nam będzie znakomita i sławna pisarka, pani Małgorzata Starosta.

– No nie... Tego w planie nie było, przynajmniej nie w moim.

Wszystkie spojrzenia spoczęły na mnie, jedno bardziej, a inne mniej wnikliwie studiowały moją twarz, na całe szczęście schowaną w cieniu rzucanym przez rondo kapelusza.

– Jest pani sławniejsza od Pizgacz? – zapytała na oko piętnastoletnia dziewczynka.

– W niektórych kręgach – odparłam.

– A w jakich? – dociekała pannica.

– W dość ekskluzywnych – wyreczyła mnie przewodniczka. – Będą państwo mogli porozmawiać z naszym gościem w karczmie, o ile wystarczy czasu. A teraz ruszamy.

Nie zważając na pomruki niezadowolenia, Jolinka dziarsko zarzuciła odwołaniem i zrobiła kilka kroków w stronę dwóch odrzynków drzew bartnych – sosny i dębu – liczących sobie odpowiednio pięć i siedem wieków, których średnice pni przekraczają półtora metra. Przewodniczka opowiadała o rozwoju bartnictwa, wymieniała dziwnie brzmiące nazwy przyrządów i narzędzi, a robiła to z takim zapałem, jakby na świecie nie było nic bardziej interesującego.

Stojący nieco z boku mężczyzna stracił zainteresowanie historią pszczelarzy już po kilku minutach i ostentacyjnie przeglądał coś w telefonie. Kiedy Jolinka opowiadała o znamionach bartnych, czyli znakach służących bartnikom do oznaczania swoich barci, borów, ale i osobistych rzeczy, facet chichrał się do telefonu jak głupi do sera. Zirykował mnie tym zachowaniem do tego stopnia, że poczułam się w obowiązku zwrócić mu uwagę.

– Pssst, może trochę szacunku? – syknęłam, znalazłszy się tuż za jego plecami.

– Przepraszam, ale to naprawdę zabawne – odszeptał, ale chyba trochę się zawstydził.

– Wie pan, to bardzo nieuprzejme wobec pani przewodniczki – oświeciłam go niczym gwiazda betlejemską drogę trzem królom.

– To pani wina, na siebie niech się pani złości.

– Moja wi...?

Mężczyzna pokazał mi przez ramię ekran telefonu, na którym wyświetlała się strona książki. Mojej książki.

– Chciałem sprawdzić, co pani pisze, i mi się spodobało.

O masz. I co teraz? Powinam podziękować, ale przecież nie mogę.

– Niech pan to schowa, dam panu egzemplarz z autografem po wycieczce.

– Serio?! – ucieszył się i wcisnął telefon do kieszeni. – Dobra, dedykację dla Jarka poproszę.

Wyglądało na to, że kryzys kulturalny został zażegnany. Pani Jola bez większych przeszkód dojrzała do historii Stacha Konwy¹⁵, którego pomnik, stanowiący rekonstrukcję nagrobka kurpiowskiego bohatera, jest jednym z najważniejszych elementów małej architektury w skansenie, a następnie ruszyła do kolejnego punktu na mapie. Mój nowy znajomy wciąż trzymał się z tyłu wycieczki, ale zdawał się słuchać przewodniczki z uwagą.

Ze względu na czas, jaki upłynął od mojej poprzedniej wizyty w Nowogrodzie, wiele rzeczy umknęło mi z pamięci, w związku z czym ja także przysłuchiwałam się opowieściom Jolinki z niegasnącą ciekawością. Doskonale pamiętałam, że uwielbiała wplatać w nie zabawne anegdotki, regionalne nazwy przedmiotów i zwyczajów, często rzucała żartami i nierzadko sięgała po barwne historie, dzięki czemu spacer z nią nigdy nie były nudne.

Opowiadając o spichlerzu, Jola przypomniała legendę o królu Popielu, którego zjadły myszy, nawiązując do konstrukcji budowli ustawionej wysoko nad ziemią na tak zwanych grzybkach, co miało chronić składowane w budynku zboże i warzywa przed gryzoniami.

– A co to za rogi na dachu? – zapytała wyjątkowo chuda nastolatka z aparatem ortodontycznym na zębach.

– To typowe dla Kurpiów śparogi, ozdobne zakończenia wiatrownic – wyjaśniła pani Jolinka.

Czym jest wiatrownica, już nie raczyła wytłumaczyć, uznawszy zapewne, że rodzice też mają obowiązek uzupełniania braków w wiedzy swej progenitury.

Kilka osób zajrzało do spichlerza, szukając bardziej cienia niż skarbów, po czym ruszyliśmy w dalszą drogę – niedługą zresztą – do leśniczówki.

Niewielka chatka zwracała uwagę przede wszystkim dwiema kolumnami, z dumą wspierającymi szczyt ozdobiony szalunkiem o motywie solarnym. Także drzwi, szalowane w jodełkę, przyciągały wzrok i budziły zachwyt. Przynajmniej mój, reszta wycieczki bowiem wydawała się nieszczerólnie zainteresowana pięknem architektury ludowej. Ignoranci...

– A teraz proszę uprzejmie łapki schować do kieszeni – zarządziła przewodniczka – a jeśli ktoś nie ma kieszeni, to chodzi na baczność. Przed nami wystawa strojów ludowych i niech was ręka boska broni, żeby mi tam cokolwiek macać!

Przyjemny chłód panujący we wnętrzu domu i specyficzny zapach drewnianych ścian natychmiast pobudziły moją wyobraźnię. Przypomniałam sobie wakacje na wsi u prababci, zbieranie i suszenie tytoniu, który uprawiała cała rodzina matki, czasy szczęśliwego lenistwa i zabaw od świtu do zmierzchu, kiedy jedyną troską było rozbite kolano po wjechaniu rowerem do rowu. To skojarzenie skierowało myśli ku rozłożystem śliwom rosnącym przy trasie do Łomży, a one przyniosły obraz zakopywanego ciała. Tak, utwierdziłam się w przekonaniu, że to musiało być ciało, ludzkie w dodatku. A skoro ktoś zakopywał ludzkie ciało na prywatnej działce, to nie robił tego w dobrej wierze. Popępiał przestępstwo, a ja wcale nie byłam lepsza, zatajając tę informację przed policją.

– Małgoniu?! – Zniecierpliwiony głos Jolinki wyrwał mnie gwałtownie z zadumy.

– Tak? Obecna!

– Chyba tylko ciałem – zakpił mój nowy fan. – Odplynęła pani na szerokie wody wyobraźni? Czyżby jakiś soczysty trup?

Spojrzałam na niego ze zgrozą w oczach i się wykrzywiłam.

– Żeby pan wiedział, że trup, ale soczystym bym go raczej nie określiła. O co pani pytała, Jolu?

– Pamiętasz, jak się nazywa to cacuszko na głowie naszej Kurpianki? – powtórzyła pytanie przewodniczka.

Dopiero po kilku sekundach zorientowałam się, że chodzi jej o manekina odzianego w odświętny strój ludowy.

– Zdaje się, że czółko – odparłam niepewnie.

– Bardzo dobrze! – pochwaliła mnie pani Jolinka i przesłała buziaka.

Nastolatka z aparatem na zębach spojrzała na mnie z wyraźną niechęcią i dałabym sobie rękę uciąć, że wyszeptowała słowo „kujon”. Nie byłby to pierwszy raz, kiedy ktoś mnie tak określił, więc zupełnie się tym nie przejęłam.

– To właśnie jest czółko: typowo kurpiowski czepiec, charakterystyczny dla Kurpiów Zielonych, noszony wyłącznie przez panny. Do dziś stanowi część stroju panny młodej. Mężatki nosiły chusty. – Jolinka poklepała głowę drugiego żeńskiego manekina. – Na Kurpiach Białych panie nosiły tiulowe cypki ze skrzydłami.

– Ładne to – stwierdziła jedna z kobiet i wyciągnęła rękę, żeby dotknąć aksamitnego czółka.

- Nie macamy!!! - wykrzyknęła Jolinka, a kobieta natychmiast cofnęła dłoń. - Taka kurpiowska elegantka - podjęła przewodniczka, przywracając swemu głosowi zwykły ton - strojenie się zaczynała od koszuli utkanej z lnianego płótna samodziałowego. Wiedzą, co to samodziałowe?

Nie wiedzieli, a ja wolałam milczeć, żeby znów nie wyjść na prymusa. Jolinka, kręcąc głową z politowaniem, wyjaśniła, że tkaniny samodziałowe powstają w wyniku ręcznego ich wyrobu na warsztacie tkackim i charakteryzują się nieregularnym, wyraźnym splotem.

Co prawda macanie zostało surowo wzbronione, ale jednej z kobiet udało się dotknąć rękawa koszuli, nim bystre oko przewodniczki wychwyciło ruch ręki.

- O matko, ale to szorstkie! I tak na gołe ciało to zakładały? - oburzyła się papuśna czterdziestolatka w zbyt krótkiej sukience, trzepocząca zbyt długimi rękami.

- Na gołe, a na jakie? - zdumiała się Jolanta. - Toż to pierwszorzędna tkanina, a jaka zdrowa! Płótno lniane już w starożytności uważano za najzdrowsze, a posiadanie lnianej bielizny świadczyło o higienie. Prawda, Małgoniu? Powiedz pani!

Właśnie zabierałam się do macania lnianych portek na męskim manekinie i ręka zastygła mi w połowie drogi. Oblałam się rumieńcem.

- Mam pani powiedzieć... No, tak, tak, prawdę pani Jola rzekła. - Tak mnie tym zaskoczyła, że przez chwilę miałam w głowie idealną pustkę. - Len był jedną z najpopularniejszych roślin uprawnych, a dodatkowo, yyy, jak widać na tychże pięknych przykładach, jego funkcja utylitarna była niebagatelna...

- A co ty się tak jąkasz, Małgoniu? - zbeształa mnie Jola, dokładając surowe spojrzenie. - Wysil się trochę, mnie od gadania już w gardle zaschło.

I co mnie podkuśiło, żeby wychodzić na prymusa? Diabli nadali...

- No dobrze, dobrze - podjęłam, gorączkowo przetrząsając zakamarki pamięci. - Len, drodzy państwo, w charakterze płótna pełnił funkcje symboliczne. Na przykład w trakcie ceremonii zaślubin ręce młodych związywano lnianą chustą, bywało także, że panna młoda przed pokładzinami zawijana była w białe sukno, a w domu, w którym stała trumna z ciałem zmarłego, zaślaniano lustrami lnianymi płachtami.

Tym ostatnim przykładem chyba przedobrzyłam - moi słuchacze sami wyglądali jak lniane płachty, musiałam więc szybko ratować sytuację.

- Nie wiem, czy państwo o tym słyszeli - podjęłam z przesadnym entuzjazmem - ale płótno lniane w kulturze ludowej miało niezwykle istotną funkcję leczniczą. W literaturze i materiałach źródłowych można znaleźć liczne przykłady metod leczenia różnych chorób i schorzeń za pomocą lnianej odzieży. Wierzono na przykład, że nosząc bieliznę utkana z lnu, można wyleczyć choroby oczu, febrę, gruźlicę, kołtun, kaszel, wrzody, a nawet wściekliznę¹⁶.

Po minach audytorium poznałam, że nie mieli o tym pojęcia, czemu zresztą trudno się dziwić, bo kto interesuje się takimi rzeczami? Wbrew moim obawom wyglądali jednak na zaciekawionych. Jolinka zaś pęczniała z dumy, jakby sama mi tę szalenie niezbędną wiedzę wtłoczyła do głowy.

- No, to już wiecie - oznajmiła z szerokim uśmiechem - że nasze Kurpiki były i higieniczne, i zdrowe, i eleganckie. Patrzcie, jakie piękne hafty na tych koszulinach wyszywali. I wszystko to ręczna robota!

- Fajne te kiecki - odezwała się wysoka kobieta wyglądająca na matkę chudej nastolatki. - Sama chętnie bym taką włożyła, nawet z tym fartuszkim.

- To nie fartuszek, tylko zapaska - poprawiła ją przewodniczka. - Każda Kurpianka na spódnicy nosiła zapaskę. Na co dzień pasiastą, od święta białą, często haftowaną.

Wykład o lnie w tajemniczy sposób rozluźnił atmosferę i nagle wszyscy uczestnicy wycieczki zasypali Jolę pytaniami. Skorzystałam z okazji i wymknęłam się na zewnątrz. Tam okazało się, że nie ja pierwsza wpadłam na ten pomysł. Mój nowy znajomy z uwagą oglądał ule, rozstawione przed wejściem do leśniczówki.

- Nie interesuje pana moda ludowa? - zagadnęłam go.

– Nieszczęśliwie. Ale fajnie było się dowiedzieć, że lniana szmatka może pomóc na koltuna.

– Prawda? Mnie wyjątkowo fascynuje fakt, że noszenie lnianych gatek może wyleczyć jaskrę. Muszę powiedzieć matce, że przepłaciła w prywatnej klinice...

Jarek zaśmiał się wesoło i rozejrzył dookoła.

– Pięknie tu i tak spokojnie – ocenił.

I dokładnie w tej samej chwili z wnętrza leśniczówki doleciał nas ryk pani Jolinki, która groziła komuś, że urznie mu ręce przy samej szyi, jeśli nie zostawi w spokoju lejnika¹⁷.

– Spokojnie, jak w raju – potwierdziłam, uśmiechając się szeroko.

– A pani tutejsza?

– Skądże, rodowita wrocławianka.

– Ja lokalny, z Łomży, ale oryginalnie krakus. Na wczasach?

– Można to tak ująć. Zbieram materiały do książki.

– Co pani powie? Trup w skansenie? Tego chyba jeszcze nie było.

Wydarzenia ostatnich dni sprawiły, że słowo na „t” zaczęło mi się źle kojarzyć. Coraz częściej zastanawiałam się też, czy nie powinnam porzucić macierzystego gatunku i zacząć pisać historie miłosne. Chociaż z moimi doświadczeniami raczej nie wyszłoby bardzo romantycznie...

– Powiem panu w sekrecie – odparłam ściszym głosem – że mam ogromną nadzieję na brak trupa nie tylko w skansenie, ale i wszędzie indziej. Jakoś mi się przejadły zbrodnie, za dużo w moim życiu wydarzeń mrozących krew w żyłach.

Jak na komendę w mojej kieszeni zadzwonił telefon. Przekonana, że to Marek, który pewnie zdążył się już za mną stęsknić, nienawykły do prowadzenia *small talk* z obcymi ludźmi, nie spojrzałam uważnie na wyświetlacz.

– *Pronto* – odezwała się z uśmiechem.

– Mamusia? – Głos Alicji drżał, jakby była bardzo zdenerwowana.

– Mamusia, a któżby inny?

– Gdzie jesteś? – zajączało dziecko.

Uśmiech natychmiast spęłzył mi z ust i poczułam zimno, choć na dworze panował niemiłosierny ukrop.

– Aktualnie stoję przed leśniczówką w skansenie. Co się stało?

– Jacyś panowie z policji przyjechali sprawdzić, czy nic mi nie grozi, bo podobno ukrywam przestępcę. Ale ja żadnego przestępcy nie ukrywam, słowo daję!

O borze wszechlistny...

– Alicjo, dzieciątko moje najśłodsze, moja ulubiona córko, niczym się nie przejmuj. – Staralam się, by mój głos brzmiał pewnie, ale serce tak mi waliło, że niemal zagłuszało wszystko inne. – Ja zaraz się tym zajmę, obiecuję, i panowie z policji grzecznie odjadą. Daj mi chwilkę.

Rozłączyłam się drżącymi rękami i niemal upuściłam telefon. Numer Bączyńskiego znalazłam w spisie ostatnich połączeń i bez wahania go wybrałam. Albo złośliwie nie odbierał, albo był akurat zajęty – wolałam myśleć, że to drugie. Wysłałam mu wiadomość: „Pilne! Oddzwonić ASAP” i wpatrywałam się w ekran, jakby mogło to cokolwiek zmienić.

– Coś się stało? – odezwał się Jarek, o którego obecności całkiem zapomniałam. – Nie chciałem podsłuchiwać, ale...

– Nie, nie, nic się nie stało – odparłam i zajęłam się ogryzaniem skórki wokół kciuka.

– Na pewno? Coś z pani córką? – dociekał facet.

Nie mogłam mu przecież powiedzieć, że przez jakąś idiotyczną pomyłkę siedemnastolatkę przebywającą na letnim obozie odwiedziły służby mundurowe. Kto by w to uwierzył? Na szczęście telefon

zawibrował w mojej dłoni, oznajmiając nadejście połączenia od Bączyńskiego. Szybko odeszłam w kierunku altany widokowej, znajdującej się nieopodal.

– Dobrze, że pan oddzwania. Co pan najlepszego narobił?! – wyszczałam, odbierając.

Zaatakowany policjant nie odezwał się ani słowem, co tylko bardziej mnie rozsierdziło.

– Na głowę pan upadł, żeby wysłać do mojej córki swoich kolegów? Ona ma siedemnaście lat, komisarzu, pan ma pojęcie, jaki to dla niej wstyd? Traumą jej pan zafundował do końca życia, ja na psychiatrów i terapeutów nie zarobię, żeby ją wyprostować! Jeszcze mi się zamknie w sobie, a ja bym chciała, panie komisarzu, pewnego dnia mieć wnuki!

– No ale przecież – bąknął wyraźnie skonfundowany Bączyński – pani sama... Pani mi przekazała wołanie o pomoc... Że pani córka... No sama pani powiedziała przecież!

– Co ja takiego powiedziałam? Że hipotetycznie pytam, do książki! – Nogi ugięły się pode mną i padłam na ławkę. – Naprawdę pan sądził, że moje dziecko mogłoby ukrywać jakiegoś zła? I że ja bym panu o tym tak spokojnie mówiła? Za kogo pan mnie w ogóle ma, komisarzu?

Z perspektywy czasu czuję wielką wdzięczność do Bączyńskiego za to, że nie odpowiedział na ostatnie pytanie. Po raz kolejny okazał wielką klasę, przeprosił mnie elegancko i się rozłączył. Kilka minut później Alicja napisała tylko: „Pojechali”. Pomimo wielu prób nie odebrała ode mnie połączenia, co właściwie było zrozumiałe. Sama bym się na siebie wściekła na jej miejscu, a ona miała też kilka genów po Marku, co oznaczało, że chwilowo nasza przyjaźń nieco przygasła.

Zrezygnowaną, wciąż odrobinę oszołomioną, znalazła mnie pani Jolinka i reszta wycieczki, dla której ambona była kolejnym punktem na trasie spaceru.

– O, tu jesteś, Małgoniu. A co to za mina?

Machnęłam ręką, dając jej znak, żeby się nie przejmowała. Musiałam złapać oddech i oczyścić głowę, a jedynym skutecznym na to sposobem od zawsze było chodzenie.

– Przepraszam, pani Jolu, ale muszę was opuścić – zakomunikowałam, po czym podniosłam się z ławki i ruszyłam w dół skarpy.

– Halo, a moja książka? – zawołał za mną Jarek.

– Niech pan zostawi adres w kasie, wysłę panu! – odkrzyknęłam, po czym burknęłam do siebie: – Cholera jasna, miałam nadzieję, że zapomni.

Odprowadzana podejrzliwym wzrokiem Jolanty, który czułam niemal fizycznie na wysokości podstawy czaszki, powędrowałam nad rzekę, gdzie nikt i nic nie powinno mi przeszkadzać. Z wyjątkiem pajaków, pszczoł, os, komarów i tym podobnych żyjatek, ale akurat w tamtej chwili owady były moim najmniejszym zmartwieniem. Pomimo moich dotychczasowych dziwnych kontaktów z policją doskonale wiedziałam, że nie wysyłają patroli z byle powodu, nie doszukują się kryptogramów tam, gdzie ich nie ma, a zatem wniosek nasuwał się sam. Komisarz Bączyński, który wszakże idiotą nie był, musiał uważać, że moje dziecko rzeczywiście znalazło się w kłopotach. Jeśli podejrzewał o to przebywającą na Mazurach Alicję, z całą pewnością musiał uznać, że kłopoty obejmują także mnie. Skoro zaś doszedł do takich wniosków po tym, jak zaczęłam wypytywać tutejszych stróżów prawa o Zmarzlaka, musiałam w coś wdepnąć, choć nie miałam pojęcia w co. I był tylko jeden sposób, żeby się tego dowiedzieć.

ROZDZIAŁ 20

Siedzibą Muzeum Historycznego w Przasnyszu jest staromiejski ratusz. Do zbiorów muzeum należą: monety, banknoty, odznaczenia, medale, militaria, dzieła sztuki – malarstwo, grafika, rzeźba, rzemiosło artystyczne oraz zabytkowe przedmioty codziennego użytku. Obok eksponatów gromadzi się tam także archiwalia, wszelkiego rodzaju dokumenty, a więc zaświadczenia, legitymacje, dyplomy, świadectwa, pokwitowania, a także pocztówki, mapy i plany. Obszerną część zbiorów tej placówki stanowią fotografie.

Szum płynącej rzeki ukoił nerwy na tyle, że przestałam fantazjować o zamordowaniu komisarza Bączyńskiego, a zaraz potem Baški. Wystawiłam twarz do słońca na tyle, na ile pozwalał mi na to kołnierz ortopedyczny, i przez chwilę cieszyłam się absolutnym spokojem. Ludzkie głosy tutaj nie docierały, można więc było całkowicie zapomnieć o bożym świecie. Przyszły mi nawet do głowy słowa wiersza Witolda Gomułickiego i nuciłam pod nosem do melodii zupełnie przypadkowej: „Nad błękitną moją Narwią najpiękniej się łąki barwią, najmiłośniej szumią drzewa i najmilej słowik śpiewa”¹⁸. Słowik natychmiast skojarzył mi się z pseudonimem jednego z groźnych bandziorów, a to znów skierowało myśli na właściwy tor.

– Wszystkie drogi prowadzą do Zmarzlaka – mruknęłam, wybierając numer w telefonie, po czym wysłuchałam kilku sygnałów, zanim w słuchawce rozległ się głos mojej przyjaciółki.

– Dzień dobry, kicia, co słyhać w świecie puszczańskiego ludu?

Ja ci dam puszczański lud – pomyślałam ze złością.

– Czy wciąż masz pod ręką tego swojego Zimnego? – wycedziłam wręcz lodowato. – Potrzebuję się z nim rozmówić.

– Ojej, ale trafiłaś... Godzinę temu wyruszył w dalszą podróż.

– Dokąd?

– Wolałam nie wiedzieć, na wypadek gdyby policja mnie zapytała.

– Dobrze, że o tym wspominasz, moja droga, bo to wcale nie jest wykluczone – poinformowałam ją nie bez satysfakcji. – Nie wiem, co nawywiłaj twój dożywotni dłużnik, ale zdaje się, że poszedł na grubo.

– Tego to ja już zdążyłam się domyślić – odparła zupełnie nieprzejęta. – Tym bardziej wolę nie wiedzieć, gdzie jest, co robi, z kim i w ogóle.

– W sumie mądrze – pochwaliłam ją – ale przydałoby się jednak ustalić, czym tak bardzo naraził się glinom, że aż wysłał swoich ludzi, żeby straszili mi dziecko. Za kradzież batonika raczej by go nie szukali po całym kraju.

– Raczej nie – zgodziła się ze mną Barbs, zanim dotarł do niej cały sens. – Czekał, wróć! Jak to: straszili ci dziecko? Jakim cudem?

W tym wypadku wina leżała częściowo po mojej stronie, choć wciąż uważałam, że Bączyński nieco przesadził. Dobrze, że nie wysłał kominiarzy z jakiejś specgrupy. Tak czy inaczej komisarza poniosło, mnie się oberwało i jedyne dziecko się na mnie obraziło.

Chcąc nie chcąc, musiałam opowiedzieć Baśce o „zdarzeniu”, które okazało się idiotyczną pomyłką, jednak ona – wbrew moim przewidywaniom – zareagowała nader właściwie.

– Cholera jasna, masz rację – skwitowała po chwili namysłu. – To musi być gruba afera, gliny nie szastają personelem bez ważnych powodów. Do diabła, powinnam była temu kretynowi wydrzeć prawdę z gardła, kiedy był skutny jak fosa w mroźną noc. Ty wiesz, że ten imbecyl rano w ogóle nie pamiętał, że

brał udział w naszej wczorajszej rozmowie, a gdy mu o tym przypomniałam, wpadł w taki popłoch, że chciał wyjść przez balkon.

– Z jedenastego piętra?

– No właśnie, wyobrażasz sobie?

– Może trzeba mu było pozwolić, przynajmniej przestaliby go szukać...

Basia mlasnęła głośno, zastanawiając się nad moimi słowami, po czym odrzekła, całkiem zresztą niegłupio:

– Nie, to by nam nic nie dało. Policja na pewno by nam nie powiedziała, co zrobił, a my przecież tego chcemy się dowiedzieć.

Nie zauważyłam, kiedy weszliśmy w fazę prywatnego śledztwa, ale musiało to się wydarzyć gdzieś między „cholera jasna” a „gruba afera”.

– Czyli mówisz, że ten twój Bączyński zajmuje się sprawą łomżyńskiego oprycha, a łomżyńska policja udaje, że go nie zna? – rozmyślała dalej na głos moja przyjaciółka. – Już samo to jest cokolwiek dziwne.

– Oni w ogóle są dziwni – rzuciłam, zastanawiając się nad jej słowami. – Zmarzłaka się wyparli, pani Zofii nie szukają...

– Co takiego?

Dopiero teraz dotarło do mnie, że przecież ona o niczym nie wie. Nie zdążyłam jej wszystkiego opowiedzieć ani podzielić się z nią wątpliwościami tudzież podejrzeniami.

– O, kochana, jak ja ci streszczę ostatnie czterdzieści osiem godzin mego życia, to nawet ten twój dożywotnik bladeo wypadnie.

– Poczekaj chwilę, Goniu – powiedziała, jakby zupełnie nie interesowała jej moja opowieść, po czym wydarła się, jak tylko ona potrafi: – Dzieci!!! Proszę natychmiast zająć się sprzątaniem kuchni i łazienki, matka teraz ma ważne spotkanie i niech nikt nie waży mi się przeszkadzać!!!

Musiałam odsunąć telefon od ucha, bo jej krzyk wchodzący w infradźwięki nie działał jedynie na węze, z racji ich głuchoty. Po chwili usłyszałam:

– No, już jestem. Mów wszystko, od początku.

*

Kiedy wracałam do biura, dostrzegłam, że przed budynkiem stoi pani Jola i nerwowo pali papierosa.

– Już po spacerze? – zapytałam z uśmiechem.

– Na całe szczęście. Co to była za upiorna grupa! – Zgasiła niedopałek i natychmiast sięgnęła do paczki po kolejnego papierosa. – Ten cały Jarek tak mnie przemaglował w jednej chacie, że autentycznie miałam ochotę wrzucić go do kuźni.

– Naprawdę, on? A taki wydawał się niezainteresowany.

– A widzisz, jakoś dziwnie zainteresowanie zawsze się włącza, gdy pokazuję bursztyny.

– To akurat rozumiem – przyznałam. – Mnie też to ciekawi, ja jestem sroka.

– Ale on mi na srokę nie wyglądał. Wciąż pytał o to, czy tutaj gdzieś jeszcze są złoża, jak duże okazy udaje się znaleźć, ile kosztuje kilogram takiego, a takiego... – westchnęła ciężko Jolinka. – Za stara się robię do tej pracy, ludzie mnie denerwują...

– To nie jest kwestia wieku, pani Jolu – pocieszyłam ją. – Mnie ludzie denerwują całe życie, a szczególnie ci nastoletni...

– O, właśnie! – podchwyciła z zapalem. – A ta chuda z aparatem jak wparowała do izby, to każdego pajaka¹⁹ dotknęła, każdą leluję²⁰ pomacała, w makatkę²¹ to chyba wytarła brudne paluszyska i nawet każdą palmę²² musiała zważyć w tych swoich chuderlawych rękach!

Oburzenie pani Joli wcale nie było udawane, zżymała się nie gorzej od Marka, kiedy świat mu się sprzeciwiał.

– Ewidentnie potrzebuję urlopu – skwitowała w końcu, miazdząc w popielniczce ledwo nadpalonego papierosa. – I to dłuższego. Inaczej któregoś razu przysolę komuś kosiorem²³.

Sama miałabym kilkoro kandydatów do walenia kosiorem, więc doskonale rozumiałam jej uczucia. Ruszyliśmy do dworku, po drodze mijając turystów opuszczających skansen z pocztówkami w dłoniach. Ten widok przypomniał mi o Jarku, zajrzałam więc do kasy, w której sympatyczna pani ze zdumieniem przyjęła moje pytanie o adres.

– Małgoś, a czego ty szukasz? – zawołała z wnętrza biura pani Halinka.

– A jeden taki miał tu zostawić adres – wyjaśniłam, zmierzając w jej stronę.

– Taki bystrooki, niebrzydki i raczej wygadany?

– Po opisie pasuje – potwierdziłam. – A co, więcej tu adresy podrzuciło?

– Patrzenie ją! – fuknęła Halinka, odkładając na biurko kierec²⁴, w którym zerwała się nitka. – A już jeden mąż i jeden wielbiciel jej nie wystarcza? Taka zachłanna?

– Od razu zachłanna – zachnęłam się. – Z ciekawości pytam. Zostawił ten adres?

– A zostawił, zostawił – potwierdziła muzealniczka. – Kazał też pozdrowić Małgosię i życzyć dużo weny.

– Weny-sreny – przedrzeźniła ją Jolinka, której wcale złość nie minęła. – A jak mnie wena niosła do opowiadania o młynie, to prawie wiatrak połknął, tak szeroko ziewał.

– A coś ty się tak nabzdyczyła, Jolka? – Halinka przyjrzała się koleżance spod zmrużonych oczu. – Ktoś ci na odcisk nastąpił czy jak?

– Trudna grupa – wyjaśniłam, zanim Jola zdążyła wymyślić złośliwą ripostę. – To gdzie ten adres?

– Skąd mnie to wiedzieć? – odparła z dumą, wzruszając ramionami. – Ja tam do cudzych spraw nie zaglądam, nie do mnie te epistoły.

No nie, czy możliwe, że od tych nieludzkich upałów wszyscy równocześnie zaczęli bredzić?

– Gdzie ta epistoła, pani Halinko? – doprecyzowałam pytanie.

– A, no tak... – Halina wysunęła szufladę stojącego pod biurkiem kontenerka i wyjęła z niej złożoną na czworo kartkę z zeszytu w kratkę. – Proszę, kartkę musiałam mu dać swojo, bo nie miał, sierota taka.

Przewróciłam oczami, wyrażając w ten sposób pożałowanie dla sieroty nienoszącej przy sobie co najmniej notatnika, i rozłożyłam kartkę.

– A to dopiero! – wykrzyknęła Jolanta, rzuciwszy okiem na adres. – W tej samej bramie mieszkała kiedyś nasza Zośka.

– Serio? – zdumiałam się zbiegiem okoliczności.

– Serio, serio. To mieszkanie po jej rodzicach – wyjaśniała dalej Jola, a po złym humorze nie było już ani śladu. – Sprzedała je i kupiła dom tutaj, niedaleko. Jak się nazywa ta wieś, Halinka, bo zawsze mi się mylą?

– Nowe Kupiski – odpowiedziała Halina, kręcąc głową, jakby na to pytanie odpowiadała już trzy miliony razy. – I wcale nie sprzedała tego mieszkania, tylko je wynajmowała, ale niedawno lokatorom wymówiła.

– A, faktycznie! – przypomniała sobie Jolinka. – Dla córki i jej narzeczonego, no przecież. Młodsza sobie znalazła gacha i chcieli jakąś kawalerkę wynająć, ale Zośka pomyślała, że szkoda pieniędzy, lepiej niech zamieszkają w tym mieszkaniu po dziadkach.

– Całkiem rozsądnie – oceniłam. – Ale zaraz, momencik. Czyli córka pani Zofii mieszka pod tym adresem? – Pomachałam kartką zapisaną niestarannym męskim pismem.

– Na pewno w tej klatce, numeru mieszkania nie pamiętam – potwierdziła pani Jolinka, po czym spojrzała na mnie z nieco większą uwagą. – A dlaczego o to pytasz?

Podjeździwość w jej głosie zaalarmowała zarówno Halinę, jak i Karolinę, dotychczas pochłoniętą opisywaniem fotografii na szykowaną wystawę. Trzy pary oczu wpatrywały się teraz we mnie wyjątkowo wnikliwie.

- Hełoł, jak to: dlaczego? - odpowiedziałam pytaniem, nie kryjąc zdziwienia ich zdziwieniem. - Jej matka zaginęła, trzeba z dziewczyną porozmawiać. A mnie właśnie nadarzyła się ku temu wyśmienita okazja.

Zanim zrozumiwały, co właśnie powiedziałam, minęła dłuższa chwila. Tymczasem ja już układałam w myślach plan.

- Ale ona niczego nowego ci nie powie, Małgoś. - Halina ocknęła się jako pierwsza. - Myśmy z nią rozmawiały, była tu u nas, jak tylko pani Zofia zniknęła.

- Zobaczmy - oznajmiłam zdecydowanie. - Wiecie, dlaczego świadków przesłuchuje się po kilka razy? Bo za każdym kolejnym coś nowego im się przypomina. Pojadę tam i spróbuję wyciągnąć co się da.

- Rowerem? - Halina wyszczerzyła się złośliwie. Bez wątpienia kuzyn opowiedział jej o okolicznościach, w jakich się poznaliśmy.

- Niech się pani nie troska, znajdę inny sposób - odrzekłam dumnie. - Wracam do hotelu, muszę sprawdzić, jak się miewa moja gorsza połówka.

W ostatniej chwili przypomniałam sobie jeszcze o sukience dla żony pana Bogumiła, wrzuciłam ją do torby i opuściłam chłodny dworek. W sieni wokół sklepiku kłębiło się kilkoro turystów, dyskutujących na temat wyboru pamiątek. Minęłam ich bez słowa i wyszłam na rozgrzane słońcem powietrze, a moja koszulka momentalnie przykleiła się do pleców. Afrykańskie upały zaczynały mnie denerwować i z żalem pomyślałam o klimatyzacji w samochodzie. Ta myśl z kolei nasunęła mi przed oczy obraz Alicji. Biedne to moje dziecko, pokarane szaloną matką...

ROZDZIAŁ 21

Bursztynem bałtyckim handlowano w całej starożytnej Europie. Ogromnym powodzeniem cieszył się zwłaszcza w Cesarstwie Rzymskim i w całym basenie Morza Śródziemnego. Wyprawy po bursztyn organizowane były od V wieku p.n.e. i prowadziły tzw. szlakiem bursztynowym od Atlantyku do wybrzeży Morza Bałtyckiego. Początkowo bursztyn był przedmiotem wymiany handlowej – pośrednikami byli Celtowie, od których kupcy nabywali elektron, nie docierając do Bałtyku. Rozwój handlu bursztynem Rzymianie rozwinęli na dużą skalę w I wieku n.e., organizując kilkoma drogami wyprawy z Panonii nad Bałtyk, szczególnie do Sambii (historyczna kraina w Prusach). Szczytowy rozwój handlu bursztynem przypada na III wiek, a głównym jego ośrodkiem na terenie imperium rzymskiego była Akwileja – jedno z rzymskich centrów rzemieślniczych (obecnie na liście UNESCO). Szlak wiódł przez Bramę Morawską oraz Kotlinę Kłodzką, przez Śląsk, Wielkopolskę oraz Kujawy nad Bałtyk. Z całą pewnością prowadził przez Wrocław, przez jego osiedle Partynice, gdzie w XIX wieku znaleziono duże ilości bursztynu (tzw. bursztynowy depozyt z Partynic, pochodzący z I wieku p.n.e. o łącznej wadze około 1,5 tony). Znajduje się on w Muzeum Archeologicznym we Wrocławiu.

Marek, wbrew moim przewidywaniom, doskonale się bawił. Dawno nie widziałam go tak odprężonego i radosnego, co odkryłam ze zdumieniem. Mój mąż, poważny medyk, człowiek żyjący głównie po to, żeby ratować ludzkie istnienia i zatruwać mi codzienność, niepostrzeżenie zmienił się w duszę towarzystwa.

Zastałam go w restauracji, siedzącego przy barze wraz z trzema innymi mężczyznami. Dyskutowali o czymś zawzięcie, raz za razem wybuchając gromkim śmiechem. Nawet barman – młody chłopak o sympatycznej, bladej twarzy – przyłączył się do rozmowy.

– O, jest i ona! – wykrzyknął niemal radośnie pan doktor. Spalona poprzedniego dnia skóra na czole zaczęła mu się złuszczać, ale on zdawał się nic sobie z tego nie robić. – Moja wspiana małżonka, mistrzyni intryg i zawołowanych tajemnic.

Skrzywiłam się, zaskoczona tak niecodzienną prezentacją. Upił się...?

– Dzień dobry – przywitałam się z nieznajomymi, a gdy oni radośnie mi pomachali, uznałam, że było gorzej, niż przypuszczałam: wszyscy musieli mieć już nieźle w czubie. – A skąd nagle ci się wzięło uwielbienie dla mojej twórczości? – zapytał Marka, składając całusa na pokrytym łuskami czole.

– A tam, twórczości! – prychnął. – Ty jesteś wyjątkowa w prawdziwym życiu, moja kochana. Ile znasz innych matek, które sprowadzają dziecku na głowę policję?

O masz... Mimo chłodu panującego w klimatyzowanym pomieszczeniu po plecach pociekła mi strużka potu. Czyli już wiedział. Powinnam była się domyślić, że Alicja będzie chciała komuś się wyżalić, a skoro mnie nie mogła, wybrała ojca...

Miałam przekichane.

Nie wiem, na ile udało mi się zachować kamienną twarz, w każdym razie bardzo się starałam. Udałam, że szpila wcale mnie nie ukłuła, i z godnością zajęłam jeden z wolnych hokerów.

– Co podać? – zapytał grzecznie sympatycznolicy barman.

Zerknęłam na szklanki moich towarzyszy – wszyscy raczyli się piwem.

– To samo, co oni piją – odparłam z uśmiechem. – Przerwałam wam coś ważnego?

– Skądże! – zapewnił siedzący po mojej prawicy zadbany siwowłosy mężczyzna wyglądający na sześćdziesiąt lat.

- Absolutnie, kochanie – poparł go Marek. – Rozmawialiśmy właśnie o urokach życia rodzinnego, wymieniając zalety naszych żon.

Znakomicie... Czyli trafiłam w sam środek gorzkich żali.

- To bardzo ładnie z waszej strony, że docenicie swoje małżonki – rzuciłam tonem ociekającym słodyczą. – Każdy mądry mężczyzna wie, że na jego wartość składają się zalety żony. Na przykład Marek uchodzi za jednego z najbardziej eleganckich lekarzy w szpitalu tylko dlatego, że ja mam znakomite wyczucie smaku.

- No już bez przesady – zaproponował chodzący dowód mych niekwestionowanych zalet. – Tak mówisz, jakbym nigdy sam nie dbał o swoją garderobę. A te spodnie – poruszył nogą odzianą w lnianą nogawkę – to sam sobie kupiłem.

- Oczywiście, mężu – przytaknęłam grzecznie. – Po tym jak wysłałam ci link do sklepu.

Nasi towarzysze zaśmiali się wesoło i jeden przez drugiego zaczęli zapewniać odrobinę zawstydzonego Marka o tym, że ich także ubierają żony. Wielka mi niespodzianka.

- Słyszałem, że przyjechała pani w poszukiwaniu inspiracji do książki – zagadnął mnie pucułowaty jegomość, siedzący obok mojego męża.

- Ach tak, można tak powiedzieć. Planuję napisać sagę rodzinną, a przy okazji odkryć przed czytelnikami koloryt kurpiowskiej kultury.

- Czyli tym razem bez trupa? – zdziwił się mój bezpośredni sąsiad.

Jak babcię kocham, to słowo zaczynało mnie prześladować!

- Chciałam odpocząć od historii kryminalnych – wyjaśniłam sucho.

- No to znakomicie ci się udało – zakpił Marek. – Ledwo wyjechałaś z domu i na dzień dobry jedna wpadła pod pociąg.

No i po co on tym dziobem kłapał?

Odchyliłam się lekko, żeby spojrzeć karcąco na męża. Dam sobie rękę uciąć, że na jego twarzy gościł złośliwy uśmiech. Oj, nie daruje mi tego wyjazdu zbyt łatwo, a po akcji z Alicją zapewne będzie się wyzłośliwiał przy każdej okazji.

Czterech obcych facetów, w tym jeden barman, natychmiast wyraziło zainteresowanie trupem spod pociągu. Marek – choć zaczynałam wierzyć, że to naprawdę nie on, lecz jego sobowtór – z zadowoleniem rozgadał się na temat tajemniczej sprawy jeszcze bardziej tajemniczego samobójcy. Siedzący obok mnie mężczyzna wyjął z kieszeni telefon i gorączkowo przeglądał zasoby internetu w poszukiwaniu jakiegokolwiek wzmianki na ten temat.

- Ani słowa – oznajmił po kilku minutach. – Nic nie piszą o żadnym samobójcy. Jesteście pewni, że to był człowiek?

Pochłonięta galopującymi rewelacjami ostatnich dni zapomniałam o tym epizodzie. Byłam zresztą przekonana, że sprawa została załatwiona od ręki. Ot, zdarza się, ludzie robią różne rzeczy, kiedy chcą odebrać sobie życie. Tymczasem informacja o braku choćby najmniejszej wzmianki na ten temat odrobinę mnie zaniepokoiła.

- Niech pan pokaże – rozkazałam facetowi.

Położył telefon na blacie przed moimi oczami i przewijał wyniki wyszukiwania.

- Widzi pani? Nic. Jakieś starocie sprzed kilku lat, a na temat świeżego trupa zupełnie nic.

To już wydało mi się podejrzenie dziwne. Setki świadków mogły to potwierdzić, w tym jeden prokurator, straż pożarna i jeden wrocławski policjant. Na myśl o komisarzu Bączyńskim poczułam ukłucie w mostku.

- A niech pan sprawdzi hasło „zabójstwo” – zaproponowałam sąsiadowi.

Nie okazując zdziwienia, wpisał żądane słowo w wyszukiwarkę i już po chwili mina mu się zmieniła.

– Oho, chyba pani trafiła – oznajmił z nutką podziwu w głosie. – Onet donosi, że znalezione na torach ciało mężczyzny prawdopodobnie należało do członka jakiejś grupy przestępczej.

– Czyli porachunki – domyślił się pucułowaty.

– Gangsterzy... – skwitował trzeci z mężczyzn, siedzący pośrodku.

W innej sytuacji pewnie zupełnie bym się tym nie przejęła, jednak okoliczności, w jakich znalazłam się dzięki mojej przyjaciółce, kazały mi wyostrzyć zmysły i podważać każdy przypadek. Zmarzlak vel Zimny alias Trup także należał do grupy przestępczej. Bączyński zachowywał się wyjątkowo tajemniczo. Zwłoki na torach pojawiły się dokładnie wtedy, kiedy Zmarzlak był uznany za zaginionego, a w dodatku robił coś, o czym nie chciał powiedzieć kobiecie, która ufała mu bezgranicznie i gotowa była chronić go nawet przed policją.

Daleka jestem od snucia teorii spiskowych i raczej kiepski byłby ze mnie strateg w wywiadzie, ale nie miałam cienia wątpliwości, że wokół mnie działa się coś istotnego. Żywiłam nadzieję, że Baśka nie dostanie rykoszetem, a komisarz Bączek nie postanowi jej aresztować za udzielenie pomocy poszukiwanemu prawem przestępcy. I wyznaję to zupełnie szczerze: wolałam nie wiedzieć, za co go poszukiwano.

Dopiłam piwo, pożegnałam się grzecznie z panami i ruszyłam do pokoju. Marek dołączył do mnie po kilkunastu minutach. Akurat zdążyłam wziąć prysznic i postanowiłam przez chwilę poleżeć.

ROZDZIAŁ 22

Od 1998 roku, gdy Muzeum Okręgowe przekształcono w Muzeum Kultury Kurpiowskiej, funkcjonowały w nim działy: Archeologiczny, Etnograficzny, Historyczny, Sztuki i Oświatowy. Ekspozycja stała Muzeum Kultury Kurpiowskiej zabiera zwiedzających w niezwykłą podróż po Ostrołęce międzywojennej, której historia sięga wczesnego średniowiecza, oraz po okolicznych terenach Kurpiów.

- Jak źle jest? - zagadnęłam męża, gdy usiadł obok mnie na łóżku.

- W skali od jednego do dziesięciu jesteś Petunią Dursley²⁵ - odparł ze współczuciem.

Wciągnęłam głośno powietrze i zamknęłam oczy. Siedemnaście lat wyrzeczeń, a jedno małe nieporozumienie sprawiło, że córka mnie znienawidziła. Pięknie...

- Powiedziała, że po powrocie z obozu jedzie do babci - dręczył mnie dalej Marek. - Próbowałam jej wytłumaczyć, że to cię zabije, ale była nieugięta.

- A nie mogłeś jej powiedzieć, że to Bączyński źle zrozumiał? - jęknęłam. - Przecież byłeś przy tej rozmowie. Powiedziałeś jej to?

- No... nie.

- Dlaczego?

- Nie chciałem jej też podpaść.

- Tchórz - syknęłam. - I obrzydliwy oportunistą.

- Ale przynajmniej córka mnie kocha.

Otworzyłam oczy i spojrzałam na niego. Wyszczierzony, jakby prezentował uzębienie przed stomatologiem, wyglądał idiotycznie.

- Świetnie - skapitulowałam. - Odpadną mi wizyty z nią u ginekologa.

Tego, zdaje się, mój cwany mąż nie przewidział i nie wyglądał teraz na szczególnie zadowolonego. W odróżnieniu ode mnie, ma się rozumieć.

- A tak w ogóle to jak ci minął dzień? - zapytałam tak słodko, że mnie samą zemdleło.

- Całkiem przyjemnie, dziękuję. - Ton Marka tymczasem ze słodyczą miał tyle samo wspólnego, ile piołun.

- I tak sobie z kolegami rozprawialiście o żonach? - dociekałam, zupełnie nierażona jego ostentacyjną obrazą.

- Też.

Byłam pewna, że na tym zakończy się wyczerpujący raport, ale znowu udało mu się mnie zaskoczyć.

- Ci faceci to przedstawiciele jednego z największych deweloperów w Polsce. Przyjechali tu, żeby znaleźć działki pod budowę.

- W Nowogrodzie?

- Nie w Nowogrodzie, w jakiejś wsi, niedaleko.

Od razu stanęła mi przed oczami działka, na której dokonywano podejrzanych zakopków.

- I co, znaleźli? Tu dookoła jest sporo ziemi.

- Chyba znaleźli, ale powiedzieli, że nie wyjadą, dopóki nie dostaną umowy przedwstępnej, żeby nie było jak ostatnio. Nie wypytywałam ich dokładnie, ale z tego, co mówili, wnioskuję, że jakiś rolnik nagle się wycofał, a oni zostali niemal z dnia na dzień bez działki i z projektem, który mogą, cytując: „sobie wsadzić”.

– Prawo wolnego rynku, kochany – odparłam z kompletnym brakiem współczucia dla nowych kolegów Marka. – Znajdą inną, a projekt da się przerobić. Słuchaj, Maruś... – Wciąż biłam się z myślami, nie mając pewności, czy w ogóle powinnam mieszać męża w swoje plany, które mogły okazać się kolejnym wygłupem.

– Hmm?

– A może by tak zapytać Bączyńskiego o ten przestępczy element na torach? – zagadnęłam nieśmiało.

– Wykluczone! – zaprotestował natychmiast. – Absurdalny pomysł!

– Wcale nie taki absurdalny, jeśli miałyby się okazać, że tego kolejowego trupa kropnął Zimny Trup, który następnie spędził upojną, dosłownie, noc z moją najbliższą przyjaciółką.

– Nie mieszaaj się do tego, Gosiu – rzucił ostrzegawczym tonem Marek. – Już bigosu narobiłaś, to powinno ci w zupełności wystarczyć – uderzył celnie.

– Ale ja nie zamierzam się w nic mieszać – zachnęłam się. – Miałam raczej nadzieję, że to ty się dowiesz, w końcu Bączyński jest twoim kumplem. Chyba cię lubi, a mnie uważa za wariatkę.

– Ciekawe dlaczego...

– Sama się nad tym zastanawiam. Jesteś gburem, masz paskudny charakter, obrażasz się jak siedmiolatek. Nawet własna matka ledwo cię znosi, więc jakim cudem ten bystry policjant mógł cię polubić?

– Jędza – odgryzł się małżonek, który po raz kolejny dał się podejść. Jak dziecko.

– Czyli nie zapytasz?

Spojrzał na mnie z wyraźną niechęcią, a następnie ostentacyjnie podniósł się z łóżka.

– Idę na obiad – oznajmił i dodał: – Umówiłem się z chłopakami.

*

Mysł o tym, że kolega Baški może być mordercą, nie dawała mi spokoju. Ilekroć próbowałam skupić się na czymś innym, niepokój wracał, za każdym razem coraz większy. Bączyński zapewne nie miał ochoty na rozmowy ze mną, po tym jak zrobił z siebie popisowego cymbała, a gdyby nawet przez pomyłkę odebrał, zapewne natychmiast by się rozłączył.

Po obiedzie, w trakcie którego mój małżonek ostentacyjnie mnie ignorował, wróciłam do pokoju i zajęłam się przeglądaniem materiałów źródłowych do mojej książki, jednak zasiane ziarno kiełkowało, nie pozwalając mi się odprężyć. W końcu zadzwoniłam do przyjaciółki.

– Dwa telefony jednego dnia to rekord – przywitała mnie Barbs.

– Nie bądź Markiem – zbeształam ją. – Potrzebuję się naradzić, a ta kanalia zabrała zabawki i poszła się bawić do innej piaskownicy.

– I ty jeszcze narzekasz? Kobieto, powiedz, jak ci się to udało, a zaraz cię ozłocę.

Cmoknęłam z irytacją i bez dalszych wstępów rzuciłam:

– Słuchaj, ten zewłok na torach to żaden samobójca. Ktoś go zaciukał, a ciało podrzucił. Hieny ustaliły, że zewłok miał powiązania z jakąś grupą przestępczą.

– Nie czuję się zaskoczona. I co w związku z tym?

– W związku z tym ja tak sobie dywaguję, że skoro zewłok był w grupie i ten twój Zmarzłak też jest w grupie, to może to jest ta sama grupa?

Basia milczała przez chwilę, a ja słuchałam jej równego oddechu, spodziewając się, że zaraz spadną na mnie gromy.

– Hmmm... – zaczęła. – Nie możemy tego zupełnie wykluczyć, choć to musiałby być naprawdę tak wielki zbieg okoliczności, że obliczenie jego prawdopodobieństwa nie mieści się w arkuszu kalkulacyjnym. Załóżmy jednak, że masz rację. Co nam to daje?

– Wyjaśnienie – odrzekłam, przygotowana na to pytanie. – Po pierwsze: będziemy wiedziały, co i z kim Zmarzlak robił, kiedy ja robiłam z siebie idiotkę w komendzie, a po drugie: będziesz miała niezbity dowód, że zadajesz się ze złolem.

– Tak, to prawda. Przy czym wolałabym żadnej z tych rzeczy nie wiedzieć, bo za uratowanie mi życia mam u tego człowieka dług, jak wiesz.

– I nie obchodzi cię, że teraz mogą ruszyć za nim w pościg nie tylko policjanci, ale i chłopcy z jego ferajny? I dajmy na to, ci chłopcy będą wiedzieli, że on był u ciebie, więc odwiedzą twoją rodzinę, żebyś go wydała?

– Gdyby okazał się mordercą, z pewnością by mnie to obeszło – odpowiedziała sztywno. – Dlatego nie chcę wiedzieć.

– Matko kochana, ale z ciebie kretyńska! – Zazgrzytałam zębami tak głośno, że aż mi w uszach zadzwoniło. – To tak nie działa, wariatko! Nawet jeśli nie wiesz, że w Polinezji zjadają dzieci, to oni wciąż je zjadają, tylko po prostu ty o tym nie wiesz!

– W Polinezji zjadają dzieci?! – przeraziła się moja przyjaciółka, w której rozum zaczęłam bardzo wątpić.

– To był przykład, ptasi mózdzku! Obrazowy! Oznacza ni mniej, ni więcej tyle, że chłopcy z ferajny wciąż mogą dopaść twoją rodzinę, nawet jeśli ty nie będziesz wiedzieć, że Zmarzlak jest mordercą.

Tym razem milczenie w słuchawce trwało zdecydowanie dłużej. Również oddech Basi wyraźnie przyspieszył, a nawet kilka razy głęboko westchnęła.

– Dotarło? – zapytałam najłagodniej, jak potrafiłam.

– Dotarło. Co robimy?

Alleluja!

Przekonanie jej, że powinna odwiedzić Bączyńskiego i wyznaczyć jak na świętej spowiedzi wszystko, co wiązało się ze Zmarzlakiem, okazało się już bardzo łatwe. Tym samym nasze prywatne podwójne śledztwo zaczynało nabierać kształtu, a w dodatku prowadziłyśmy je dwutorowo: Basia miała wycisnąć z Bączyńskiego, ile się da, ja zamierzałam pociągnąć za język moje lokalne źródło wiedzy.

Jedynym, czego nie wzięłam pod uwagę, było to, że niekiedy niewiedza rzeczywiście bywa błogosławieństwem.

ROZDZIAŁ 23

Najbardziej znanym dziełem wykonanym z bursztynu jest Bursztynowa Komnata. Był to kompletny, bursztynowy wystrój komnaty z XVIII wieku, zamówiony u gdańskich mistrzów przez Fryderyka I Hohenzollerna, do gabinetu w jego podberlińskim pałacu Charlottenburg. Komnata w 1716 roku trafiła do Petersburga, gdyż spodobała się carowi Piotrowi I Wielkiemu, gdy odwiedził Prusy, a Fryderyk I mu ją podarował. W 1941 roku Bursztynowa Komnata została zrabowana przez Niemców, rozłożona, spakowana i w kilku skrzyniach była przewożona w różne miejsca, by w rezultacie zaginąć. Do dziś nie została odnaleziona – stała się symbolem zaginionego skarbu.

Kiedy wydaje nam się, że źle już było i teraz odbijemy się od dna, życie potrafi zaskoczyć, i to tak, że nawet obdarzony niewiarygodną fantazją wizjoner nie byłby w stanie tego wykoncytować.

Wieczorem, chwilę po kolacji, którą zjadłam w samotności, podobnie jak obiad, odebrałam telefon od teściowej. Zrobiłam to przez przypadek, nie widząc, kto dzwoni, gdy zajęłam się planowaniem fabuły książki.

– Czyś ty już do reszty postradała rozum?! – wrzasnęła na mnie bez zbędnych kurtuazji Małgorzata Starosta seniorka.

– Dobry wieczór mamie – odparłam, zaciskając zęby. – Jak to dobrze słyszeć, że wciąż mama nienawidzi ludzi.

– W przeciwieństwie do tego, co ci się wydaje, Małgosiu, złośliwość wcale nie świadczy o nieprzeciętnej inteligencji – odgryzła się teściowa. – Za to nasze czyny potrafią doskonale zobrazować poziom umysłowy, w tym stopień uposzczenia.

Oho, czyli do babci Alicja też zadzwoniła ze skargą. Kochane dzieciątko, wdzięczne, lojalne i ani trochę do mnie niepodobne charakterem...

– Skoro już jesteśmy przy uprzejmościach, to niech mama chluśnie tą zólcą raz a dobrze, bo ja nie mam za dużo czasu – zaproponowałam beznamiętnie. – Bładym świtem muszę jechać coś załatwić.

Moja teściowa, kobieta o charakterze odpychającym niczym zapach rozkładających się zwłok, krochmaląca dorosłemu synowi gacie, a prawie dorosłą wnuczkę traktująca jak niemowlę, odkąd pierwszy raz na mnie spojrzała, nigdy nie zmieniła zdania na mój temat. Otóż w jej mniemaniu byłam ucieleśnieniem mitycznej harpii, istotą złośliwą, samolubną, pozbawioną ludzkich emocji i rozsądku. Byłam rozrzutna, z niefrasobliwością podchodziłam do rzeczy nabytych, nie miałam stałej pracy, a pieniądze zarabiałam dzięki fantazjowaniu o pozbawianiu ludzi życia. Wielokrotnie dałam się poznać jako nieodpowiedzialna matka, a w roli żony spełniałam się gorzej, niż przewidziałby to jakikolwiek koszmar teściowej. Jednym słowem: byłam najgorsza.

– Nie masz za grosz wstydu, Małgosiu! – syknęła matka Marka.

O, faktycznie, jeszcze o tym grzechu zapomniałam.

– To akurat nieprawda, wstydziłabym się latać z gołym tyłkiem przed ludźmi.

– A cóż to za skandaliczny przykład? – oburzyła się.

– Przykład jak przykład – odrzekłam ze stoickim spokojem. – Skoro tak sobie rozmawiamy szczerze, to nie widzę powodu, dla którego mama nie może się dowiedzieć, jak całkiem niedawno bawił się jej doskonale wychowany syn. W odróżnieniu od bezwstydnej mnie, rzecz jasna. Ja byłam przyzwoicie ubrana, od stóp do głów.

– Z tak całkiem gołym? – zapytała ledwo słyszalnym szeptem.

- Z golusieńkim. Przed Bašką, jej mężem i rodzicami. Pan doktor renomowany. Może więc mama jeszcze raz przemyśli moją bezwstydnosć.

Zasadniczy problem z moją teściową polegał na tym, że od lat starała się dowieść, iż jej syn popełnił nie tylko mezalians w rozumieniu społecznym, ale na domiar złego ożenił się z wariatką, która systematycznie ściągała go na dno. Gdzieżby jej Mareczek upił się jak prosię? Musiał ktoś go do tego namówić, a przecież dobry mąż słucha żony jak wyroczni. Ergo: niemalże całkiem niepijąca żona sprowadziła go na złą drogę, prosto do rynsztoka. Dlatego każdą kompromitującą go sytuację radośnie odnotowywałam w pamięci, memuarze, kalendarzu, a gdy się dało, rejestrowałam na zdjęciu bądź filmie, żeby mieć argumenty w niekończących się dyskusjach z teściową.

- Ale to nie przez niego policja straszy moją wnuczkę - odbiła piłeczkę.

Ha! Oczywiście, że musiała do tego nawiązać.

- Tak po prawdzie, to przeze mnie też nie. Nie moja wina, że komisarz Bączyński ma wybujałą fantazję - broniłam się.

- Czy ty sobie zdajesz sprawę, w jakim szoku jest twoje dziecko? - drażyła kochająca babcia.

Mogłam się założyć o każde pieniądze, że moje dziecko ma się znakomicie, a historia odwiedzin gliniarzy w obozie żeglarskim wyniosła ją do rangi lokalnej celebrytki.

- Niech się o nią mama nie martwi, Alicja charakter odziedziczyła po babci i tak łatwo jej się nie da wystraszyć. Podejrzewam, że to ona zafundowała policjantom większą traumę.

- Coraz bardziej martwię się o twoją psychikę - wycodziła rozsierzona teściowa. - I coraz bardziej utwierdzam się w przekonaniu, że posiadanie dzieci powinno być uzależnione od przejścia skomplikowanych badań. Całe szczęście, że Alicja też to widzi i postanowiła spędzić resztę wakacji ze mną.

- Tylko niech jej mama nie odsyła po tygodniu, dobrze? - zakpiłam. - Z każdym dniem będzie łatwiej, obiecuję. A w razie czego niech mama ignoruje jej wybuchy, takie prawo nastolatki.

- Odsyła? - zdumiała się Małgorzata seniorka. - Ach, Marek ci nie przekazał, że muszę do was przyjechać na jakiś czas? Podłogi wymieniam.

Poczułam, jak cała krew odpływa mi z twarzy. Nie, to niemożliwe...!

- No, to już wiesz. Umówiłam się z Alicją, że spotkamy się na dworcu - ciągnęła radośnie teściowa, wyczuwszy mój szok. - Pan Waldek mówi, że uwinie się w trzy tygodnie, więc rach-ciach i po sprawie.

Nie byłam w stanie wydusić z siebie ani słowa. Leżałam bez ruchu na łóżku i wpatrywałam się w przeciwną ścianę. Teściowa mówiła coś jeszcze o kuzynce Marka, która podobno zdradziła męża, o tym, że któryś wujek znów się natrąbił bimbrem niewiadomego pochodzenia i musiało go zabrać pogotowie, o sąsiadce trzymającej w mieszkaniu siedem psów prowadzących nocne życie, po czym się rozłączyła, zostawiając mnie w stanie totalnego osłupienia.

Trzy tygodnie. Jak ja wytrzymam trzy tygodnie z tą kobietą na głowie?

Uświadomiwszy sobie, że mój małżonek wiedział o tym od kilku godzin i nie zająknął się ani słowem, postanowiłam pokazać mu, czym jest kobiecy foch. Takie ciche dni mu urządzę, że zapragnie mieć w domu orkiestrę dętą!

Kiedy Marek wrócił do pokoju, spałam już głęboko, a plan zemsty układał się w podświadomości.

*

- Ale pan punktualny! - przywitałam Lisika ze szczerym podziwem. - To dzisiaj raczej ginąca cecha.

- Jednak nam, dinozaurom, wcale to nie przeszkadza - odwdzieczył się komplementem.

- Nic a nic. Wolę czekać godzinę, niż spóźnić się pięć minut. Pani Halinka przekazuje - oznajmiłam, wręczając mu siatkę z sukienką.

Mój szofer wrzucił pakunek do bagażnika, po czym zajął miejsce za kierownicą. Ja przez chwilę mocowałam się z pasem, który postanowił akurat teraz się zablokować.

– Niech pani puści, złapie centymetr poniżej otworu i mocno pociągnie – poradził mi pan Bogumił.

Metoda musiała być sprawdzona, zadziałała bowiem doskonale i mogliśmy ruszać.

– Na działkę z trupem? – upewnił się.

– Yyy, no właśnie, trochę plan się zmienił. A w zasadzie: rozwinął – odparłam odrobinę zawstydzona. – Moglibyśmy podjechać do Łomży?

– Zasadniczo byśmy mogli, ale musi mnie pani wtajemniczyć w rozwinięcie planu. Kolejny trup?

– O bogowie, oby nie! – zaoponowałam z przerażeniem. – Trop kolejny, co najwyżej.

Streściłam bursztyniarzowi, aktualnie pełniącemu funkcję taksówkarza, przebieg spotkania z nowym fanem mojej twórczości, który przypadkiem okazał się sąsiadem córki pani Zofii Wilkońskiej. Bogumił słuchał z uwagą i co jakiś czas marszczył czoło.

– A to ci historia – skomentował, gdy skończyłam. – Już widzę te nagłówki w prasie, kiedy odkryje pani prawdę: *Znana autorka kryminalów na tropie trupa!*

– A komisarz Bączyński następnego dnia załatwi mi areszt domowy – dodałam z kwaśnym uśmiechem. – Jedźmy, panie Bogumile, może coś się wyjaśni w sprawie pani dyrektor, bo to się w moim umyśle nie mieści, żeby praworzędna kobieta rozpuściła się jak aspiryna w szklance wody.

– To się nie mieści w żadnym umyśle, pani Małgosiu, a jeśli ktoś sprawia wrażenie, że mu się zmieściło, to moim zdaniem coś z tym kimś jest nie tak.

– Co by znaczyło, że z naszą policją jest bardzo nie tak, a to się zasadniczo zgadza – podsumowałam. – Śmierdzi mi to wszystko coraz bardziej, jeśli mam być szczerą.

Lisikowi też śmierdziało, do czego przyznał się dość obrazowymi słowy, zgadzaliśmy się zatem we wszystkich kwestiach. Przez resztę drogi opowiadałam mu historię Zimnego Trupa, czyniąc tym samym z przypadkowej osoby pełnoprawnego współnika w prywatnym dochodzeniu. Dzięki temu istniało prawdopodobieństwo, że gdybym wpakowała się w jakąś kabałę, przynajmniej jedna osoba poważnie potraktuje wyjaśnienie sprawy lub znalezienie moich zwłok. Oczywiście była to ostatnia rzecz, o jakiej myślałam, ale przezorny zawsze ubezpieczony.

Gdy dojechaliśmy pod blok, w którym mieszkali Jarosław oraz – jeśli pamięć pani Jolinki nie splatała jej figla – córka Zofii Wilkońskiej, ustaliliśmy szczegóły planu.

– Moja propozycja brzmi tak – odezwał się Bogumił po namyśle. – Pani pójdzie na górę, da temu Jarosławowi książkę i dowie się, w którym mieszkaniu mieszka ta córka. Zejdzie pani na dół, otworzy mi bramę i razem pójdziemy do dziewczyny.

– A nie byłoby lepiej, gdybyśmy oboje odwiedzili Jarosława?

– Myślę, że pani sama będzie miała większe szanse na wyciągnięcie z niego czegokolwiek – odparł rozsądnie. – Wie pani, jak działają samce: nasroży się na mój widok i guzik się dowiemy.

Miał rację. Skinęłam głową, wzięłam trzy głębokie wdechy i poszłam do bramy. Dopiero kiedy wybierałam numer mieszkania na domofonie, błysnęła mi myśl, że przecież faceta może nie być w domu. Ludzie pracują, chodzą na zakupy, niekoniecznie siedzą w mieszkaniach, czekając na niezapowiedzianą wizytę pisarki.

– Halo? – odezwał się męski głos w domofonie.

– Pan Jarosław?

– Kto pyta?

– Małgorzata Starosta.

– Kto?

– Małgorzata Starosta, pisarka.

W głośniku zapadła cisza, a po chwili usłyszałam dźwięk odblokowywania zamka.

- Mam nadzieję, że nie okażesz się seryjnym zwyrodnialcem - szepnęłam do siebie, uchylając drzwi do klatki.

ROZDZIAŁ 24

W Chinach bursztyn ma szczególne znaczenie. Kupowany jest nie tylko ze względu na swoje estetyczne walory i pewną lokatę kapitału. Jest tam powszechnie uznawany za kamień o silnych leczniczych właściwościach, a także ma duże znaczenie symboliczne. Uznaje się go za czwarty atrybut Buddy.

– To naprawdę pani! – Jarosław, stojący w otwartych drzwiach mieszkania numer jedenaście, wyglądał na szczerze zdziwionego.

– No ja. A często odwiedzają pana ludzie podający się za kogoś innego?

Gospodarz parsknął śmiechem i szerzej otworzył drzwi, wpuszczając mnie do środka.

Znalazłam się w niewielkim przedpokoju, z którego promieniście wiodło dalej pięcioro drzwi. Jarosław wskazał te naprzeciwko wejścia, za którymi znajdował się salon urządzonej w stylu skandynawskim. Mebli było tu jak na lekarstwo, ale z przyjemnością odnotowałam, że na każdej półce leżą bądź stoją książki.

– Nie miałem pojęcia, że pisarze odwiedzają czytelników w domach – oznajmił Jarosław z uśmiechem.

– Tylko ci najfajniejsi – odparłam, przyglądając się grzbietom książek. – Przywiozłam panu obiecany egzemplarz z autografem. – Pomachałam trzymanym w dłoni zawiniątkiem.

– Rety, ale będę miał co opowiadać! Napije się pani czegoś?

Bingo! Rybka połknęła haczyk, teraz tylko należało mądrze pokierować rozmową.

– Z wielką przyjemnością napiłabym się kawy. Jeśli to nie kłopot...

– Ależ żaden kłopot! – zapewnił mnie z żarliwością, jakbym była królową. – Proszę spocząć, a ja już szykuję.

Gospodarz zniknął, a po chwili usłyszałam kojący dźwięk młynka w ekspresie. Odłożyłam prezent na stolik i usiadłam w fotelu, intensywnie rozmyślając nad doborem pytań, które mogłyby pomóc mi w ustaleniu, gdzie mieszka córka Zofii, równocześnie nie alarmując faceta.

Tego dnia jednak fortuna musiała być mi wyjątkowo przychylna, bo problemy rozwiązywały się same.

– Słodzi pani? Mleka? – zapytał mężczyzna, wchodząc do salonu.

– Nie, nie, czarną poproszę, bez dodatków.

Gospodarz postawił przede mną filiżankę z intensywnie pachnącym napitkiem i usiadł na sąsiednim fotelu.

– Nie mogę uwierzyć, że przyjechała pani specjalnie po to, żeby dać mi książkę! – Obracał w dłoniach moją powieść, nie przestając się uśmiechać.

– Żeby nie miał mnie pan za kompletną wariatkę, to wyjaśniam: miałam sprawę do załatwienia niedaleko i gdy zobaczyłam pański adres, pomyślałam, że przecież szybciej będzie przywieźć panu tę książkę, niż ją wysłać, skoro i tak będę w okolicy.

– A gdyby nie zastała mnie pani w domu?

– Wtedy bym ją wysłała – odrzekłam, gratulując sobie w duchu, że zdążyłam wcześniej tę kwestię przemyśleć. – Ale nic mi nie szkodziło sprawdzić, prawda?

– Prawda, rzeczywiście. Cóż za niesamowity zbieg okoliczności!

O, żebyś ty wiedział, jak niesamowity!

– Powiem panu więcej – ściszyłam głos, zmuszając mego gospodarza do nachylenia się w moją stronę. – Tu chyba musiały zadziałać jakieś siły wyższe, bo okazuje się, że w tej samej klatce mieszka córka mojej znajomej, którą chciałam odwiedzić! Da pan wiarę?

– Tutaj? W mojej klatce? – Jarosław wytrzeszczył oczy.

Teraz zauważyłam, że były niemal złote, może nawet bursztynowe.

– W tej samej. Tylko tak się składa, że zupełnie nie pamiętam numeru mieszkania.

– A jak wygląda? – zapytał podekscytowany.

– No właśnie tego nie wiem, bo nigdy jej nie widziałam. Córkę znamy, nie znajomej. Wiem, jak się nazywa i że mieszka z narzeczonym.

– O matko, ja do nazwisk mam pamięć złotej rybki... Czasami własne przekręcę.

– Rozumiem, że nie kojarzy pan żadnej młodej sąsiadki? Takiej koło dwudziestki?

– Kojarzyć kojarzę, nawet kilka. Tu właściwie mieszkają sami młodzi ludzie, większość kupiła mieszkania w ostatnich latach. Można by pochodzić od drzwi do drzwi...

Ten pomysł przyszedł mi do głowy już wcześniej, ale skreśliłam go z dwóch powodów. Po pierwsze: ludzie teraz są w pracy. Po drugie: przy tylu nagłośnionych oszustwach i przestępstwach mogłoby to się skończyć eskortą policji. A tego na pewno bym nie chciała, zwłaszcza po ostatnich ekscesach.

Wydawało się, że utknęliśmy w martwym punkcie. Jarosław bardzo chciał mi pomóc, widać było, że czuł się odrobinę zobowiązany, niemniej niewiele mógł zrobić. Nie mogłam jednak tak po prostu zakończyć wizyty, więc wdaliśmy się w przyjemną pogawędkę na tematy niezobowiązujące, chociaż wciąż zahaczające o interesujące mnie kwestie.

– Wie pani, gdy kupowaliśmy to mieszkanie, niemal wszystkie pozostałe także były wystawione na sprzedaż – opowiadał Jarek. – Zdaje się, że kiedyś było tu osiedle pracownicze, zbudowane dla pracowników któregoś z zakładów, a potem po kolei lokale odkupowano za śmieszne pieniądze i wystawiano na sprzedaż po cenach rynkowych.

– Pewnie ma pan rację, to samo działo się we Wrocławiu – przytaknęłam. – Moja mama przejęła mieszkanie po babci, a właściwie po dziadku, który pracował dla Chemiteksu, i teraz jest warte małą fortunę. Moja siostra, która tam mieszka, nie zna sąsiadów, a ja pamiętam każdego, kto mieszkał tam, gdy byłam dzieckiem.

– No właśnie, takie dziwne czasy nastały – zgodził się ze mną. – Kiedyś sąsiedzi byli prawdziwą wspólnotą, każdy każdego znał. Ileż to razy któraś z sąsiadek pilnowała mnie, kiedy mama pracowała w nocy...

– O, co pan powie? Moja mama też pracowała w nocy, w szpitalu. I też pilnowała mnie czasem sąsiadka, do dzisiaj pamiętam, jak wymyślałyśmy razem bajki... – Na wspomnienie nieodżałowanej pani Haliny poczułam ukłucie wzruszenia.

– Moja mama była lekarzem, anestezjologiem. Dzięki niej poznałem swoją żonę.

– No proszę, a to ciekawostka. Żona też jest lekarką?

– Pielęgniarką anestezjologiczną – odparł z wyraźną dumą. – Za chwilę powinna się zjawić, bo właśnie skończyła dyżur.

– To może ja już pójdę, żeby pan nie miał nieprzyjemności – rzuciłam z troską.

– Ależ mowy nie ma, ona pęknie z radości! Kiedy jej powiedziałem, że poznałem prawdziwą pisarkę, było jej trochę przykro. Wie pani, moja żona to bardzo mądra kobieta. Oczytana, ciekawa świata, poliglotka. Szczęście miałem niebawem, że trafiła do zespołu mojej mamy. No i że wzięła sobie taką kulę u nogi jak ja.

Ręka, w której trzymałam filiżankę, zadrżała. Niebawem! Mężczyzna z samoświadomością i bez narcystycznych odpałów! Wielkie nieba, ten okaz należałoby zamknąć w skansenie!

– Na mój gust to pan raczej z tych słodkich ciężarów – oznajmiłam szczerze. – Dawno nie słyszałam, żeby jakikolwiek przedstawiciel płci brzydszej tak ładnie mówił o swojej lepszej połowie. I w dodatku tak przekonująco.

– To sama prawda, pani Małgosiu. Ze mnie był zwykły idiota, kiedy ona mnie wzięła w obroty. Wszystkiego mnie nauczyła, świat pokazała, zresocjalizowała. Wcześniej wołami nie można mnie było

odciągnąć od komputera. Bo, wie pani, ja jestem informatykiem. Systemy dla banków projektuję.

Skrzywiłam się w myślach na samo wyobrażenie, ale szybko przywołałam się do porządku. Każdy ma wady, a z dwojga złego lepsze to, niż gdyby miał być zdradziecką swoloczą uganiającą się za nastolatkami.

– Zaczyna profesja, przynajmniej pan nie musi się martwić o robotę – stwierdziłam. – Pana małżonka chyba też, więc jesteście w znakomitej sytuacji. Ze mną jest trochę gorzej, ale co poradzić.

Rozmowa płynęła nam jak spokojne wody Narwi, co chwilę odkrywaliśmy jakieś ciekawe podobieństwa między nami czy naszymi rodzinami, nie usłyszeliśmy nawet nadejścia Jarosławowej małżonki.

– Hop, hop! Już jestem! – rozległ się niemal dziewczęcy głosik w przedpokoju.

Usłyszałam kilka kroków i do salonu weszła niziutka, odrobinę pękata kobietka, której głowę zdobiła burza czarnych loczków. Jej okrągła, ale jednocześnie fascynująco piękna twarz wyrażała czystą radość.

– Niech mnie licho, pani Starosta?! – Wielkie czarne oczy kobiety powiększyły się jeszcze bardziej.

– Niezła niespodzianka, co, Anulko? – Jarosław podszedł do żony, objął ją z czułością i złożył soczystego całusa na jej czole.

– Uszczypnij mnie, Jaruś, bo nie uwierzę! – pisnęła. – Pisarka w naszym domu!

Muszę przyznać, że tego rodzaju reakcje zawsze mnie peszyły. Zupełnie nie potrafię zrozumieć, dlaczego ludzie traktują artystów jak jakieś bóstwa, podczas gdy to taka Anulka jest prawdziwą gwiazdą. To ona ratuje ludzkie życie, to ona czyni cuda. A ja? Ja jedynie opowiadam historie.

– Bardzo mi miło – wydusiłam z siebie skrępowana. – Nie zasługuję na takie powitania, jestem zwyczajną osobą.

Kobieta, ściskając moją wyciągniętą dłoń, zawołała ze śmiechem:

– Jasne, jasne! Niech pani nie będzie taka skromna, to zupełnie niepotrzebne. Jaruś myślał, że mnie zaskoczy, kiedy opowiadał o spotkaniu z panią, a ja przecież wszystkie pani książki pochłonęłam i czekam na kolejne!

Zrobiło mi się jeszcze bardziej głupio i szalenie miło zarazem. Musiałam mocno się zaczerwienić, na szczęście moi gospodarze pominęli to taktownym milczeniem.

– Czy ja także mogę dostać kawę, kochany? – zwróciła się do męża Anna, zauważywszy moją filiżankę. – Wie pani, po nocnym dyżurze rzadko kiedy od razu kładę się spać. Zwykle pijemy z Jarkiem kawę, jemy śniadanie, a potem zasypiam w trakcie oglądania serialu – zachichotała jak mała dziewczynka. – Ale nigdy po nocce nie biorę się za książkę, bo jak się wciągnę, to już kaplica.

Cóż za sympatyczna istotka! – myślałam oczarowana. Z przyjemnością słuchałam jej radosnego trajkotu. Dawno już nie spotkałam tak entuzjastycznej i pełnej wewnętrznej radości osoby.

– Pod blokiem stoi obcy samochód, a w nim siedzi jakiś facio – oznajmiła nagle. – To pani towarzysz?

O cholewka, zupełnie zapomniałam o panu Bogumile!

Spojrzałam na zegarek – moja wizyta trwała już niemal godzinę, a ten biedak pewnie gotował się w blaszanej puszcze...

– Tak, to mój znajomy, podwiózł mnie do państwa – wyznałam odrobinę zawstydzona. – Nie zdawałam sobie sprawy, że jestem tu tak długo.

– Niech pani go zawoła, pewnie usycha z pragnienia – poleciła Anna.

Medyk może wyjść z pracy, ale medycyna z niego nigdy nie wyjdzie.

– Ja pójdę – rzucił Jarosław, stawiając kawę dla żony na stoliku. – Przy okazji wyrzucę śmieci.

Po wyjściu męża Anna wypytała mnie o powód mojej wizyty, uzyskując identyczne informacje jak Jarosław. Przez chwilę rozmawialiśmy o literaturze, płynnie przechodząc do okoliczności mojego spotkania z Jarkiem.

– Ja to się nawet cieszę, że nie pojechałam na tę wycieczkę, pani Gosiu – zaskoczyła mnie wyznaniem. – Siostra Jarka przyjechała z rodziną w odwiedziny do teściów, a ja jakoś nie przepadam za ich

towarzystwem. Wpadłam więc na szatański plan, żeby wybrali się do skansenu. Przynajmniej nie musiałam znosić irytującej chrześnicy mojego męża.

– Chuda, pyskata i pod opieką ortodonta? – domyśliłam się.

– Dokładnie ta. Straszne dziewuszysko, rozpuszczone jak dziadowski bicz. Pewnie nie potrafiła się zachować?

– Raz czy dwa pani Jola ją upomniwała, ale chyba nie było najgorzej.

– Jaruś mówił, że pani też jest przewodniczką – przypomniała sobie Anna.

– Oj, nie, nie – zaoponowałam. – Kiedyś planowałam zatrudnić się w jakimś muzeum, ale szybko mi przeszło. Wie pani, ludzie mnie denerwują.

Anna roześmiała się perliście, zagłuszając dźwięk otwieranych drzwi. Chwilę później usłyszałam męskie głosy.

– Już jesteśmy! – zaanonsował Jarek. – Pan Bogumił to niezwykle cierpliwy człowiek. Ani myślał się skarżyć.

Lisik, odrobinę speszony, wszedł do salonu, przedstawił się gospodyni i usiadł na kanapie stojącej obok foteli. Po chwili dołączył do nas Jarek, który przyniósł dzbanek wody z lodem i cztery wysokie szklanki.

– Kto by się spodziewał takiego poranka? – rzucił wesoło. – A właśnie, Anulko, pani Małgosia pytała o jedną naszą sąsiadkę, ale ja nie bardzo kojarzę.

– Zdziwiłabym się, gdybyś kojarzył – zażartowała małżonka. – Dobrze, że pamiętasz, jak ja wyglądam. O kogo chodzi, pani Gosiu?

Poczułam na sobie pełne obaw spojrzenie Bogumiła, ale uspokoiłam go ledwo zauważalnym skinieniem głowy.

– Podobno mieszka w tej klatce córka mojej znajomej, nazywa się Wilkońska, jeśli to w czymkolwiek może pomóc.

– Niestety, to nazwisko niewiele mi mówi – odparła z wyraźnym żalem urocza kuleczka. – A jak jej na imię?

O jasny gwint, to doskonale pytanie... Nigdy nie byłam w tak familiarnych stosunkach z dyrektorką skansenu, żeby pamiętać imiona jej córek.

– Pojęcia nie mam – wyznałam. – Znając panią Zofię, mogła ją nazwać Zulejką, Dobrosławą albo Mściślawą...

– A może Miłka? – podchwyciła Anna, a jej oczy błyszczały jak niebo w bezchmurną noc. – Żadnej Dobrosławy tu nie ma, ale jest Miła. Mieszka piętro wyżej.

– Z narzeczonym? – zapytałam, a serce omal podskoczyło mi do gardła.

– Na pewno z jakimś młodzieńcem – potwierdziła moja gospodyni.

– O jeżu w jeżynach, czuję w ganglionie, że to właściwy trop! – rzuciłam podekscytowana w stronę Bogumiła, który opróżnił już drugą szklankę wody i w odpowiedzi jedynie uniósł kciuk. – Musimy tam iść, zaraz, natychmiast!

– Oj, pani Gosiu, ale z tym to będzie kłopot... – Na twarzy Anny pojawił się smutek. – Miłka kilka dni temu wyjechała na wakacje.

Jęk zawodu, jaki nieświadomie z siebie wydałam, musiał brzmieć naprawdę żałośnie, bo Anna zaczęła głaskać mnie po ręce.

– Tak mi przykro... – mówiła. – Możemy się umówić, że gdy tylko wróci, natychmiast panią poinformuję.

Mimo wielkiego rozczarowania przyjąłam propozycję z wdzięcznością – może dziewczyna wyjechała tylko na tydzień i lada chwila wróci. Posiedzieliśmy jeszcze kilka minut, rozmawiając o różnych rzeczach, a tematem, który wybitnie zainteresował Jarka, był bursztyn.

– Wie pan – mówił do Bogumiła – kiedy moja mama dostała ofertę pracy w Łomży, ja byłem zaledwie dzieciakiem. Nie miałem pojęcia, dokąd jedziemy, właściwie wtedy było mi to obojętne do tego stopnia, że zupełnie ignorowałem zarówno historię tego regionu, jak i wszystko, co się z nią wiąże. Dopiero Ania uświadomiła mi, jaka tu jest bogata kultura.

– Biedny Jaruś. – Żona posłała mu całusa. – Nie bez kozery informatyków uznaje się za oderwanych od rzeczywistości. Kiedy pierwszy raz mu powiedziałam, że mój pradziadek był wyborowym strzelcem odznaczonym za zasługi w walkach z Niemcami, patrzył na mnie, jak gdybym oznajmiła, że pochodzę z obcej planety.

Obserwowanie tych dwojga, jakże różnych, a jednocześnie zgodnych ludzi, sprawiało mi prawdziwą przyjemność i wlewało świeżą wiarę w ludzi w moją cyniczną duszę. Może jednak nie wszystko jeszcze stracone i dobre plony uratują cywilizację.

Kiedy pan Lisik zaczął wyglądać na wystarczająco nawodnionego, podziękowaliśmy za gościnę i wyruszyliśmy w dalszą drogę. Zostawiłam numer telefonu, na wypadek gdyby niebawem Miłka wróciła z wojaży, i udaliśmy się do samochodu. W nagrzanym wnętrzu spociałam się niemal natychmiast, na szczęście był to model auta wyposażony w klimatyzację i po kilku minutach zrobiło się znośnie. Dopiero w okolicy znajomych już drzew poczułam przyspieszone bicie serca. Wizyta u Jarka była spacerkiem – teraz czekała nas prawdziwa przeprawa.

Do zabudowań i działek dojechaliśmy pełną dróżką, niewidoczną z szosy. Otaczały nas domki jednorodzinne, bliźniaki i dopiero powstające konstrukcje. Mniej więcej na końcu szutrowej drożynki znajdowała się ogromna działka, którą rozpoznałam natychmiast – na jej środku stał budynek, jedyny w okolicy, z całą pewnością przeznaczony do innych celów niż mieszkalne. Na dachu nie było paneli fotowoltaicznych, a teren dookoła wyglądał jak skład budowlany – z wyjątkiem miejsca, w którym na własne oczy widziałam zakopywanie tajemniczego pakunku.

Bogumił zaparkował samochód w cieniu rozłożystego drzewa, kilkadziesiąt metrów od interesującej nas działki. Zanotowałam w pamięci, że pierwsze domy znajdowały się od niej w znacznym oddaleniu, choć zabudowa wzdłuż uliczki wyglądała na dość ciasną, a sąsiedzi mogli pozdrawiać się z okien.

– Gotowa? – zapytał mój współnik w zbrodni.

– Bardziej nie będę – mruknęłam. – Módlmy się do wszystkich sił sprawczych, żebyśmy wyszli z tego cało.

Mimo że Lisik starał się trzymać fason i grał nieustraszonego, zauważyłam, że z trudem przełknął ślinę, a dłonie zacisnął w pięści. Miałam jedynie nadzieję, że moje podejrzenia okażą się głupią pomyłką, z której lada chwila będziemy mogli się śmiać.

ROZDZIAŁ 25

Tradycyjna kuchnia kurpiowska jest prosta, bazuje na produktach, które dawały lasy i niezbyt żyzne, piaszczyste gleby. Ważną rolę odgrywały miód, dziczyzna, a także ziemniaki, kasze (zwłaszcza gryka), kapusta, buraki. Nie jest to kuchnia wyszukana, nie jest też lekkostrawna, bo ciężko pracujący Kurpie musieli dostarczyć sobie solidną dawkę energii płynącą z posiłku.

Poruszaliśmy się krokiem spacerowym, jak ciekawscy turyści albo ludzie rozpatrujący kupienie działki w okolicy – głównie po to, by nie wzbudzać zbędnego zainteresowania mieszkańców. Ostrożność okazała się jednak zbędna, nikogo bowiem nie było na zewnątrz, a wszystkie domy wydawały się wymarłe. Nic w tym zresztą dziwnego – ludzie o tej porze zwykle pracują, a poza tym trwał sezon urlopowy.

Oddalona od reszty posesji działka była zdecydowanie największa. Teren został ogrodzony solidną i wysoką na ponad dwa metry siatką, a na bramie wjazdowej wisiała tabliczka informująca o zakazie wstępu dla osób postronnych. Nigdzie jednak nie dostrzegłam informacji, co mieści się w budynku, który z bliska wydał się jeszcze większy. Jego konstrukcja sugerowała, że został wzniesiony z przeznaczeniem na cele przemysłowe – być może planowano tam otworzyć zakład produkcyjny albo niewielką fabrykę.

– Dziwne – mruknął Bogumił. – O tej porze ktoś już powinien tu być, a nie dość, że nikogo nie widać, to nie ma ani jednego samochodu.

Rzeczywiście, ani wewnątrz, ani na zewnątrz posesji nie było żadnego pojazdu. Wyglądało na to, że budynek stoi pusty.

Obeszliśmy teren dookoła, wzdłuż siatki, wypatrując otwartego okna czy innego śladu obecności człowieka. Nic, wszystko zamknięte na głucho. Znalazł się na wysokości miejsca, w którym dokonywano na moich oczach zakopków, pociągnęłam Bogumiła za łokieć.

– To tutaj – syknęłam, wskazując ręką nieco naruszony fragment ziemi.

Lisik przyłożył twarz do siatki i przyglądał się z uwagą nierównej nawierzchni.

– W sumie może to być wszystko – ocenił po chwili. – Może szukali ujęcia wody albo sprawdzali, czy nie ma tam jakichś starożytnych grobów?

– Dwa metry pod ziemią? – zapytał. – Z całym szacunkiem, ale ślady kultury neolitycznej byłyby dużo głębiej. A do ujęcia wody potrzebowaliby hydrologów. Mówię panu, to jest podejrzane.

– Ja się z panią zgadzam – odparł Bogumił – ale biorę pod uwagę także mniej sensacyjne scenariusze...

– Tak czy owak, niczego nie wywnioskujemy z samego patrzenia – ucięłam. – Ten dół trzeba sprawdzić i dopiero wtedy będziemy wiedzieli, kto ma rację. Ja wiem, co widziałam, ale nie mam pewności, czy wyciągnęłam właściwe wnioski.

Lisik zamarł na moment, po czym spojrział na mnie z wyraźnym przestraszaniem.

– Czy ja dobrze rozumiem to, co pani sugeruje?

– Jeśli rozumie pan, że musimy tam wejść i zajrzeć do zakopka, to bardzo dobrze.

– Nie możemy tego zrobić! – jęknął, łapiąc się za głowę. – Przecież tu wszystko widać jak na dłoni. Ktoś nas zauważy i wezwie policję.

– Dlatego musimy to zrobić wtedy, gdy nikt nas nie będzie widział – oznajmiłam ze stoickim spokojem. – Wrócimy w nocy, rozkopujemy, obfotografujemy, i tyle. Jeśli dokonano tu zbrodni, to naszym obowiązkiem jest poinformować o tym stróżów prawa.

– To może ja po prostu zadzwonię i niech oni odwalają robotę z szukaniem trupa?

– A jeśli się okaże, że to jednak nie trup, tylko na przykład prezenty dla dzieci na Boże Narodzenie? Wie pan, jakie będzie pan miał nieprzyjemności? I właściciel wytoczy panu proces cywilny, dopiero zacznie się

polka.

Bogumił Lisik z całą pewnością nie miał w życiorysie zbyt wielu kontaktów z organami ścigania, czemu zresztą trudno się dziwić. Żaden normalny i praworządny obywatel nie pcha się policji na widelec, nie zwraca na siebie uwagi, a kiedy już musi, zawsze okupuje takie spotkanie wielkim stresem. Nie mogłam więc oczekiwać, że mój współnik podejdzie do sprawy z właściwą mi nonszalancją.

– W porządku, rozumiem pana obawy – rzuciłam. – Zrobimy tak: pan mnie tu przywiezie i zostanie w samochodzie, a ja sama zajmę się grzebaniem w ziemi. W razie draki będzie pan zeznawał prawdę: nie miał pan nic wspólnego z przestępczą działalnością.

– A pani się nie boi? – W jego głosie podziw mieszał się z niesmakiem. Najwyraźniej zaczynał patrzeć na mnie nieco inaczej.

– Jedyne, czego się boję, to tego, że bandziorasy bezkarnie mordują ludzi i użyźniają nimi glebę.

Mężczyzna zacisnął usta i milczał przez chwilę, która wydała mi się wyjątkowo długa. W końcu podjął decyzję.

– Ma pani rację. Jeśli tu się odbywa proceder przestępczy, to nie ma co tchórzyć, trzeba działać. Wracamy w nocy.

Uśmiechnęłam się do niego porozumiewawczo i po raz ostatni omiotłam wzrokiem teren. Nie przewidywałam trudności w dostaniu się przez ogrodzenie, a ziemia w interesującym mnie miejscu nie była ubita. To będzie prosta robota.

Ruszyliśmy z powrotem do samochodu, ponownie się nie śpiesząc, kiedy zadzwonił mój telefon. Na wyświetlaczu szczerzyła się do mnie Basia.

– Dzień dobry, słoneczko – przywitałam ją wesoło. – Czyżbyś dzwoniła z meldunkiem?

Bogumił wskazał na migi na sporej wielkości kamień leżący przy drodze, w cieniu rozłożystego drzewa. Uniosłam kciuk w górę, uznając pomysł za pierwszorzędnny – nigdy nie lubiłam rozmawiać przez telefon, chodząc, o ile nie miałam przy sobie słuchawek. A tym razem akurat nie miałam.

– Tak jest, szefowo, będę meldować – oznajmiła Barbs. – Odwiedziłam przystojnego komisarza, wyznałam mu wszystko jak na spowiedzi i podjęłam próbę wyciągnięcia z niego informacji.

– Puścił parę? – ucieszyłam się.

– A gdzie tam, milczał jak zakłęty.

– No to klops...

– A coś ty taka negatywnie nastawiona, Goniu? Ty mnie chyba nie doceniasz, jak możesz taki afront wobec własnej przyjaciółki... – Cmoknęła głośno i zgadłam, że kręciła przy tym głową. – Ja tu głową kręcę z zawodu, kicia, dla twojej wiadomości.

– Och, wybacz mi, moja cudowna Barbarello, jakże mogłam okazać taki brak zaufania. – Przewróciłam oczami, czując na sobie zdumione spojrzenie Lisika.

– Bardzo słusznie, kajak się. Otóż pan komisarz Bączyński pary z gęby nie puścił, ale ja mam swoje metody dokopywania się do prawdy. Zaproponowałam mu, że będę zgadywać, a jak zgadnę, to ma mrugnąć. Początkowo nie chciał się zgodzić, ale obiecałam mu, że jeśli weźmie udział w tym eksperymencie, to ja zobowiążę się do nieudzielenia azylu Zmarzlakowi, gdyby znowu pojawił się pod moimi drzwiami – wypaliła Barbs.

Wyobrazivszy sobie scenę, w której Barbara z Bączyńskim grają w zgaduj-zgadulę polegającą na mruganiu, sama zaczęłam mrugać z taką intensywnością, że oczy zaszyły mi łzami. Ponadto z wrażenia nie byłam w stanie wydusić z siebie ani słowa.

– Jesteś? – upewniła się moja przyjaciółka. – Słyszę, że sapiesz, czyli jesteś. No więc tak: Bączek, tfu!, Bączyński potwierdził, że Zmarzlak vel Trup jest obiektem zainteresowania sporej części krajowej policji. Wykonypowałam z tego, że szuka go CBŚ. Nie wiem, jaki związek z cebeesiami ma komisarz, ale to jakby jest irrelewantne. – Basia zrobiła przerwę i głośno przelknęła.

Najwyraźniej musiała coś popijać. Miałam jedynie nadzieję, że nie był to napój alkoholowy, bo do południa wciąż pozostawało kilka godzin.

– W kwestii grupy przestępczej i kolejowego zewłoka mam niemal stuprocentową pewność, że to zupełnie niezwiązane ze sobą sprawy – podjęła moja przyjaciółka. – Ten na torach został odstrzelony przez Pruszków.

– No to przynajmniej jedno z głowy – odparłam z ulgą. – Nie kryłaś mordercy.

– Niemniej wciąż nie wiemy, co ta łajza robiła, kiedy go nie było. No i dlaczego nagle ściągają go gliny, skoro do tej pory raczej go chronili.

– Czytałam kiedyś artykuł o świadkach koronnych i informatorach – przypomniałam sobie – z którego wynikało, że jeśli taki uchol dopuści się ciężkiego przestępstwa, na przykład morderstwa albo napadu z bronią, to już mu święty Boże nie pomoże.

– Czyli nie możemy wykluczyć, że kogoś kropnął – podsumowała Basia. – No i jeszcze jedną informację wyciągnęłam z Bączyńskiego – pochwaliła się. – Zapytałam go o tę dziwną sprawę z panią Zofią.

– O! – rzuciłam podekscytowana. – I co?

– Ani mrugnął, ani nie mrugnął, za to uraczył mnie kazaniem o tym, że nie należy szukać problemu tam, gdzie go nie ma.

– No świetnie... – wycodziłam ze złością. – Dla niego to, że problemu nie ma, nie stanowi problemu? Zniknął, wyparował, rozpuścił się w niebycie?

– A dlaczego ty na mnie krzyczysz, kicia? – oburzyła się Barbs. – Ja mam serce na właściwym miejscu i cały czas jestem po twojej stronie. Proszę nie strzelać do posłańca. Na mój gust Bączek bardzo dobrze wie, że pani Zofia zaginęła, ale dla dobra sprawy ucina łeb hydrze.

Ta konstatacja pokrywała się z moimi przecuciami. Nie było innego wyjaśnienia, a kuriozalna reakcja łomżyńskich stróżów prawa jedynie potwierdzała nasze przypuszczenia.

– Wiesz, co ja myślę? – odezwałam się poważnym tonem. – Ja myślę, że ktoś Zofię porwał, a policja robi wszystko, żeby sprawa nie wyciekła.

– Dla okupu? – Basia rozważała moje słowa, co poznałam po rzadkim u niej skupieniu w głosie. – I sądzisz, że córki współdziałają z glinami?

– Zaczynam skłaniać się ku tej myśli. To by wyjaśniało, dlaczego Miłka pojechała „na wakacje”.

– Kto?

Musiałam streścić jej ustalenia poranka, po czym Basia zasypała mnie gradem pytań, na które odpowiadałam z coraz mniejszą cierpliwością.

– Tak, naturalnie kręcone loki, jak Milena Wójtowicz. Nie, nie zamierzam czatować na Miłkę pod blokiem, Anna obiecała zadzwonić. Tak, pan Bogumił cierpliwie wysłuchuje naszej rozmowy. Nie, jeszcze nie podjęłam decyzji o rozwodzie. Oczywiście, przywiozę ci coś z bursztyńkiem...

Kiedy w końcu się rozłączyłam, mój współnik wyglądał, jakby przejechano go walcem.

– Wy tak zawsze? – zapytał z zażenowaniem w oczach.

– Niezmiennie od dwudziestu pięciu lat – odparłam ze spokojem. – Można się przyzwyczaić, wie pan? Mój mążzonek nauczył się wyłączać przy nas słuch, a córka właściwie dość często włącza się do naszych rozmów.

– Podziwiam... – mruknął, kręcąc głową. – To ja teraz poproszę skrót tych informacji.

Mówić do człowieka mogłam, chodząc, więc wznowiliśmy spacer w kierunku samochodu. Mijając ostatni w szeregu dom, kątem oka zauważyłam przed nim ruch.

– Dzień dobry. – Ukłoniłam się grzecznie starowince, która siadała na ławeczce w cieniu.

– Dobry, dobry – odrzekła. – Dla mnie podoba się. A łony co tu śperajo²⁶, a?

– Rozglądamy się tylko – odrzekł miękko Bogumił.

– Ślajajo się – przetłumaczyła na swoje babuleńka. – A ładyć²⁷ załsnena²⁸, jek tamój ślęcyły²⁹.

- Że my? Nie, babciu, my tak tylko zwiedzamy - usiłował ją zbyć bursztyniarz. - Wie babcia, kto tam mieszka?

- Ano nicht - odrzekła babuleńka. - Tam ino bajzel.

Już miałam na końcu języka pytanie, czy „bajzel” znaczy bałagan, czy może także nieco mniej cenzuralne słowo określające dom uciech, kiedy drzwi domu otworzyły się ze skrzypieniem i z wnętrza wyszedł mężczyzna, mniej więcej czterdziestoletni.

- A babcia znowu ludzi zaczepia? - zrugął staruszkę. - Tyle razy mówiłem, że nie wolno! Przepraszam państwa, babcia już wiekowa, pewnie wzięła państwa za jakichś starych znajomych.

- Nie, nie, nie ma za co przepraszać - zaproponował Bogumił. - Czujne babcine oko poznało w nas obcych, bystra z niej obserwatorka.

- Jak na swoje sto i sześć lat całkiem niezłe się trzyma - przyznał z nieukrywaną dumą nieznajomy. - Państwo może czegoś szukają?

- Niczego szczególnego - zełgałam z uśmiechem. - Zatrzymaliśmy się, bo tu krajobraz taki dla oka miły...

- Miły to już tylko czas³⁰ nie było w domu - mruknęła ni w pięć, ni w dziewięć babuleńka.

- Babciu, Miła już tu nie mieszka, znów babcia zapomniała?

Staruszka spojrzała na wnuka nieprzytomnie, po czym pokiwała głową.

- Sami państwo widzą: loteria - odezwał się do nas, rozkładając ręce. - Raz wymieni wszystkich dowódców batalionów strzeleckich, raz nie pamięta, kim ja jestem. Starość nie radość...

Bogumił kurtuazyjnie odpowiedział coś o młodości, a ja wpatrywałam się w staruszkę, jakbym doznała boskiego objawienia. Czyżby właśnie siła wyższa zesłała nam niespodziewaną pomoc?

- Przepraszam - rzuciłam do nieznajomego. - A ta Miła, o której babcia wspomniała, to przypadkiem nie jest Miła Wilkońska, córka pani Zofii Wilkońskiej?

- Ta sama - odparł zdumiony facet. - Państwo znają Miłę?

- Panią Zofię znamy, ja jestem etnografką - odparłam, czując, jak po brzuchu latają mi stada egzotycznych motyli. - Czy to znaczy, że pani Zofia tu mieszka?

- Ona i jej starsza córka, Marysia, kawałek stąd. W tym domu, tuż pod lasem. - Wyciągnął rękę i wskazał w kierunku podejrzanej działki.

Dopiero gdy dobrze się przyjrzałam, zauważyłam, że kilkaset metrów dalej rzeczywiście stało pojedyncze domostwo.

- Da się tam dojechać? - Bogumił też zrozumiał sensacyjność zdobytej informacji.

- Trzeba wrócić do głównej drogi, skręcić w prawo i potem jeszcze raz w prawo, tak jak będzie szła szosa - poinformował nas mężczyzna.

Z trudem udało mi się powstrzymać radosne piski, które wyrwały mi się z gardła. Pożegnaliśmy się z uprzejmymi źródłami wiedzy i pobiegliśmy do samochodu niemal sprintem. Serce mi kołatało na samą myśl, że być może za chwilę wreszcie uda mi się odkryć skrawek tajemnicy.

ROZDZIAŁ 26

Największy okaz bursztynu bałtyckiego znaleziony w Polsce waży prawie 10 kilogramów. Odnaleziono go w 1860 roku w okolicach Kamienia Pomorskiego.

Dom, choć raczej należałoby powiedzieć: domek, położony był w urokliwym miejscu, tuż pod lasem. Wystarczyło wyjść za płot i człowiek znajdował się w pachnącym żywicą borze. Wąska asfaltowa dróżka doprowadziła nas niemal pod samą bramę, która niegdyś musiała być soczyście zielona, lecz teraz pożerała ją rdza. Na frontowej ścianie domu ujrzelśmy ganeczek ozdobiony pięknym daszkiem zwieńczonym sparogami. Okiennice w kolorze błękitnego nieba sprawiały, że chałupka wyglądała jak z bajki. I podobnie jak w bajkach, stała pusta. Okna były zamknięte, za nimi zasunięte kotary, a z wnętrza nie dochodził żaden dźwięk.

– Nikogo nie ma – zawyrokował Bogumił.

– Na to wygląda – odparłam. – Co robimy?

Bursztynn timer wzruszył ramionami.

– Chyba niewiele możemy zrobić. Przecież się nie włamiemy.

Nie było to wcale takie oczywiste, zamek w drzwiach nie należał do szczególnie skomplikowanych, pewnie zwykły drut sprawdziłby się w roli wytrycha. Jednakże na wypadek gdyby ktoś – policja lub zbiry – obserwował chatkę, wolałam nie ryzykować.

Obeszłam domek dookoła, sprawdzając każde okno, lecz były szczelnie pozamykane. Zaraz...

– Panie Bogumile, widzi pan ten lufcik? – Wskazałam ręką na niewielkie okno na poddaszu. – Zdaje mi się, że ono jest niedomknięte.

Lisik cofnął się nieco i zadarł głowę. Zastaniając dłonią oczy przed słońcem, przyglądał się dachowi.

– Hmm, może pani mieć rację – uznał w końcu. – Tylko co nam to daje?

– To nam daje, że gdy uda mi się dostać na daszek, otworzę je i wejdę do środka. Zero śladów włamania.

– A jak chce się pani dostać na daszek?

To faktycznie mogło być kłopotliwe, ale tylko wówczas, kiedy nie udało się nam zdobyć drabiny. A ja miałam plan na jej zdobycie.

– Skoro i tak musimy wrócić wieczorem – wyjaśniłam – to pożyczymy drabinę ze skansenu. Najpierw przyjedziemy tutaj, zajrzemy do środka, a później zbadamy miejsce, w którym ten gość coś zakopał.

– Pani, zdaje się, zupełnie nie obawia się wpadki?

– Najwyżej dostanę zawiasy – odparłam niewzruszona. – I tak nie zamierzam pracować w instytucjach państwowych, więc świadectwo niekaralności jest mi potrzebne jak świni siodło.

Bogumił wcale nie wyglądał na przekonanego ani – co aż nazbyt widać było na jego twarzy – uspokojonego. W przeciwieństwie do mnie jemu wyrok zdecydowanie mógł zaszkodzić.

– Niech się pan nie denerwuje, pan będzie tylko trzymał drabinę, a ja odwalę całą resztę.

Mój wspólnik musiał znajdować się w chwilowym niedowładzie umysłowym, co stwierdzam po czasie, przysłał bowiem i na to. Kierująca mną potrzeba odgadnięcia, co się stało z dyrektorką muzeum, zupełnie mnie zaślepiła. Poczucie odpowiedzialności, rozsądek i etyka schowały się w najciemniejszych zakamarkach mojego umysłu, pozwalając przejąć kontrolę szalonej *idée fixe*.

Mimo braku spektakularnych sukcesów odkrycia tego dnia zdawały się zbliżać nas do celu. Małymi krokami, niekiedy wręcz mikroskopijnymi, ale cały czas do przodu.

– Jak nazywa się ta wieś? – zapytałam, gdy ruszyliśmy z powrotem do Nowogrodu.

– Stare Kupiski – odpowiedział po chwili zastanowienia.

Czy to mi się z czymś nie kojarzyło?

– Chyba gdzieś słyszałam tę nazwę – stwierdziłam, usiłując wygrzebać ją z pamięci. – Coś tu się wydarzyło ciekawego?

– Nie kojarzę. Poza lasami i starą przepompownią nic tu nie było interesującego. Jak większość tych terenów w czasie wojny wieś znajdowała się pod okupacją sowiecką, później hitlerowską.

– Dlaczego więc ta nazwa wydaje mi się znajoma?

Mój kierowca wzruszył ramionami.

– Kiedyś mi się przypomni – skapitulowałam. – Czyli jesteśmy umówieni? Bierzymy drabinę, wracamy po zmroku i rozwiązujemy zagadki?

– Muszę to jeszcze w sobie przetrawić – odparł szczerze Bogumił.

– Spokojnie, do zachodu słońca mamy co najmniej dziesięć godzin, zdąży pan.

Zajechaliśmy pod skansen, gdzie od razu poczułam ukłucie niepokoju. Nie potrafiłam tego nazwać, być może był to przebłysk intuicji, może szept sił nadprzyrodzonych, w każdym razie wszystkie nerwy napięły mi się jak postronki, a przez ciało przeszedł dreszcz.

– Coś tu się wydarzyło – oznajmiłam grobowym tonem. – Nie mam pojęcia co, ale mój nieomylny Starostowy „czuk” podpowiada, że czeka nas niespodzianka.

Bogumił Lisik musiał być człowiekiem całkowicie nieprzesądnym, polegającym na szkiełku i oku, choć z niezrozumiałych przyczyn ufał mi bezgranicznie i zgadzał się na wszystkie idiotyczne plany. Tym razem jednak spojrzął na mnie jak na wariatkę.

– Chyba zaczyna panią ponosić wyobraźnia – zasugerował.

– Może...

Wyszliśmy z samochodu i skierowaliśmy się prosto do dworku, a tuż po przekroczeniu progu sieni moje przeczucia okazały się prorocze.

– *Nein, nein, nein! Ich verlange eine Erklärung!*³¹ – Tubalny baryton rozlegał się echem.

– A skąd ja ci wezmę wyjaśnienia, ośle?! – darła się Jolinka. – Czy ja wyglądam na wróżkę?!

– *Was für eine Fee wieder?*³² – zdumiał się męski głos, w którym domyśliłam się sławetnego Helmuta pani Zofii.

– Oni tak już od kwadransa – poinformowała mnie scenicznym szeptem kasjerka. – Niech pani coś zrobi, Małgosiu, bo to się nigdy nie skończy...

Wymieniliśmy spojrzenia z Bogumiłem i ruszyliśmy na odsiecz. Obecność mężczyzny u boku dodawała mi odwagi.

Co tu się wyprawia? – ryknęłam od progu, licząc na to, że element zaskoczenia zadziała na korzyść Joli. – Dlaczego państwo się awanturują w publicznej instytucji kulturalnej?

– *Wer ist sie?*³³ – Helmut zastygł w dziwacznej pozie przypominającej drzewo z dwiema rozcapierzonymi gałęziami.

Mogłam przy okazji mu się przyjrzeć, co uczyniłam z beczelną skrupulatnością. Na podstawie opisu przekazanego mi przez panią Jolinkę wyobrażałam go sobie jako otyłego trolla z kwadratową głową, nalaną twarzą i wielkim nosem, nad którym tkwiły głęboko osadzone niebieskie oczy. Tymczasem stojący przede mną mężczyzna wyglądał jak elegancki džentelmen: był szczupły, dość wysoki, miał ciemne włosy, niemal czarne oczy i wyjątkowo ładnie wykrojoną zuchwę. Mógł liczyć zarówno pięćdziesiąt, jak i siedemdziesiąt lat, ale bez wątpliwości zaliczał się do przystojnych.

– Pan Helmut, jak mniemam? – rzuciłam z niezmaconym spokojem. – Miło mi wreszcie pana poznać. Sądziłam, że nie zna pan polskiego.

– Bo to jest oszukańcza świnią – syknęła Jolanta. – Ja się gimnastykowałam, żeby swolocz jedna coś wyniosła z tych wycieczek, a on wszystko w ludzkiej mowie rozumie!

– Helmut? – Mężczyzna ją zignorował. – *Nein, nein!* Philipp! – Gorączkowo stukał dłonią w pierś.

– Ach, czyli pan Philipp, znakomicie – odrzekłam z uśmiechem. – Ja jestem Małgorzata. Skoro pan rozumie ludzką mowę, to może porozmawiamy jak ludzie. Bez krzyków.

– Malgo... Malgo... – dukał Philipp, łamiąc język na moim imieniu. – Margarete?

– Może być. Chociaż wolę „Gosia”. A teraz łaskawie niech pan powie, o co chodzi.

Dalsza część rozmowy przebiegła mniej ekscytująco, przynajmniej do czasu, gdy Philipp oznajmił nam – a trochę to zajęło, ponieważ jego wypowiedzi musiała tłumaczyć Jola – że jego zdaniem Zofii Wilkońskiej coś się przydarzyło, a polskie organy ścigania uparcie ignorują jego zgłoszenia. Ostatnie zaś zawiadomienie organów ścigania przypieczętował dwudziestoczerogodzinnym aresztem, który był karą za wszczęcie awantury w komendzie policji.

– Próbowałem skontaktować się z córkami Zofii – tłumaczyła jego słowa Jolinka – ale żaden telefon nie działa, żadna nie pokazała się w domu od kilku dni i nikt nie wie, gdzie mogą się znajdować.

– Był pan w domu Zofii? – zapytałam, choć znałam odpowiedź.

– Oczywiście! Przyjeżdżam tam każdego dnia, podlewam kwiaty i liczę na to, że się zjawi. Gdzie ona może być?!

To pytanie zadawaliśmy sobie wszyscy, choć ja i Bogumił mieliśmy już pewne podejrzenia. Wolałam jednak nie dzielić się nimi, przynajmniej do czasu, aż zajrzę do każdej szafy w chatce pod lasem.

– Miłka wyjechała na wakacje – oznajmiłam.

– Niemożliwe! – zaoponował Philipp. – Nie mogła nigdzie pojechać, nie miała dokumentu!

– A skąd ty masz taką wiedzę o dokumentach Miły, co? – zapytała zirytowana Jola.

Mężczyzna oblał się rumieńcem, ale szybko powrócił mu rezon.

– My są przujażni – wydukał po polsku. – My się pobieranie. Ja i Zofija.

– Ta, jasne! – prychnęła Jolanta. – A poza tym wszyscy zdrowi? Patrzcie go, Tristan się znalazł, tylko Izolda mu się zgubiła!

Coś w wyrazie twarzy Niemca kazało mi uwierzyć, że mówił prawdę. On faktycznie szukał Zośki, ryzykując nawet aresztem. Co tu się, do cholery jasnej, wyprawiało?!

Odwrociłam się do Lisika, który wciąż stał w progu, i zadałam mu wzrokiem pytanie. Odpowiedział po bułgarsku, na zmianę kręcąc i kiwając głową, co uznałam za zgodę.

– Słuchajcie – zaczęłam, wodząc wzrokiem od Philippa do Joli. – Możliwe, że na coś wpadliśmy z panem Bogumiłem. Możliwe, że rzeczywiście coś tu jest na rzeczy, a zniknięcie wszystkich pań Wilkońskich jest co najmniej podejrzane. Mamy plan, więc musicie nam zaufać. I pożyczyć drabinę.

Bogumił odchrząknął znacząco, jednak postanowiłam go zignorować. Chrząknął jeszcze raz, nieco głośniej.

– O co chodzi? – zdenerwowałam się.

– Czy przypadkiem pan Philipp nie powiedział, że podlewa kwiaty w domu pani Zofii? – zapytał niemal przeproszającym tonem.

Jak na komendę obie z Jolą spiorunowałyśmy Niemca wzrokiem.

– Ma pan klucz do jej domu?! – krzyknęłyśmy unisono.

– *Ja, natürlich.* Przecież mówię, że my są przujażni.

ROZDZIAŁ 27

Chaty kurpiowskie budowane są szczytem do drogi, przy czym w pewnym od niej oddaleniu. Oddziela je od drogi ogródek zasiany kwiatami lub też obsadzony drzewami i krzewami: wiśniami, gruszkami, brzezina, sośniną lub jałowcem. Zewnętrzny wygląd chaty, z drewna ciosanego, wiązanego w gładkie węzły, jest staranny i przyjemny dla oka. Nad ramami okien są pięknie wyrzynane listwy i ozdoby, często też malowane w desenie i kwiaty okiennice. Belki szczytowe – opasie – i szczytówki u starych chat są rzeźbione i wycinane w desenie typowe dla okolicy. Szczyty obija się również bardzo różnymi w układzie deseczkami, a nad szczytem, z boków, widać ozdoby, zwane śparogami, wyrzynane w najrozmaitsze wzory. Wyobrażają one łby ptasie lub zwierzęce, topory, rogi itp. Drzwi licowe (frontowe) pięknie ozdabiano i ubijano w przeróżne rysunki z małych i wąskich desek. Często rzeźbiono na nich wschodzące słońce, podobnie jak w chatach góralskich.

Najchętniej ruszyłabym natychmiast, ale okazało się to niemożliwe. Philipp miał spotkanie biznesowe, Lisik musiał zajrzeć do salonu, a więc chcąc nie chcąc, ja musiałam wrócić do hotelu. Z nadmiaru emocji zupełnie zapomniałam, że niczego tego dnia jeszcze nie jadłam, więc aromaty serwowanego właśnie obiadu omal mnie obezwładniły.

Marek siedział sam, przy dwuosobowym stoliku wciśniętym niemal do kąta, i wyglądał jak odtrącone dziecko. Powinam pewnie pomyśleć: „I dobrze ci tak, zdradziecki dziadu”, lecz zrobiło mi się go żal.

– Mogę się przyłączyć? – zapytałam cichutko.

Na dźwięk mojego głosu jego opalona twarz rozpromieniła się w uśmiechu. Zerwał się z krzesła i z zapalonym odsunął mi drugie.

– Ojej, ale z pana dżentelmen – pochwaliłam. – To bardzo miłe, chyba się za mną stęskniłeś, co?

– Oczywiście, że się stęskniłem – odparł z nutą przygany. – Zniknęłaś rano, cały dzień się nie odzywałeś, myślałem, że mnie porzuciłaś.

– Mój słodki Mareczek... – Poglaskałam go po policzku. – Nie mam w zwyczaju wychodzić po angielsku, wolę robić to z przytupem i z trzaśnięciem drzwiami. Nie martw się, na pewno będziesz wiedział, gdy zdecyduję się ciebie porzucić.

– Jeśli – poprawił mnie.

– Mhm. Co jemy?

Tego dnia obiad składał się wyłącznie z dań regionalnych, począwszy od kartoflanki i chłodnika, przez kolduny, kotlety z kaszy gryczanej z grzybami, aż po typowo kurpiowską dojadkę, jak Kurpie nazywają deser – fafernuchy³⁴.

Jedliśmy w milczeniu, Marek spozierał na mnie z dziwnym wyrazem twarzy, a ja byłam tak głodna, że pochłaniałam te kurpiowskie delikacje, jakbym pościła przez czterdzieści dni. Dopiero gdy kotlety zniknęły z talerza, poczułam siłę, by podjąć dialog.

– Co ciekawego porabiałeś? – zagaiłam, racząc męża ciepłym uśmiechem.

– Niewiele. Błąkałam się trochę po okolicy, zajrzałam nawet do skansenu, myśląc, że się na ciebie natknę, ale pani Halina powiedziała, że cię nie ma.

– A koledzy? Opuścili cię?

Marek machnął zdrową ręką.

– Musieli wracać do Warszawy, bo ich prawnik miał jakieś zastrzeżenia do wybranej działki. Chyba dadzą sobie spokój z tymi Starymi Kupiskami.

Ach! Teraz mi się przypomniało! Przecież to od tych deweloperów po raz pierwszy usłyszałam nazwę wsi.

- A o co chodziło z tym rolnikiem, który się nagle wycofał? - zapytałam z uprzejmej ciekawości.

- Podobno, ale nie dopytywałam o szczegóły - zastrzegł - mieli na oku duży teren pod lasem. Część działki wcześniej ów rolnik rozparcelował i sprzedał prywatnym osobom. Ale zostało mu jeszcze sporo terenu, można tam było zbudować solidne osiedle. Wszystko było dogadane, miliony w walizce zgromadzone, aż tu nagle rolnik oświadczył, że jednak im nie sprzeda, bo znalazł innego kupca.

- Inny deweloper?

- No właśnie chyba nie. Jakiś przedsiębiorca kupił większą część działki, a pozostała część jest już za mała na ich plany.

- Hmm, to rzeczywiście dziwne - stwierdziłam, zastanawiając się, czy mam jeszcze miejsce na fafernucha, czy jednak odpuścić. Tak pięknie pachniały... - Ciekawe, po co komuś taka duża działka. I ile musiał za nią zapłacić.

- Z tego, co mówili, na tej działce stoi budynek. Deweloperzy chcieli wziąć na siebie koszty wyburzenia, no ale wyszło, jak wyszło.

- Czyli temu komuś był potrzebny budynek? - dywagowałam.

Marek wzruszył ramionami.

- Może dotarł do informacji, że ktoś tam zakopał skarb - zażartował. - A ty co porabiałaś? Zniknęłaś tak wcześniej, jakbyś wybierała się na grzyby.

- Może i bym się wybrała, w końcu już sezon na gąski i borowiki, tylko trochę na nie za sucho. Co ja porabiałam... - Zamyśliłam się, przywołując wspomnienia minionego poranka. - Nawiazywałam znajomości, zwiedzałam, oglądałam architekturę. W sumie nic ciekawego.

- A jak idzie twoje śledztwo? Nie wpakowałaś się w nowe kłopoty, mam nadzieję? - zatroskał się małżonek.

- Jak możesz w ogóle tak myśleć? - zachnęłam się. - W nic się nie wpakowałam, nic się nie bój.

Oczywiście, że mi nie wierzył, jednak tęsknota sprawiła, że postanowił nie drażyć tematu. Skoro ani razu nie wspomniał o rachunku za naprawę roweru, musiał naprawdę mocno odczuć samotność.

- Zostajesz w hotelu? - zapytał z nadzieją w głosie. - Może ci pomogę i poszperam w książkach razem z tobą.

- Ojej, Mareczku, to naprawdę miła propozycja. Niestety, muszę gdzieś jeszcze pojechać.

Marek wyglądał jak szczeniak, który liczył na pieszczoty ze swoim człowiekiem, a tymczasem został odesłany do kojca. Serce mi zadrżało, ale przecież musiałam dokończyć to, co zaczęłam. Sumienie mnie ruszyło i powiedziałam mu o Philippie oraz planach przeszukania domu Zofii.

- Tylko wróć jak najszybciej - poprosił. - Nie lubię zostawać bez ciebie.

Czasem potrafił mnie jeszcze zaskoczyć.

*

Niewiele miałam czarnych ubrań, na szczęście Marek zabrał ze sobą bodaj wszystkie ciemne koszulki, więc pożyczyłam sobie jedną. Zdarzały mi się większe dziwactwa, dlatego też małżonek nawet nie mrugnął okiem.

O umówionej godzinie cmoknęłam męża w czoło i odziana od stóp do głów w czerń, z wyjątkiem cielistej ozdoby szyi, która zaczynała mi coraz mocniej doskwierać, pomknęłam na parking, gdzie czekał już na mnie mój współnik.

- Niezły z nas zespół - oceniłam, chwalać jego dobór garderoby.

On także miał na sobie czarne ubrania i wyglądał w nich niezwykle przystojnie.

- Schudła pani ostatnio o kilka rozmiarów? - zapytał z ironicznym uśmiechem.

– E tam, ja rzadko chodzę w czerni, więc musiałam się wspomóc cudzą – wyjaśniłam. – Panu za to bardzo w niej do twarzy.

Lisik odwdzieczył mi się uśmiechem i ruszyliśmy. Słońce powoli chyliło się ku zachodowi, ale temperatura powietrza wciąż była wysoka. Z nadzieją pomyślałam o letniej burzy, która bardzo by się przydała po tygodniach afrykańskich upałów. No i może gryby wreszcie by się pokazały...

Przed domem pani Zofii parkowało auto na niemieckich tablicach rejestracyjnych. Bogumił zatrzymał swój wóz tuż obok, po czym wydeptaną ścieżynką przeszliśmy do budynku. Nie zdążyliśmy nawet zapukać, a drzwi się otworzyły, ukazując uśmiechnięte oblicze Philippa.

– *Guten Abend* – przywitał nas. – Czeszę bardzo. *Kommt, kommt rein!*

Domyśliłam się, że nie o czesanie mu chodziło, a zwyczajnie cieszył się na nasz widok. Muszę przyznać, że wydawał mi się uroczy z tym swoim uśmiechem i łamaną polszczyzną.

– Dobry wieczór – powiedział Lisik, przekraczając próg. – Ani śladu pani domu?

Philipp pokręcił głową ze smutkiem.

– Kawa? Erbata? – zaoferował.

Jakkolwiek kawy o żadnej porze nie odmawiałam, tym razem ciśnienie miałam wystarczająco wysokie. Poprosiłam o wodę, Bogumił zażyczył sobie earl grey, zostaliśmy więc sami w przyjemnym saloniku.

Wejście do cudzego domu zawsze oznacza poznanie jego intymnej strony – właściciela, nie domu, gwoli ścisłości. Wystarczy kilka minut, by poznać czyjeś upodobania, namiętności, natręctwa i dziwactwa. Zofia Wilkońska z całą pewnością tych ostatnich miała cały arsenał, począwszy od uginających się regałów wypełnionych publikacjami etnograficznymi i ludoznawczymi, na porożach dzięki zwierzyny skończywszy. Pomijając nowoczesny sprzęt audio, wyglądający na nowy komplet wypoczynkowy, lampę z Ikea i leżący na ławie laptop, można było sądzić, że przypadkiem znaleźliśmy się w tradycyjnej kurpiowskiej chałupie.

Drewniane ściany ozdabiała makatki i obrazy, na fotelach i sofie leżały poduszki w fikuśnie haftowanych poszewkach, w rogu salonu stała wielka palma. Pod ścianą oddzielającą salon od kuchni dostrzegłam precudnej urody trzypoziomowy lyżnik z barwną ceramiką. Wyglądał zachwycająco, jak najpiękniejszy eksponat muzealny. Nad kominkiem ustawiono piękną kolekcję byśków³⁵ – jelonków, saren, zajęcy, a nawet barana.

– Od razu widać miłośniczkę kultury ludowej – wypowiedział na głos moje myśli Lisik. – Takie caczuszka pamiętam z domu mojej prababci.

– I co się z nimi stało?

– Część się zniszczyła, część zginęła, a resztę mój tata oddał do muzeum. Zdaje się, że teraz można je oglądać w Wachu. Albo w Kadzidle...

– Czyli pan naprawdę jest dumnym Kurpiem z dziada pradziada? Niesamowite.

– Czy ja wiem... Odnoszę wrażenie, że wraca moda na tożsamość kulturową. To, rzecz jasna, duża zasługa Związku Kurpiów i innych instytucji dbających o tradycję. Wbrew pozorom jest nas całkiem sporo, a potomkowie wysiedleńców coraz częściej poszukują swoich korzeni.

Z żalem pomyślałam o tym, że jako potomkini przesiedleńców zza Buga stanowczo zbyt mało zrobiłam, by odnaleźć swoje korzenie, i nieszczęśliwie interesowałam się dziedzictwem dziadków. Być może nadeszła pora, by to zmienić.

– Erbata i woda, proszę. – Philipp postawił na drewnianej ławie wysoką szklankę i pięknie zdobiony kubek. – Co mówili?

– Nic takiego, podziwialiśmy wystrój – odrzekłam z uśmiechem. – Pięknie tu.

– *Ah, ja, ja. Est ist shönes Haus.*

Dziwnie było prowadzić rozmowę w dwóch językach, zwłaszcza że ani ja, ani Lisik nie władaliśmy za dobrze niemiecką. Na szczęście Philipp doskonale rozumiał polski i starał się unikać trudnych słów.

Gdy panowie zajęli się dyskusją o bursztynie, ja postanowiłam rozejrzeć się po pozostałych pomieszczeniach. Szczególnie interesował mnie gabinet Zofii, o którym słyszałam od pani Jolinki. Dyrektorka miała w nim trzymać wszystko, włączając w to każdy paragon z warzywniaka.

Drewniane stopnie skrzybiały pod moimi stopami, gdy ostrożnie wspinałam się na piętro. Przez środek schodów biegł wąski dywanik, pamiętający czasy, gdy posiadanie w domu wykładziny było szczytem luksusu. Odruchowo liczyłam pokonywane stopnie – było ich łącznie dwadzieścia dwa: jedenaście do spocznika i jedenaście do szczytu. Od dziecka kochałam schody, a ich liczenie było niemal jak oddychanie – uruchamiało się samoistnie, gdy tylko stopa dotknęła pierwszego stopnia.

Na piętrze panował zaduch, za co winę ponosiły szczelnie zamknięte okna i bliskość dachu. Z całą pewnością nikt nie przebywał tu od dłuższego czasu. Drzwi do dwóch pomieszczeń były otwarte na oścież, dwoje pozostawało zamkniętych. Jedno z nich bez wątpienia było gabinetem Zofii.

Nacisnęłam klamkę najbliższych drzwi i... bingo! Fortuna mi sprzyjała. Wielkie dębowe biurko stojące na środku pokoju od razu zdradzało jego charakter – znalazłam się w królestwie uporządkowanej naukowczynie. Wszystko tu było na swoim miejscu. Książki na regałach stały w równiutkich szeregach, na blacie biurka nie było niczego poza lampką i pojemnikiem na przybory do pisania. One także wyglądały na posegregowane – osobno ołówki, osobno długopisy. Zofia Wilkońska, w przeciwieństwie do mnie, była pedantką.

Przyglądałam się tytułom ksiąg, zajrzałam do skrzętnie opisanych segregatorów zawierających uporządkowane chronologicznie periodyki etnograficzne, w końcu usiadałam na odrobinę sfatygowanym fotelu, omal nie uderzając głową w skos ściany. Cholerne poddasza, wszędzie cychają pułapki...

Grzebanie w cudzych biurkach nie należało do moich ulubionych zajęć, chyba że mowa o biurku Alicji – wówczas był to mój matczyzny obowiązek. Co jakiś czas musiałam przecież odszukać zaginione sztucce, a dziwnym trafem zwykle znajdowały się właśnie w pokoju mojej córki. Rzecz jasna – zawsze trafiały tam bez jej udziału, a nawet wiedzy!

– Co my tu mamy... – mruczałam pod nosem, przeglądając związane recepturką koperty. – Korespondencja z ZUS-u. Mało interesujące.

Pod pęczkiem kopert leżały dwa bruliony, w których Wilkońska prowadziła bardzo szczegółowy terminarz.

– Z tego raczej niewiele się dowiem – uznałam i zamknęłam szufladę.

W kolejnej panował nieco większy rozgardiasz, a jej zawartość wykazywała znaczne zróżnicowanie. Długopisy, notatniki, przypinki, pocztówki – a wszystko sygnowane logo Związku Kurpiów.

Trzecia szuflada wyglądała zaś, jakby należała do zupełnie innej osoby. Pojedyncze papiery, bezpieczeństwa rachunki, połamane kredki, krem do rąk, klej do wszystkich powierzchni, pojedynczy kolczyk, sfatygowana mapa, rysunek techniczny... Zaraz...

Wyjęłam kalkę kreślarską złożoną byle jak, rozłożyłam ją na biurku i przez chwilę przyglądałam się rysunkowi. Wyglądał jak nieudolny projekt studenta architektury krajobrazu albo gospodarki przestrzennej. Linie co prawda były równe, gdzieś tam naniesiono domy i drzewa, ale projekt był jakby... niepełny. Czegoś mi brakowało.

Wpatrywałam się w szkic, licząc na nadejście olśnienia, kiedy usłyszałam trzeszczenie schodów. Po chwili w progu gabinetu pojawił się uśmiechnięty Philipp, a za nim wszedł Bogumił.

– *Was haben sie gefunden?*

– Niewiele. Czy córka Zofii studiowała architekturę? – zapytałam, stukając palcem w kalkę.

– *Nein, nein* – zaprzeczył natychmiast. – Marysza jest *ein Bibliothekar*. Na uniwersytet.

– A Miła?

Philipp rozłożył ręce. Nie wiedział.

Z jakiegoś powodu ta pognieciona kalka bardzo mi nie pasowała do chorobliwie wręcz uporządkowanej Zofii Wilkońskiej. Ona nawet gazety układała datami wydania, skąd więc takie niechlujstwo? Może ten projekt miał zostać wyrzucony? Dlaczego w takim razie nadal leżał w szufladzie?

– Nad czym się pani tak głowi? – Lisik podszedł do biurka i przyglądał się rysunkowi.

– Wie pan, jak to jest, że czasem coś bardzo nie pasuje do reszty obrazu, a przez to uwiera jak kamień w bucie? – odpowiedziałam enigmatycznie. – Wszędzie dookoła jest idealny porządek, pani Zofia nawet koperty związała gumką w równiutki pęczek. A to znalazłam złożone jakby w pośpiechu, bez ładu i składu.

– Niewiele da się wywnioskować z tego rysunku... – ocenił bursztyniarz. – Może trzeba by go przyrównać do...

– Mapy! – krzyknęłam olśniona jak narciarz bez gogli w słoneczny dzień. – Trzeba to przyrównać do mapy.

– Tylko do jakiej? – zastanawiał się mój lebski współnik.

– Może do tej? – Wyjęłam z szuflady pomietą płachtę, która po rozłożeniu okazała się planem zagospodarowania przestrzennego.

Lisik podłożył plan pod kalkę i wszyscy troje pochyliliśmy się nad biurkiem. W niektórych miejscach granice istniejących na planie działek pokrywały się z liniami z projektu. Części budynków uwzględnionych na planie nie było na kalce i odwrotnie, ale z całą pewnością można było stwierdzić, że rysunek na kalce i mapa dotyczyły tego samego terenu.

– Wiecie, panowie, ja z mapami nigdy specjalnie się nie lubiłam, ale nawet ja widzę, że ktoś coś tu ze sobą porównywał. Tylko nie bardzo wiadomo kto, co i w jakim celu. Zofia planowała kupić działkę? – zwróciłam się do Philippa. – Albo powiększyć tę?

Niemiec pokręcił głową, jednak jego twarz wyrażała niepewność. Być może nie we wszystkie swoje plany Wilkońska go wtajemniczyła.

– Moglibyśmy pójść do katastru i dowiedzieć się, jakiego terenu dotyczy ta odbitka – zaproponował Bogumił.

– Nie czeba – zaproponował stanowczo Philipp. – Tutaj – stuknął palcem w duży obszar zadrzewienia – jest nasz las.

Musiałam przekręcić głowę, żeby spojrzeć na rysunek z właściwej perspektywy, lecz wreszcie to zobaczyłam. Rzeczywiście, domek Zofii, ten sam, w którym właśnie przebywaliśmy, znajdował się bezpośrednio przy lesie. Według mapy na sąsiednim terenie nie było działek budowlanych, dopiero kilka kilometrów dalej zaczynało się osiedle, na którym byliśmy wcześniej z Lisikiem.

– Hej, a ta działka z dziwnym budynkiem? – zapytałam, przyglądając się rysunkowi z nabożnym skupieniem. – Powinna być tu przecież zaznaczona.

– Hmm, ma pani rację... To mi trochę wygląda na ten zółty maszkaron.

Obrys zabudowania rzeczywiście przypominał tamten budynek z zakopkiem pod oknami, jednak na planie nie było widać granicy działki.

– Dziwne – stwierdziłam. – Nie wie pan, panie Phillippe, do kogo należy ten sąsiadujący teren? To własność gminy?

Philipp nie wiedział, czego zresztą się spodziewałam, ale warto było spróbować. Wyglądało na to, że pomimo znalezienia ciekawego tropu utknęliśmy w martwym punkcie. Jak trup. Jak cholerny, wykrakany przez Baśkę trup.

*

Kierowana ciekawością postanowiłam zwiedzić pozostałe pomieszczenia w domu Zofii. Na piętrze poza gabinetem znajdowały się jeszcze dwie sypialnie, niewielka łazienka i pomieszczenie pełniące funkcję

składziku. W obu sypialniach panował idealny porządek, łóżka równiutko zaścielone, nic nie wałało się po podłodze. Na szafkach nocnych zebrała się cieniutka warstwa kurzu.

Otworzyłam drzwi do składziku i cmoknęłam na widok ładu. Pudełka na buty ustawione w kolumnienki, kijki do nordic walkingu powieszzone na ścianie, sprzęt remontowy poukładany w kuferku. Wydzielona wysoka półeczka była pusta.

Zamknęłam drzwi i nagle coś mnie tknęło.

Zbiegłam na dół, tupiąc niczym stado spanikowanych słoni, i wpadłam do saloniku.

– Panie Phillippie! – wydyszałam, a z emocji serce waliło mi jak młot. – Czy pan wie, gdzie Zofia trzyma walizki?

Mężczyzna spojrzał na mnie, nie kryjąc zdumienia.

– *Ja, natürlich. Im Lagerraum.*

– Tam na górze? Naprzeciwko sypialni? – upewniłam się gorączkowo.

– Ja, na góra. *Warum?*

Spojrzałam na Lisika, któremu chyba udzieliło się moje podniecenie.

– W schowku nie ma żadnej walizki. Albo je komuś pożyczyła, albo...

– Zabrała ze sobą – dokończył.

Philipp usiłował spojrzeć jednocześnie na obie nasze twarze, co było trudne, bo stał między nami. W końcu nie wytrzymał ciśnienia i krzyknął:

– *Wo hat sie hingbracht?!³⁶ Wo ist Zofija?!*

– Zofija, panie Phillippie, najprawdopodobniej zrobiła sobie wczasy last minute albo gdzieś się ukryła – odparłam poważnie. – Jeśli się ukryła, to musiała mieć ku temu bardzo poważny powód, w przeciwnym wypadku poinformowałaby pana o tym.

Phillipp opadł na sofę i chwycił głowę w dłonie. Wyglądał przy tym na tak szczerze zrozpaczonego, że gdybym dotychczas nie wykluczyła go z roli podejrzanego, teraz niechybnie bym tak postąpiła. W jednej sekundzie zamienił się w kupkę nieszczęścia, a mnie zrobiło się go bardzo żal.

Nie mogąc znieść widoku łkającego mężczyzny – bynajmniej nie dlatego, że uważam to za jakąś sromotę – przeniosłam wzrok na ławę. Obok pustej szklanki po wodzie i do połowy opróżnionego kubka z herbatą znajdował się laptop. Coś błysnęło mi pod czaszką, kiedy na niego patrzyłam, a im dłużej wpatrywałam się w klapę komputera, tym bardziej ścisnęło mnie w żołądku.

– Phillippie, czy to jest komputer pani Zofii?

Mężczyzna pokiwał głową, nawet na mnie nie patrząc.

– A czy on nie powinien znajdować się w gabinecie?

Znów pokiwał, a w dodatku zakwilił.

– To pan go tu przyniósł?

– *Nein! Ich habe nichts bewegt!³⁷* – zaprzeczył z emfazą.

Wymieniłam porozumiewawcze spojrzenie z Lisikiem. Nasza spółka zaczynała już działać na wyższym poziomie komunikacji – myśli płynęły w tych samych kierunkach, nasuwały się identyczne wnioski i bez słów mogliśmy decydować o kolejnych ruchach.

– Miejmy nadzieję, że nie ma hasła – mruknęłam, podnosząc klapę laptopa.

– I że znajdziemy tam historię zakupu wakacji na Rodos – dodał Bogumił.

– To mi przypomina, że na wszelki wypadek muszę wyczyścić historię w swojej przeglądarce – oznajmiłam z niechęcią. – Biorąc pod uwagę zainteresowanie sposobami anihilowania ludzkich zwłok, mogłabym znaleźć się na celowniku policji...

Komputer uruchomił się i nie zażądał hasła. Wywołałam historię wyszukiwania i wstrzymałam oddech. Po plecach biegały mi ciarki, serce dudniło w uszach, a dłonie spocily się, jakbym podnosiła nimi ciężary.

– O holender! – wymsknęło mi się, gdy kolejne adresy wyświetlały się na liście. – A jednak interesowały ją te działki.

Lisik zajrzał mi przez ramię i gwizdnął przeciągle.

– Uuuulalaaa... Pani dyrektor szukała danych o nieodkrytych złożach bursztynu? A to dopiero historia...

ROZDZIAŁ 28

Pierwszą monografią dotyczącą bursztynu, a szczególnie jego prozdrowotnych i leczniczych właściwości, jest dzieło Andreasa Aurifabera pod tytułem *Succini historia* z 1551 roku. Aurifaber był nie tylko nadwornym medykiem Albrechta Hohenzollerna i rektorem gdańskiej Szkoły Mariackiej, ale uznawano go za jednego z najwybitniejszych specjalistów zajmujących się wykorzystaniem bursztynu w medycynie. Jego wiedzy zaufał Marcin Luter, cierpiący na kamice nerkową, któremu Aurifaber miał przesłać bryłę białego bursztynu z dedykacją, by dobry kamień usunął te zło³⁸.

Kiedy za oknem zapadła całkowita ciemność, opuściliśmy dom Wilkońskiej. Philipp, odrobinę podniesiony przez nas na duchu, pojechał do swojego mieszkania w Łomży. Za jego przyzwoleniem zabrałam komputer Zofii, żeby na spokojnie przejrzeć jego zawartość. W mojej głowie kielkował także plan uwzględniający ścisły kontakt z organami ścigania, a dokładniej mówiąc z komisarzem Bączyńskim. Miałam wszak niepodważalny dowód na to, że tuż przed zniknięciem dyrektorka skansenu poszukiwała dziwnych informacji. Jeśli dołożyć do tego brak walizek i plan zagospodarowania przestrzennego upchnięty w jej biurku, robiło się bardzo ciekawie.

Już wcześniej zdecydowaliśmy, że tym razem samochód zatrzymamy w większej odległości od ludzkich sadyb i do działki z zasypaną dziurą podkradniemy się na przełaj, przez pole. Nigdzie dookoła nie było żadnej latarni, mogliśmy więc liczyć na schronienie w czerni nocy. Ta część naszego planu była najłatwiejsza. Ustaleń co do tego, jak dostaniemy się na teren wroga, nie poczyniliśmy, licząc na to, że improwizacja doda nam skrzydeł, finezji i pomysowości.

Droga przez pole okazała się trudniejsza, niż zakładaliśmy, żadne z nas bowiem nie przewidziało, że żyją tam nornice i krety, a wpadanie w wydrążone przez nie dziury znacznie nas spowolniło. Do celu dotarliśmy spoceni jak myszy w połogu, ale przygoda dopiero się zaczynała.

Już z odległości kilku metrów usłyszeliśmy podejrzane hałasy. Lisik złapał mnie za rękę i przytrzymał mocno. Wyłączyliśmy latarki w telefonach.

– Ciii! – syknął mi do ucha bursztyniarz. – Ktoś tam jest.

– Słyszę. Niech mnie pan tak nie ściska, bo się przed mężem nie wytłumaczę – szepnęłam rozeźlona. – Co robimy?

– Skradamy się do tamtego krzaka. Widzi pani?

Guzik widziałam, ale odruchowo pokiwałam głową.

– Za mną! – rozkazał mój współnik.

Powoli ruszyliśmy się w kierunku niewidzialnego krzaka. Im bliżej byliśmy działki, tym lepiej rozróżniałam dolatujące z niej odgłosy.

– Ktoś tam kopie? – zapytałam zaskoczona.

– Na to wychodzi. Musimy podejść bliżej.

Zrobiliśmy jeszcze kilkanaście kroków i wreszcie dostrzegłam rzeczony krzak, który okazał się dziką różą. Dawał nam schronienie, ale równocześnie atakował kolczastymi gałązkami.

– Au, zahaczyłam się! – lamentowałam, gdy krzew złapał mnie za rękaw.

– Ciiicho! – fuknął Lisik. – Skoro my ich słyszymy, to oni nas też mogą.

Dobrze, że było ciemno i pan Bogumił nie zauważył, jak przewracam oczami i wystawiam mu język.

Oddalona od nas około dziesięciu metrów działka także nie była oświetlona, jednak już po kilku minutach wzrok na tyle przyzwyczał się do ciemności, że można było wyodrębnić bryłę budynku

i poruszające się ciemniejsze obiekty. Obiekty ponad wszelką wątpliwość były istotami ludzkimi płci męskiej obcej narodowo. Pośród padających z ich ust licznych przekleństw większość brzmiała śpiewnie.

– Ukraińcy? – domyśliłam się.

– I Białorusini – przytaknął bursztynnik. – Często handluję z jednym i drugim, więc już rozróżniam.

– Co oni tam robią? Ja nic nie widzę.

Lisik podniósł się z kucek i ostrożnie wyjrzał zza krzaka. Stał przez chwilę, po czym padł jak rażony gromem.

– Coś wykopali – wyszeptał podniecony. – Wykopalili, wyciągnęli z dołu i ładują do samochodu.

– Jasna cholera, to zewłok! – wyrwało mi się trochę za głośno.

W jednej chwili dookoła zapadła całkowita cisza. Podsluchiwani przez nas mężczyźni musieli nas usłyszeć. Jedyna nadzieja w tym, że wezmą nas za dzikie zwierzęta...

Siedzieliśmy jak trusie przytuleni do krzaka, starając się nie oddychać. Ze stresu i napięcia znów się spociłam, a nogi zaczęły mnie boleć, jak zwykle przy nagłym wyrzucie kortyzolu. Modliłam się w myślach do wszelkich znanych mi bóstw, żeby stało się coś, co zakończy ten absolutnie przerażający stan.

Minęło kilka minut, które wydały mi się co najmniej tak długie jak poród mojej córki, i znów usłyszeliśmy ruch. Po chwili trzasnęły drzwi od samochodu, uruchomiono silnik i kilka sekund później pojazd minął krzak, pod którym siedzieliśmy. Wypuściłam powietrze dopiero wówczas, gdy dźwięk motoru zupełnie zniknął.

– Jesteśmy bezpieczni – szepnął z ulgą Lisik.

– Niech mi pan da jeszcze chwilkę – poprosiłam. – Muszę ochłonąć.

– Ochłonie pani w samochodzie.

Spojrzałam na niego, jakbym widziała go po raz pierwszy.

– W jakim samochodzie? Przecież musimy tam iść.

– Zwariowała pani? Nawet jeśli było tam ciało, to oni właśnie je zabrali.

– Nie po to odganiałam sobie kuper na tych kamolcach i robię tatuaże gałęziami dzikiej róży, żeby teraz odejść z kwitkiem! Jeśli pan nie chce, to niech pan czeka pod krzakiem. Gdybym nie wróciła najdalej za kwadrans, proszę dzwonić na policję.

Podniosłam się z ziemi, otrzepałam odgnieciony odwłok i pewnym krokiem ruszyłam ku miejscu zbrodniczej działalności. Nie miałam najmniejszych wątpliwości, że leżały tam ludzkie zwłoki, które teraz przestępcza swołocz obcej narodowości odkopała i wywiozła, a następnie zasypie je wapnem gaszonym w jakiejś dziurze. Mało to w okolicy kraterów po nielegalnych bursztyniarzach?

Zbliżywszy się do ogrodzenia, zauważyłam coś, czego wcześniej tam nie było. Prześwit? Dziura? Nie! Przestępcza swołocz nie zamknęła bramy!

Ruszyłam truchtem, przytulona niemal do płotu, i wślizgnęłam się na teren działki. Żywego ducha nie było widać, martwego zresztą też nie. Dookoła panowała idealna cisza. Nawet wiatr nie wiał.

Na palcach podeszłam w stronę zapamiętanej lokalizacji tajemniczego zakopaliska, które teraz prawdopodobnie było już wykopaliskiem. Trafiłam bez pudła, zresztą ten, kto przed chwilą wykonywał tu pracę fizyczną, ułatwił mi zadanie. Otwór w ziemi pozostał otworem, a na jego brzegach usypano solidne wały z ziemi. Łopata leżała obok.

Wyjęłam telefon z kieszeni spodni, uruchomiłam w nim latarkę i skierowałam snop światła do wnętrza otworu. Z niemałym zaskoczeniem odkryłam, że dziura była głęboka, dużo głębsza, niż się spodziewałam.

Położyłam się na brzuchu, żeby przypadkiem nie zachwiać się i nie wpaść, i świeciłam w głąb, szukając jakiegokolwiek śladu. Nagle światło latarki zgasło.

Zakląłam paskudnie. Cholerny telefon, rozładował się! Na szczęście przezorny Lisik wyposażył nas w małe latarki. Sięgnęłam pod koszulkę, wyciągając zawieszoną na bawełnianej smyczy latareczkę,

uruchomiłam ją i skierowałam światło na ściankę wykopu. Coś błysnęło. Wyciągnęłam rękę dalej i poświeciłam znowu. Ewidentnie coś tam było, a w nikłym świetle nabrało niebieskawej barwy.

Zanim mózg zrozumiał, na co patrzy, doleciał do niego dźwięk kroków, a zaraz po nim w mojej głowie pojawiła się myśl: „Jasna cholera, nikt nie zostawia łopaty bez nadzoru!”.

Nie pamiętam uderzenia, a jedynie czarną jak smoła przestrzeń. Nie zarejestrowałam, że krzyknęłam, a podobno był to wrzask tak straszliwy, że obudziłam kilka osób w okolicy. Nie zachowałam w pamięci bólu, który pozbawił mnie przytomności. Towarzyszyło mi w tamtym momencie jedynie nieopisane przerażenie, kiedy zrozumiałam, jak bardzo się pomyliłam.

ROZDZIAŁ 29

Nazwa „Kurpie” pojawiła się w XVIII wieku, ale jeszcze w XIX wieku słowo „Kurp” było określeniem szydebnym, nadanym przez okolicznych mieszkańców. Sami Kurpie nazywali siebie „puszczakami”. Dopiero w okresie międzywojennym nazwa „Kurp” nabrała pozytywnego znaczenia – jako określenie kogoś dumnego z tradycji, przedstawiciela ludu, który zawsze cieszył się wolnością.

Następnego dnia cały Nowogród żył tylko jednym: znana pisarka niemalże zginęła po tym, jak włamała się na prywatny teren należący do tajemniczego przedsiębiorcy. Spekulacji na temat działalności owego przedsiębiorcy do wieczora powstało kilkaset: od wytwórcy pasz aż do wyrabiania narkotyków z ramienia samego Escobara, a powody mojego włamania były najbliższe prawdzie – ot, szukała sensacji do książki. Cóż, nie wiem, jak mogłabym wykorzystać sensacyjność wytwarzania paszy, ale ludzie często zaskakują mnie o wiele bardziej wyobraźnią niż moja własna.

O tym, co działo się następnego dnia w Nowogrodzie, a także o tym, co stało się wkrótce po utracie przeze mnie świadomości, dowiedziałam się dużo później, z relacji świadków, rodziny oraz... Tak, oczywiście – z relacji komisarza Bączyńskiego. Zanim jednak z jego ust wydostały się informacje, które dopełniły obrazu całej sytuacji, nastąpiło nieuniknione kazanie.

– Ile razy musi pani zostać ostrzeżona, zbesztana, napomniana i uprzedzona o poważnych konsekwencjach, żeby zrozumieć, że nie powinna się pani mieszać w sprawy zajmujące służby?!

Znajdowaliśmy się w izolatce Oddziału Anestezjologii i Intensywnej Terapii Szpitala Wojewódzkiego w Łomży. Przed drzwiami stał policjant w pełnym rynsztunku, co zapewne przysporzyło mi całej rzeszy fanów.

– Panie komisarzu... – Otworzyłam usta, żeby się zmiękczyć, ale głos ugrzązł mi w gardle. Na domiar złego nie miałam na szyi kołnierza ortopedycznego, za to cała głowa aż do barków była ściśnięta bandażami.

– Niech pani nic nie mówi! – syknął policjant. – Ma pani uszkodzone coś tam w gardle i nie wolno pani go nadwyręzać. A poza tym ja jeszcze nie skończyłem!

Niby nie skończył, a zamilkł równie nagle, jak wybuchł. Wpatrywał się tylko we mnie spojrzeniem tak złym, że mogłoby samodzielnie zagrać Lorda Vadera, gdyby tylko założyć mu hełm.

– Boję się pana – wycharczałam.

– Szkoda, że dopiero teraz! – parsknął. – To nie mnie powinna się pani bać, tylko ludzi, którym weszła w paradę! Mówi coś pani termin „przestępczość zorganizowana”? Wie pani, że oni zabijają bez mrugnienia okiem? Jeden trup w tę czy we w tę zupełnie nie robi im różnicy. I tak, panią mam na myśli. Gdyby nie ten kołnierz, nie żyłaby pani, nawet gdyby karetka zdołała zjawić się szybciej. Ma pani niewiarygodne wprost szczęście – skonkludował.

Faktycznie – pomyślałam z goryczą – najszcześliwsza ze mnie kobieta na świecie.

– Dobra, ulżyło mi – westchnął Bączyński. – Cieszę się, że pani żyje, że to wszystko skończyło się tylko tak. Lekarze mówią, że wstrząśnienie mózgu wyglądało na poważne, ale najgorsze już za panią. Wcześniej zdiagnozowany krwiak jest całkowicie uleczalny, a przynajmniej taką mają nadzieję.

Zrobiło mi się niedobrze, choć wciąż niewiele rozumiałam. Powoli docierało do mnie, że ledwo uszłam z życiem, za co powinnam dziękować... sobie? Gdybym nie podstała się tamtemu cymbałowi w volkswagenie i nie dostała ozdoby szyjnej, teraz zapewne występowałabym w charakterze trupa. Znowu to słowo!

Otrząsnęłam się z tych myśli i wróciłam spojrzeniem na przyjemną twarz komisarza.

– Marek? – wychrypiałam.

– Pani małżonek wrócił do domu, cały i zdrowy, podobnie jak córka. Mają się świetnie, pani teściowa nad nimi czuwa.

Oesu! – jęknęłam w duchu. Znowu całą pościel mi wykrochmali...

– A pan Lisik? Pani Zofia? Co z nimi? – Udało mi się wyartykułować te słowa resztkami silnej woli. Zaraz potem poczułam dziwny bezwład i zrobiło mi się zimno.

Ocknęłam się kilka godzin później, podłączona do dwóch, a nie jak wcześniej do jednej kroplówki. Bączyńskiego już nie było. Po chwili drzwi się uchyliły i do środka weszła młodziutka pielęgniarka.

– Jak się pani czuje? – zapytała.

W odpowiedzi udało mi się jedynie lekko skrzywić.

– Proszę odpoczywać. Wszystko będzie dobrze.

– Przepraszam? – zdołałam wyszeptać, zanim znów zostawiła mnie samą.

– Tak, pani Małgosiu?

– Pan komisarz...?

– Powiedział, że wróci jutro.

ROZDZIAŁ 30

W XVI wieku Mierzeja Wiślana nosiła nazwę *Ripa Succini* – bursztynowego wybrzeża.

Komisarz Bączyński wrócił następnego dnia, tak samo jak kolejnego, i wracał codziennie przez niemal dwa tygodnie, zanim mój stan ustabilizował się na tyle, że mogłam swobodnie rozmawiać. Wstrząśnienie mózgu przyniosło skutki uboczne w postaci zaburzeń koncentracji, omdleń i problemów z pamięcią. Na szczęście wszystko okazało się przejściowe, a lekarze nie mieli wątpliwości, że w ciągu miesiąca, najdalej sześciu tygodni odzyskam pełnię sił.

Nasze ostatnie spotkanie z komisarzem trwało długo, ale udało mi się wypełnić luki w historii, która omal nie zakończyła się dla mnie tragicznie, a w dodatku Bączyński przywiózł najnowsze wieści, dzięki którym w końcu mogłam opuścić izolatkę.

– Zmarzłak jest w areszcie i stara się o status świadka koronnego – oznajmił, gdy raczyliśmy się pysznymi rogalikami przyniesionymi dzień wcześniej przez panią Jolinę. – Dzięki jego zeznaniom udało się zdobyć nakazy na najważniejsze osoby w sprawie, a pani wreszcie przestało grozić niebezpieczeństwo.

– Co przeszkobał? – zapytałam, nie wątpiłam bowiem, że Bączyński w lot zrozumie, kogo mam na myśli.

– To on odpowiadał za znalezienie notariusza, który zajął się umową na sprzedaż działki organizacji Marczenki. On także był słupem, którego boss wystawił, żeby nie budzić podejrzeń. W końcu Zmarzłak miał plecy w policji.

– Zaraz, zaraz... – Zmarszczyłam brwi. – Za szybko przeskoczył pan do wniosków. Jak to się stało, że w ogóle zainteresowali się tą działką? Tam przecież miało powstać osiedle bliźniaków, deweloperzy mieli już zatwierdzone projekty.

Bączyński przyglądał mi się przez chwilę, po czym musiało do niego dotrzeć, że moja wiedza została – dosłownie – pod lasem.

– Racja – przyznał. – To może zacznę od początku. A na początku był rolnik, Stanisław Bielecki, którego rodzina jakimś cudem posiadała na własność ogromne grunty, w większości rolne. Być może ma to związek z tym, że dziadek owego Stanisława przez wiele lat był soltysem i rządził w sposób, ekhm, niekoniecznie praworządny...

*

Stanisław Bielecki nie chciał być rolnikiem, do pracy też się zbyt nie garnał, za to dość szybko zrozumiał, że w obecnych czasach ziemia jest towarem cieszącym się dużym popytem, w dodatku zyskującym na wartości. Skoro zaś nie zamierzał uprawiać zbóż ani produkować paszy, zostanie rentierem. Ogłosił się, gdzie trzeba, i na odzew nie musiał długo czekać – oferty od deweloperów i osób prywatnych płynęły rwącym strumieniem. Największy problem stanowiła działka, na której ojciec Stanisława wybudował złoty koszmarek, mający stanowić nowoczesną wytwórnię pasz, ale nie ukończył inwestycji, gdyż w wieku zaledwie pięćdziesięciu czterech lat trafił do lepszego świata.

Staszek z czasem zrobił się chytry, szkoda mu było pieniędzy na wyburzenie pustostanu, czekał więc cierpliwie na ofertę, która przyniesie mu właściwy profit i pozbawi go kłopotu. Udało się: duży deweloper z Warszawy wyraził chęć zakupu działki z dobrodziejstwem inwentarza. Wszystko zostało umówione, stosowne kwity podpisane, jeszcze tylko opinia prawników, kilka zgód od geologów... Stop!

Tu właśnie zaczęły się schody.

Po dokonaniu ekspertyzy geolog stwierdził, że działka ponad wszelką wątpliwość znajduje się na terenie bursztynonośnym. Na dowód swoich słów podetknął Stanisławowi pod oczy bryłkę wielkości orzecha włoskiego. Oznaczało to dwie rzeczy, a żadna z nich Bieleckiemu się nie spodobała.

Po pierwsze: zgodnie z nowelą ustawy prawo do kopalin miało państwo. Po złożeniu ekspertyzy w ministerstwie zleca się tu stada badaczy, żeby ocenić wielkość złóż, i umowa z deweloperem będzie musiała poczekać, bagatela, kilka lat.

Po drugie: jeśli rzeczywiście pod ziemią znajdują się złoża sukcenitu, to przecież grzechem byłoby sprzedać ją jakimś cymbałom z Warszawy.

Niewiele myśląc, Stanisław Bielecki skontaktował się z jedyną znaną mu osobą, która mogła pomóc w rozwiązaniu kłopotu. O tym, że Artur Zmarzłak doskonale porusza się po szarej strefie bursztyniarstwa, wiedzieli wszyscy w województwie, zresztą nierzadko z jego usług korzystali. Staszek także, tym bardziej że znali się od dziecka. O działalności Trupa nie miał, rzecz jasna, pojęcia, więc naiwnie wpakował się w prawdziwe kłopoty.

Zmarzłak wysłuchał kolegi, przy okazji upijając go solidnie. Sam także za kołnierz nie wylewał, wskutek czego stał się wyjątkowo wylewny. Jego relacja z Oksaną weszła już na dość zaawansowany poziom zażyłości – papa przymykał oko na potajemne schadzki jedynaczki z protegowanym, pilnując jedynie, żeby nie doszło do najgorszego – więc i tego wieczora Artur wylądował w pokoju ukochanej i wyśpiewał jej genialny plan, jaki pojawił się w jego głowie.

– Wydobędę ten bursztyn, moja gołąbeczko, stanę się bogaty, a wtedy nie będę musiał pracować u twojego papy i wyjedziemy stąd gdzieś daleko – roztaczał przed Oksaną piękne wizje.

– Papa cię tak łatwo nie wypuści – powątpiewała dziewczyna.

– Oj tam, pójdę do swojego psa i dostanę koronę. Znikniemy z oczu twojego ojca, zanim się połapie.

Zupełnie nieświadomy, że właśnie wydał na siebie wyrok śmierci, Zmarzłak pożegnał ukochaną i wrócił do domu, żeby przemyśleć swój genialny pomysł. W alkoholowym podnieceniu zupełnie wyłączył mu się czujniki niebezpieczeństwa i dopiero gdy wytrzeźwiał, zrozumiał, że jego plan ma zasadniczy szkopuł. Szkopuł ów nazywał się „ekspertyza geologiczna”.

Na domiar złego Oksana wcale nie była przekonana do tego, że chce zniknąć ze światopoglądu papy, który przecież zapewniał jej życie na odpowiednim poziomie, spełniał zachcianki i realizował marzenia. A Artur? Może i przystojny, na pewno ją kocha, ale miłością jeszcze nikt się nie najadł i za wakacje nie zapłacił, a żadna miłość nie trwa wiecznie, więc znajdzie się inny amator. Następnego dnia przy śniadaniu opowiedziała ojcu o knowaniach Zmarzłaka.

Słów, jakie padły z ust Marczenki, nie będziemy powtarzać, wystarczy nadmienić, że były mało przychylnie, literackie wcale, dla ucha niezbyt przyjemne – i to właściwie oddaje ogólny sens, którego i tak można się domyślić. Boss zadowolony nie był. Bynajmniej. Padło także kilka gróźb karalnych, nieco inwektyw pod adresem matki Zimnego, ale gdy tylko ciśnienie zeszło z Aleksieja, natychmiast obrał nową strategię, uwzględniającą dotkliwą zemstę na – już teraz z całą pewnością – niedoszłym zięciu.

Niespodziewający się zdrady Zmarzłak pojawił się w pracy następnego dnia i z marszu został wezwany na dywanik. Było to pierwsze tego dnia zaskoczenie, jedno z wielu.

– Kochasz moją córkę? – zapytał go Marczenko, ledwo za przybyłym zamknęły się drzwi.

– No kocham, a jakże – zapewnił z zapałem.

– Bardzo dobrze. Mam dla ciebie robotę. Wykonasz ją dobrze i będziesz mógł się oświadczać.

Zmarzłak omal zemdlął z wrażenia: oto jego największe marzenie spełnia się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, a w dodatku za chwilę będzie bogaty niczym, nie przymierzając, Elon Musk!

– Znajdź mi notariusza – polecił Marczenko. – Ale nie byle jakiego. Ma być głuchy, ślepy i najlepiej głupi. Nie zaszkodzi, jeśli będzie przekupny.

To wcale nie wydawało się trudne. W mit, że prawnicy są wyjątkowo bystrzy i prawi, Zmarzlak już dawno przestał wierzyć. Znaczna część podlaskiej palestry siedziała Marczenko i jemu podobnym w kieszeni.

– Może być Nowacki? – zaproponował po chwili namysłu.

– Nie, nie może. Ma to być ktoś, kogo z nami nie powiążą, najlepiej z innej części Polski.

To już wydawało się trudniejsze, ale tylko odrobinę. W końcu Zimny znał ludzi, którzy znali ludzi. Z całą pewnością któryś z nich poleci przekupnego notariusza z odległego zakątka kraju.

– Zrobi się, szefie – zapewnił.

– Świetnie.

– To wszystko? – Zadanie wydawało się całkiem nieskomplikowane, w skali od jednego do dziesięciu maksymalnie czwórka.

– Nie, to nie wszystko. – Głos Marczenki niespodziewanie nabrał ostrości. – Gdy już go znajdziesz, masz tu przywieźć i w jego obecności podpisać umowę kupna działki Bieleckiego. Gdy już ją kupisz, podpiszesz umowę ze mną i sprzedasz mi działkę za, powiedzmy... pięć tysięcy złotych.

Przez chwilę Zmarzlak nie był pewien, czy się nie przestyszał. Ma kupić działkę Bieleckiego? I sprzedać Marczenko?

– Sze...szefie? Działkę Bieleckiego?

– Tak powiedziałem. Jakiś problem?

W tamtej chwili Zimny vel Trup problemów widział kilka, a najważniejszym spośród nich był niespodziewany odjazd w niebyt jego marzenia o zostaniu krezusem. Przypomniawszy sobie jednak o ekspertyzie geologicznej i rezon mu powrócił. Niestety, nie na długo.

– Aha, jeszcze jedno – rzucił od niechcenia szef. – Musisz przekonać pana geologa do zmiany zdania. Nic tam nie ma, piach i muł, żadnych kopalin.

Artur Zmarzlak, który w innych okolicznościach mógłby zostać cenionym artystą, imaginację miał nie od parady, bez trudu wyobraził sobie, jak zbudowane z kryształu marzenia o bogactwie i ucieczce na koniec świata sypią się z łoskotem. Brzęczało mu w głowie jeszcze długo po tym, jak z miną zbitego psa opuścił gabinet Marczenki.

Powinien był wówczas natychmiast pognać na policję, donieść swojemu oficerowi operacyjnemu i pewnie na tym sprawa by się skończyła. Nieszczęście Zimnego polegało jednak na tym, że raz znalazłszy damę swego serca, ani myślał z niej zrezygnować. A przecież Marczenko wyraźnie powiedział, że gdy Zimny wykona zadanie, dostanie rękę pięknej Oksany. I nogę, i zgrabny tyłeczek, i słodkie usteczka też.

Powinien był pognać na policję, zrobił jednak coś zupełnie innego.

Notariusz znalazł się we Wrocławiu, przypadkiem był kuzynem jednego znajomego, tak samo zresztą praworządnego. Pozostawały jeszcze dwie kwestie i obydwie spędzały Zmarzlakowi sen z powiek przez bity tydzień. Geolog mógł należeć do ginącego gatunku nieprzekupnych, a wtedy należało zastosować metody, za którymi Artur zasadniczo nie przepadał. Bielecki, skądinąd przekupny, z całą pewnością nie zechce sprzedać ziemi, wiedząc, na jakim skarbie siedzi. I znów trzeba będzie sięgnąć po argumenty z katalogu tych nie ulubianych. Ale w nagrodę dostanie Oksanę. Czy ona nie jest tego warta?

Wyszło na to, że Oksana Marczenko warta jest każdego poświęcenia, do tego Zmarzlak uznał, że w razie czego policja go wybroni. Podjął decyzję, przedsięwziął, co należało, i już następnego dnia geolog wzbogacił się o kilka tysięcy złotych, a ekspertyza wykonana na działce Bieleckiego zubożała o całkiem spore złoża bursztynu. Sprytnie to Zimny wykoncypował, wszak tym sposobem Bielecki także – oficjalnie i na piśmie z pieczęcią – zubożał, a więc nie powinien robić problemów ze sprzedażą.

Tyle tylko że Bielecki nie był w ciemni bity i zachował kopię pierwszej ekspertyzy – co prawda w formie zdjęcia zrobionego telefonem, ale pieczęć wciąż było wyraźnie widać. W dodatku ani myślał sprzedawać działkę, zanim dokona stosownych wykopków, co z miejsca oznajmił Zimnemu.

- Jeszcze na łeb nie upadłem, żeby się pozbywać góry pieniędzy – zakończył rozmowę, która przebiegała w dość cywilizowanej atmosferze.

- Radziłbym ci to jeszcze raz przemyśleć – rzucił ostrzegawczym tonem Zmarzlak.

W odpowiedzi Bielecki zarechotał, a to zdenerwowało Zimnego, wrażliwego na charczące dźwięki.

- Twój wybór, masz czas do jutra – warknął, po czym opuścił dom, w którym swego czasu wypił całe morze lokalnego bimbrow.

Następnego dnia wrócił z kolegami. Jeden miał doświadczenie w boksie, drugi w kickboxingu. Obaj lubili się popisywać zdobytymi umiejętnościami.

- Zmieniłeś zdanie? – zapytał, gdy Bielecki wyglądał tak, że rodzona matka na pewno by go nie poznała.

- Pójdiesz za to siedzieć – wydyszał pobity.

- He, he, a właśnie że nie pójdę. – Tym razem to Zimny zarechotał z dziką satysfakcją. – Tak się składa, że ja w policji mam chody i taki leszcz jak ty może mi naskoczyć. Chodźcie, chłopaki, wrócimy tu jutro z panem notariuszem.

Zmarzlak był pewien, że Bielecki nie pójdzie na policję, ponieważ wtedy ryzykowałby odkrycie tajemnicy bursztynu. I miał rację. Nie przewidział jedynie, że los znów zagra mu na nosie.

*

Bączyński potrafił świetnie opowiadać, co stwierdziłam z prawdziwą przyjemnością. Z łatwością mogłam sobie wyobrazić te przestępcze rozgrywki, jakbym tam była.

- Domyśla się pani, co się stało z Bieleckim? – zapytał mnie ze smutnym uśmiechem policjant.

- Domniemywam, że pełnił funkcję trupa, którego zakopywania, a później odkopywania byłam świadkiem.

Tak mi wychodziło w toku logicznego rozumowania. Skoro to nie pani Zofia ani Zmarzlak, to jedynym kandydatem na zwłoki był zbuntowany właściciel skarbu.

- Zgadła pani – potwierdził komisarz. – A ironia losu polega na tym, że mógłby żyć, gdyby nie pani Wilkońska...

Tego nie byłam w stanie wywnioskować żadną miarą i naprawdę czułam się zaskoczona.

- Co pan wygaduje? Pani Zofia? Ta kolekcjonerka bysków i makatek? Ta kobieta poukładana od liniiki? No wie pan co...

- No ale przecież nie celowo! – mitygował się. – Ona działała w dobrej wierze, a że wyszło inaczej...

*

Miesiąc po pierwszej wizycie w domku należącym do Zofii Wilkońskiej znów go odwiedziłam, tym razem na zaproszenie właścicielki – całej, zdrowej, opalanej i uśmiechniętej. Jej powrót, który nastąpił niedługo po tym, gdy ja poczułam się lepiej, był dla wszystkich nie lada niespodzianką.

Następnego dnia miałam jechać do domu, więc ostatnią noc na Kurpiach postanowiłam spędzić z przyjaciółmi. Razem z Jolinką, Haliną, Karoliną i Philippem graliśmy w monopol, racząc się pysznym piwem kozicowym. Zofia zorganizowała też fafernuchy, ale nie cieszyły się szczególnym zainteresowaniem.

- Opowiedz to jeszcze raz – poprosiła szefową Jolinka. – Tak wspaniale relacjonujesz, że powinnaś książkę napisać!

- Książki to niech pisze pani Małgosia, ja wolę je czytać – odparła poważnie Zofia.

- Ale opowiedz – naciskała Jola, coraz weselsza, bo tego wieczoru piwo wchodziło jej jak woda.

- Niech będzie, ale to ostatni raz – zastrzegła dyrektorka skansenu. – Otóż zaczęło się od tego, że postanowiłam kupić kawałek ziemi, żeby zamieszkać z Philippem, jak już się pobierzemy. Miłka ma mieszkanie, a ten dom chcę zostawić Marysi – wyjaśniła. – Jedyną ziemię w okolicy posiada Bielecki, więc

zajeżdżałam do niego po pracy, żeby pogadać. Akurat jak podjeżdżałam, to z jego domu wychodziło dwóch zbirów i jakiś trzeci. Wsiedli do auta i odjechali, a ja na wszelki wypadek pojechałam dalej, żeby nie wzbudzać podejrzeń. Zaparkowałam na polu i podeszłam do domu Bieleckiego od tyłu. Drzwi były uchylone, to weszłam, bo już czułam, że mną złe przeczucia targają. I miałam rację. – Zofia westchnęła głośno, spojrzała na obraz Matki Boskiej i wykonała znak krzyża. – Bielecki wyglądał jak świnia w masarni. Leżał zwinięty na podłodze i stękał jak nieboskie stworzenie. Złapałam za telefon, żeby pogotowie wezwać, a on do mnie: „Nie! Nic mi nie będzie, nie trzeba!”. Ja mu na to: „Jak nie trzeba, jak trzeba, ty tego nie przeżyjesz”. A on w zaparte: „Przeżyję, przeżyję, nie takie już cięgi zbierałem, ty się nie martw, Zocha”. Podniósł się jakoś, żebra chyba miał połamane, ale stał na nogach. Nie chciał powiedzieć, kim były te zbiry, słówka nie pisnął, tylko się upierał, że nic mu nie będzie.

– Matko kochana, ja to bym pewnikiem zemdłała... – Halina wyglądała, jakby rzeczywiście miała zaraz paść na podłogę. – Na widok krwi to mnie od razu trzepie, o tak: brrrr.

Jolinka przewróciła oczami, a ja, żeby nie parsknąć, udałam, że kaszlę. Komedia z tymi babkami, jak Alicję kocham!

– No i co dalej było, pani dyrektor? – zapytała Karolina, która jako jedyna z nas słyszała tę opowieść po raz pierwszy. Powrót Zofii zbiegł się z jej urlopem, więc ominęła ją cała polka.

– Pomogłam mu się umyć, opatrzyłam rany, podałam leki przeciwbólowe i wódkę. To ostatnie na jego wyjątkowo usilne prośby. I pojechałam do domu – relacjonowała Zosia. – Całą noc nie mogłam spać, biłam się z myślami, a nad ranem zdecydowałam, że pojadę do Bieleckiego i zmuszę go do zgłoszenia sprawy na policję. – Na twarzy Wilkońskiej odbijały się miotające nią wówczas uczucia. Bez wątpienia ta sprawa na długo zapadnie jej w pamięć. – Kiedy przyjechałam, zastałam pusty dom. Ucieszyłam się, że może jednak pojechał do szpitala. Zadzwoiłam tam z samego rana, mam tam koleżankę, ale okazało się, że Stanisława Bieleckiego nie przyjęto na żaden oddział. Więc znów pojechałam do niego domu i znów pocałowałam kłamkę. I wtedy poszłam na policję.

*

– A policja wysłuchała jej zeznań, zrobiła portret pamięciowy zbirów i wyszło im, że jednym z nich na pewno jest ich kapuś – opowiadałam Baśce, siedząc w pokoju hotelowym wynajętym mi na koszt państwa po wyjściu ze szpitala. W szpitalu wolałam nie opowiadać, bo ściany mają uszy. – A skoro Zmarzłak wypłynął przy pobiciu, zagięli na niego parol. Bielecki oczywiście się nie znalazł, ale nie mieli żadnych dowodów, do czasu aż wypłynęła umowa sprzedaży działki zawarta między Arturem Zmarzłakiem a Stanisławem Bieleckim. Nazwisko Zimnego zaalarmowało właściwe osoby, a kwota transakcji dołała oliwy do ognia. Zgaduj, za ile poszła ta ziemia. Dla wyobrażenia podpowiem: na tym terenie można by wybudować całą wieś twoich rodziców.

Basia słuchała w milczeniu, nie przerywając ani razu.

– Hmm – odezwała się w końcu. – Milion?

– Pudło. Dziesięć tysięcy złotych. Miejsce parkingowe pod moim blokiem kosztuje więcej.

– Czyli od tej pory zaczęli Zimnemu patrzeć na ręce? – domyśliła się moja bystra przyjaciółka.

– Na ręce, na nogi, na przepływy na ROR-ach, na składki ZUS i wszystko inne. I na notariusza, który potwierdził tę ciekawą transakcję.

– Menda parchata jedna z drugą – wycedziła Barbara. – Żeby ja wiedziała, że ta swolocz zabiła człowieka, tobym go do domu nie wpuściła. A tak mnie zastanawia, w jakie piękne miejsce wysłaliśmy panią Zofię i jej córki za nasze podatki w ramach chronienia ich przed zbirami? – dopytywała.

– W Grecji były, na Korfu. Wróciły strzaskane na heban, przywiozły piękne muszelki.

– Masz dla mnie bursztynek? – przypomniała sobie Barbara, tknięta nagłym skojarzeniem.

- Mam bursztynek, ale oszlifowaniem zajmiesz się we własnym zakresie, bo mój bursztyniarz wziął urlop zdrowotny.

- Ja to się dziwię, że on w ogóle z tobą rozmawia - zawyrokowała. - Prawie życie przez ciebie stracił.

- Prawie robi wielką różnicę - zachnęłam się. - Ale teraz jestem jego dłużniczką, w końcu on uratował moje. Gdyby nie zadzwonił natychmiast po gliny, mogłabym się udusić w tym dole.

- A jak to się stało, że przystojny komisarz zmaterializował się na Kurpiach?

- O, widzisz, to ciekawy splot okoliczności. Kiedy ustalili, gdzie urzęduje tajemniczy rozgarnięty inaczej notariusz, skontaktowali się z miejscową jednostką. A Bączyński, taka siurpryza, od jakiegoś czasu starał się o przyjęcie do cebeesiów. Od razu zgłosił się do pomocy w sprawie i wtedy, w tym pociągu, on tego notariusza pilnował. Miał go przywieźć na przesłuchanie, ale gnojek mu uciekł, wykorzystując niespodziewaną okazję, jaką stworzył mu zewłok na torach.

- Wiesz co, Goniu? - westchnęła Basia. - Ty nie możesz mnie tak bardzo słuchać. Ja z tym trupim tropem to żartowałam, a ty jak zwykle wszystko na serio. Trochę luzu, kicia.

EPILOG

Małgorzata Starosta seniorka siedziała przy stole u sąsiadki z parteru i oddawała się przyjemności płynącej z picia herbaty i plotkowania. Jej synowa właśnie wróciła do domu po ponadmiesięcznej nieobecności, trzeba więc było dać jej czas na nacieszenie się ciepłem domowego ogniska.

Alicja, dowiedziawszy się o wypadku matki, wpadła w histerię i zupełnie zapomniała o fochu. Codziennie wisiała na telefonie, opowiadając rodzicielce o obozowych przygodach i jakimś Kubie, który wydawał się zupełnie dla niej nieodpowiedni, przez co, rzecz jasna, był ucieleśnieniem ideału.

– Wie pani, ta pani synowa to naprawdę napyta sobie kiedyś kłopotów – utyskiwała sąsiadka, ta sama, z którą Małgosia zderzyła się na schodach, gdy pędziła z Markiem do szpitala. – Jakiś czas temu próbowała mi wmówić, że pani nie żyje.

– Co też pani powie? – zdziwiła się seniorka, lecz zachowała spokój. – Wie pani, to jest artystka, ona nosi głowę w chmurach i czasem odkleja się od rzeczywistości.

– A pan doktor to taki dobry człowiek, taki dobry... I ojciec przykładowy, i pracę ma porządną.

– Ujdzie w tłoku – skwitowała matka doktora. – Ma swoje wady, ale w gruncie rzeczy to dobry chłopak. I kocha Małgonię jak wariat.

– No i co mu z tego? Prawie wdowcem wrócił!

– Ale nie wrócił! I chwala Bogu.

– Póty dzban wodę nosi, póki się ucho nie urwie. – Sąsiadka darzyła Małgonię uczuciami chłodnymi, a właściwie lodowatymi, gdyby temperaturę uczuć dało się zmierzyć.

– Powiem pani coś – odezwała się poważnie Starosta. – Moim zdaniem to ten mój Marek nie mógł lepiej trafić. Był taki czas, kiedy ja naprawdę się bałam, że on nikogo sobie nie znajdzie i zostanie mi na głowie. A ja, z całym szacunkiem, mam dość prania męskich gaci. A Małgosia... No cóż, może i nie jest doskonała, ale któż z nas jest?

– Myśli pani, że teraz się trochę ustakuje?

– A skąd! – prychnęła teściowa pisarki. – Daję jej miesiąc, a później z pewnością znów wpakuje się w jakieś tarapaty.

ŚMIERĆ BOHATERSKA KONWY 39

Po odejściu Karola Szwedzkiego zapanował spokój na Kurpiach. Ucichły strzały, ludzie powracali do domów. Dawnym zwyczajem swoim barcie dziali, miód i wosk zbierali, Niemcom do Prus sprzedawali.

W kilka lat umarł i stary Matus, żałowany od wszystkich, nie tylko od krewnych, lecz od całego ludu puszczańskiego, któremu całe życie wiernie służył.

Bór po nim objął Stach Konwa. Zagospodarował się, ożenił, spokojnie na ojcowiznie osiadł. Ciężko pracował i Pana Boga chwalił.

I zdawało się, że nie tylko gospodarstwo po starym Matusie odziedziczył. Mir i poważanie, jakie miał stary u ludzi teraz, zdawało się, niby spuścizna na Stacha przeszły. Był on przez trzy lata ławnikiem w sądzie myszynieckim, a później wciąż go do rady w ważnych spawach wzywano. Ludzie wierzyli w jego rozum i wiedzieli, że on nigdy nic takiego nie poradzi, co by gromadzie na szkodę wyjść mogło. A gdy raz w Nowogrodzie mieli ludzie złoczyńcę jednego wieszać, to aż stamtąd przysłali po Stacha, by radą swoją w tak ważnej sprawie sądowi dopomógł.

Tymczasem w kraju znowu zerwała się burza.

Rządy króla Augusta Drugiego nie spodobały się wielu. Król ten otaczał się swoimi Niemcami, trzymał po kraju swoje wojska saskie, które ludzi i ziemię niszczyły. A Polskę to uważał za pastwę jaką, z której tylko jak najwięcej korzyści chciał dla siebie wyciągnąć. Chciał nawet ustąpić część kraju królowi pruskiemu, żeby tylko synowi swojemu tron po sobie zapewnić.

A sam co miał o potrzebach kraju myśleć, to hulał, pił, jadł i rozpustne życie pędził.

Zgorszenie stąd było wielkie. A że, jak mówi przysłowie: „jaki pan, taki kram”, więc za przykładem króla i wielcy panowie, zamiast o kraju radzić, próżniacze życie pędzili. Aż urosło stąd przysłowie.

„Za króla Sasa człowiek jadł, pił i popuszczał pasa”.

Niejednemu więc sprzykrzyła się ta gospodarka niemiecka i przemysłiwali nad tym, by na tronie kto inny zasiadł.

Gdy więc król August Drugi w roku 1733 umarł, wezwali Stanisława Leszczyńskiego, który od lat kilkunastu we Francji mieszkał. A że córkę wydał za króla francuskiego, więc spodziewali się, że Francja sprawę Stanisława będzie popierać.

Lecz i syn Augusta, któremu na imię było także August, nie myślał ustępować. Zbierał ludzi, gromadził wojska, starał się o pomoc i w kraju, i u sąsiadów.

Zanosilo się więc znowu na wojnę domową. Różni ludzie jeździli, znajomości robili, stronników sobie szukali.

I o Kurpiach przy tym zapomnieć nie mogli, pamiętali dobrze, że to lud dzielny i odważny, którego pomoc w wojnie może być bardzo przydatną.

Razu pewnego Stach zwyczajem swoim miał wyjść do boru. Chciał on barcie opatrzyć, bo mu jedną jeszcze zeszłego tygodnia burza zepsuła. Zebrał się więc raniutko i miał już wychodzić, gdy wtem jakiś chłopak mały, zadyszany i zmęczony biegiem, wpadł od strony Myszyńca, krzycząc z całej siły:

– Gospodarzu! Gospodarzu! Idźcie no do Myszyńca. Ludzie tu po was przysłali. Idź, powiedzieli, poproś Stacha Konwę, żeby tu do nas na radę przyszedł. Powiedz, że pan jakiś z daleka przyjechał i Kurpiów do siebie sprasza i o czymś ważnym ma do gadania.

Stachowi wydało się z początku, że chłopak sam nie wie, co plecie, z przestרחu może, albo z głupoty. Bo jaki to pan mógł mieć do niego, biednego Kurpia, interes.

– Jaki pan? Co za pan? – zapytał.

– Nie wiem – odrzekł chłopak. – Idź, powiedzieli, prosz Stacha Konwę, żeby tu do nas na radę przyszedł, bo jakiś pan przyjechał i Kurpiów do siebie sprasza...

Zobaczył Stach, że z malcem się nie dogada.

– Biegaj – odrzekł – powiedz ludziom, że przyjdę.

Gdy Stach wszedł do gospody w Myszyńcu, w której na niego czekano, siedziało tam kilkunastu starszych i poważnych Kurpiów, a otaczał ich tłum ciekawych, którzy pytali, co by to wszystko miało znaczyć.

Ale nikt jeszcze dobrze nie wiedział, o co chodzi. Widziano tylko, jak wieczorem dnia poprzedniego przyjechał do Myszyńca jakiś pan bogaty, który miał ze sobą kilkudziesięciu szlachty, a i oficerowie jacyś szwedzcy z nim byli.

Niektórzy poznawali nawet generała szwedzkiego, Steinflichta, co go już raz Kurpie porządnie byli stłukli pod Kopańskim Mostem.

Pan zatrzymał się u Żyda w zajęździe, kazał jadło i napoje znosić i Kurpiów, którzy starsi i poważniejsi, do siebie na jakąś naradę spraszał.

Domysły więc chodziły różne. Jeden to, drugi owo gadał, a ci, co w próżne gadania bawić się nie lubią, siedzieli i milcząc, czekali, aż po nich przyszlą. Mówili o nowej wojnie, o nowych wrogach. Ale dobrze nikt nie wiedział kiedy i o co.

– Juźci – rzekł Stach – że Kurpie bez przyczyny karków swoich nadstawiać nie będą. Ale jeśli to dla dobra kraju będzie potrzebne, to nie pożałujemy ani trudów, ani krwi własnej. Przypomnimy sobie dawne czasy i Kopański Most, i Ostrołękę, i Myszyńiec.

Dopiero koło południa, kiedy poschodziła się starszyzna kurpiowska, przybiegł pachołek do gospody, gdzie siedzieli Kurpie, i wyrzekł:

– Imć Pan Adam Tarło, starosta jasielski, który tu w poselstwie od Stanisława Leszczyńskiego przybywa, prosi panów starszyznę do siebie na naradę!

Powstali Kurpie i powoli wychodzić zaczęli. Gdy podchodzili do zajazdu żydowskiego, w którym nieznajomy pan zamieszkał, wyszedł na ich spotkanie jakiś dworzanin, szlachcic w kontuszu i z szablą u boku. Wprowadził on chłopów do komnaty i na ławach usadził.

A w komnacie wszystko było przystrojone niby od święta. Na stołach stały jada rozmaite i kufle z piwem, i flaszki z miodem starym. Ławy pozaścielane były bogatymi dywanami i siedzieli na nich panowie szlachta i Szwedzi w czerwonych mundurach.

Wszystko to nie spodobało się Kurpiom.

– Cóż to – miarkowali – czy nie myśli on nas na jakąś złą sprawę przekupić, że tak jadłem i napojem chce do siebie zniewolić.

Weszli więc, pokłonili się i na ławach sobie wskazanych usiedli.

Wtedy Pan Tarło podszedł do Kurpiów i witał się z nimi. Skinął na dworzanina, a ten zaczął ich sadzać, piwem i miodem częstować.

Pan Tarło zaś coś Stachowi do ucha szepnął i do sąsiedniego pokoju go wyprowadził, drzwi za sobą zamknął i na te słowa przemówił:

– Wiem ja o was, Konwo, od pani wojewodziny Działyńskiej, z którą razem przed kilkunastu laty wojowaliście Szwedów. Wiem o tym, jak biliście się wtedy dzielnie i odważnie; wiem jeszcze od ludzi, jakie wy tu, w tej puszczy, poważanie macie między swoimi, że każdego waszego słowa ludzie słuchają więcej niż nawet rozkazu królewskiego. Przybyłem ja teraz w ważnej sprawie i dlatego wprzód z wami na osobności pomówić tu chciałem.

– Nie moja to zasługa – odrzekł Stach – że mnie ludzie nasi poważają. Od obowiązków gromadzkich nigdy się nie usuwałem i, gdy było potrzeba, wiernie gromadzie służyłem, bo taki jest nasz obyczaj kurpiowski i tak mnie uczył mój ojciec i dobroczyńca Matus Bartodziej, świeć Panie nad jego duszą! A to,

co chcecie mi powiedzieć, wysłucham chętnie. Ale dlaczego ukrywać się przed innymi? Ja się od gromady oddzielać nie chcę – dodał głosem stanowczym.

Tu pan Tarło sięgnął po coś do kieszeni, Stach zdziwionym okiem na niego spojrzął, a gdy posłyszał brzęk złota, podskoczył jak oparzony.

– Niedobrze wam o mnie pani Działyńska mówiła! – krzyknął – że mnie tak krzywdzić chcecie!

I podnosząc głos zawołał:

– Cóż to myślicie, panie, że Kurpie swą wiarą targują! Że my za złoto bić się będziemy! Nie, panie, u nas przekupstwem ani częstunkiem nic nie zrobicie: jeśli sprawa wasza jest czysta, to i my po waszej stronie będziemy, a jeśli nie, to... – i nie mógł dokończyć, taka go złość wzięła. Porwał się ku drzwiom i chciał do swoich powrócić i wszystko im opowiedzieć.

Ujął go pan Tarło za rękę, wpół go objął i przytrzymał.

– Czekajcie, Konwo, czekajcie! Nie róbcie mi wstydu przed ludźmi. Bóg widzi, że was krzywdzić ani obrazić nie chciałem.

Dopiero jął Stachowi tłumaczyć, że to dziś we zwyczaju, że do największego pana z pieniędzmi trzeba przychodzić. że zepsucie wśród ludzi jest wielkie, że więc i on mógł się omylić i niechcący taką krzywdą człowiekowi uczciwemu wyrządził. Jął przeproszać i tłumaczyć, a wszystko z serca snadź mu płynęło, bo Stach spokojnie do końca wszystkiego wysłuchał, uspokoił się i w końcu odrzekł:

– Niech to zostanie między nami. A teraz chodźcie i rzecz całą przed ludźmi wyłóżcie. Co macie nam powiedzieć, to ja z innymi wysłucham i jak mi sumienie i rozum nakaze, tak odpowiem.

Wyszli razem i Konwo znów usiadł między swoimi. Wiedzieli Kurpie, że Stach jakiś zły i niby nieswój, ale nie chcieli go o nic pytać. Wtedy pan Tarło tak do nich przemówił:

– Panowie starszyzna ludu puszczańskiego! Przybywam ja tu was w imieniu króla naszego Stanisława Leszczyńskiego, który prosi cały lud kurpiowski o pomoc w wojnie z Sasami. Za wiele już krzywd i ucisku od nich doznaliśmy! Nie może nikt z nas sprawiedliwości doznać, nie może nikt o krzywdę się upomnieć! August Drugi wciągnął nas do wojny ze Szwedami, on wprowadził do Polski swoje wojska saskie, które ziemię naszą niszczą, ludziom dobytek zabierają. Król Stanisław więc do was, do ludu całego się odzywa i o pomoc prosi. W zamian zaś przyrzeka i przysięga, że zachowa wszystkie starodawne prawa wasze bartnicze, jakie były i są od wieków w tych puszczech waszych mazowieckich!

Słuchali Kurpie z uwagą i rozważali każde słowo, które słyszeli. To jedno im się nie spodobało, że tu przy stole oficerowie szwedzcy zasiadają, że mają przed oczyma te szwedzkie czerwone mundury, z którymi niedawno tak zacięty bój toczyli. Zapytał więc jeden:

– Teraz powiadacie, panie, że Niemcy u nas górą. Ale cóż to król wasz ze Szwedami trzyma! Dlaczegoż to, o tu, teraz oficerów szwedzkich przy was widzimy?

– Szwedzi już nam niestraszni – odpowiedział Tarło. – I jął dowodzić, że Karol już nie żyje, że ci Szwedzi, których tu Kurpie widzą, to są już na służbie króla polskiego, że od nich nic nam złego nie będzie, a tylko pomoc w wojnie. I długo jeszcze tak mówił pan Tarło.

Nie wiedzieli Kurpie, co na to wszystko odrzec. Chciało im się podtrzymać nowego króla Leszczyńskiego, lecz ze Szwedami niemiło im się było bratać. Słyszeli o królu Stanisławie, że był człowiek dobry i bogobojny, że lud prosty miłował i nikogo krzywdzić nie dawał. Miarkowali więc wszystko i w końcu Stach, wstawszy z miejsca, tak panu Tarle odpowiedział:

– Kurpie słowo swoje cenią, a więc i na wiatr go nie dają. Musim się wprzód wywiedzieć o wszystkim, poradzić z innymi, wszystko dobrze zmiarkować. Staniem my po stronie tego, po czyjej jest prawda!

I stanęło na tym, że za tydzień miał starosta jasielski przysłać kogo do Kurpiów po odpowiedź. I nie wiadomo, na czym by się było skończyło, gdyby Kurpiów nie zaczepiono.

Lecz w tym samym czasie wojska saskie, wysłane przeciw Leszczyńskiemu, przechodząc koło puszczy, zaczęły lud grabić, dziewczęta uprowadzać, dobytek i bory niszczyć. Nie wytrzymali Kurpie i wzięli się do

broni.

Uderzono we wszystkie dzwony po puszczy, zbrojono się, a na wodza znowu nie kogo innego, tylko Stacha Konwę wybrano.

Ten jeździł teraz konno po wszystkich borach. To tu, to tam zasieki urządzał, robotami kierował, ludzi zbroił i do walki namawiał. Często, wymknąwszy się z garstką swoich zuchów, małe oddziały saskie tępił, aż w końcu doszło do wielkiej bitwy.

Jenerał Steinflicht i pułkownik Rebinder, jak pan Tarło obiecywał, przyszli Kurpiom na pomoc. Jeździł więc do nich Konwa, naradzał się i porządek bitwy razem układali.

Saski jenerał Biron postanowił całą siłą na Kurpiów uderzyć i od jednego zamachu ich zgłębić. Ale i nasi mężnie przygotowali się do tej bitwy, która miała być już ostatnią. Zbroili się przez noc całą, przygotowywali ładunki, opatrywali broń, w końcu krzepili się sami i wesoło zabawiali.

Konwa chodził pomiędzy ludźmi i dodawał odwagi:

– Jeszcze jedna bitwa – mówił – i już spokój na wieki będziemy mieli. Już nikt nie będzie śmiał nas krzywdzić i znieważać, nikt na nasze puszcze nie odważy się najeżdzać!

I ludzie się radowali, ściskali, pewni zwycięstwa. Wieczorem dnia tego znowu Konwa długo naradzał się ze Steinflichem. Ułożyli oni, że Kurpie wystąpią naprzód, napadną na pierwsze oddziały saskie i, cofając się ciągle, wciągną za sobą wojsko do puszczy, a wtedy Rebinder ze Szwedami z boków uderzy i tak w trzy ognie wezmą wrogów.

Na drugi dzień ze świtem wyszli Kurpie mężnie na obóz saski. Wróg nie spodziewał się tak śmiałego i nagłego napadu i nim się do boju uszykował, już mu dużo ludzi pod kurpiowskimi kulami zginęło.

Gdy główna siła saska ruszyła, Kurpie zaczęli cofać się ku puszczy, jak było umówione z Rebinderem.

Lecz raptem strach i przerażenie ich zdjęło, bo poczuli ogień za sobą, Domyślił się Konwa zdrady Szwedów. Przeczuli, że im tu już wszystkim koniec będzie. Nie było co myśleć o ratunku, chyba broń złożyć i zdać się na łaskę Sasów.

– Zginęliśmy! – krzyknął do swoich. – We dwa ognie nas biorą! Szwedy łotry zdradzili! Czy chcecie ludzie bronić się do ostatka? – zapytał.

– Bronić się! Bronić! – krzyczeli zewsząd.

Wtedy Konwa podzielił oddział na dwie części, jedną odwrócił twarzą do miejsca, skąd byli wyszli i taj już, stojąc na miejscu, odstrzelowali się w jedną i drugą stronę. Otoczeni ze wszech stron przez gęste szeregi wrogów trzymali się Kurpie długo jeszcze. Gdy już za blisko było do strzałów, rzucili się na bój ręczny. Najgorzej dostało się Szwedom, bo zaciekłość Kurpiów za zdradę dodała im męstwa i odwagi. Sam Rebinder ciężko ranny wyniesiony został przez swoich z pola bitwy.

Z Kurpiów zaledwie kilku wzięto do niewoli. Reszta wyginęła na miejscu.

Generał Biron rozkazał żołnierzom, by Konwy nie zabijano, lecz by go żywcem ujęto. Rzucili się więc w kilkunastu na niego, powalili na ziemię, ręce i nogi związali powozem i do saskiego obozu przynieśli.

Gdy bójka ucichła, rozwiązano Konwie nogi i generał kazał go do siebie zawołać.

– No, chłopie! – krzyknął – daruję ci życie, jeśli przyrzekniesz, że odtąd wiernym królowi saskiemu będziesz i swoich do uległości i poddaństwa nakłonisz.

– Kurpie raz danego słowa nie cofają! – odrzekł Konwa, spokojnie dumnie spozierając generałowi w oczy. – Gotów jestem umrzeć, bo za dobrą sprawę umieram!

– Gotów jesteś, więc dobrze – rzekł rozwścieczony generał. I zwracając się do żołnierzy powiedział:

– Postawić zaraz szubienicę na samym placu bitwy, żeby tamci, co w lasach jeszcze zostali, widzieli, jak ginie ich herszt ulubiony!

– Hersztem nie jestem! – krzyknął Konwa – a Kurpie nie zbóje! Zdradą nas wzięliście, niechże za to przekleństwo ciąży nad wami!

Śmiało i odważnie szedł Konwa na śmierć. Tylko gdy mu kat stryczek zakładał na szyję, spojrzął raz jeszcze na swoją puszcę kochaną, wspomniął o swym ludzie i gromadzie kurpiowskiej, w końcu podniósł wzrok w górę, ku niebu i duszę Bogu polecił.

*

Kurpie z lasu widzieli wszystko...

Gdy żołnierze sascy odeszli, odcięli trupa swojego bohatera. Wykopali jamę głęboką, złożyli zwłoki, a nad nią usypali mogiłę wysoką.

I tyle tylko pozostało po tym dzielnym wojowniku chłopskim... Mogiłę tę można widzieć dotąd w Lesie Jednaczewskim pod Łomżą. A o Konwie dotąd ludzie śpiewają piosenkę:

*Nasz Konwa to nie król szwedzki,
Co to niewart torby sieczki!
Bije tego, strzela lepiej,
A robaka wnet oślepi.*

*A też Sasów nie żałuje,
Tylko z strzelby ich częstuje,
A kej się napiją trunku,
To po całym już frasunku.*

*Oj, złapili go, złapili,
Żywcem więcej nie puścili,
Boże, daj mu zmiłowanie,
Za Twą wiarę bił się, Panie!*

Odtąd smutno było i cicho na puszczy. Po kraju naszym chodziły wojska różne, to szwedzkie, to pruskie. Lecz że Kurpiów nie zaczepiali, więc oni spokojnie siedzieli. Później, gdy się dostali pod panowanie Prusaków, zaczęło się im dziać coraz gorzej. Pozbawiono ich swobody, pokasowano barcie, zniesiono dawne towarzystwo bartnicze (1801). Nakładano coraz to większe podatki, zabroniono polowania. Z czasem po dawnym towarzystwie wspomnienie tylko pozostało.



PIWO KOZICOWE (JAŁOWCOWE)

(przepis pochodzi ze strony www.kurpiowskakraina.com.pl)

Przygotuj:

1 l miodu
0,5 kg suszonych jagód jałowca
30 dag świeżych drożdży
chmiel
1,5 szklanki cukru
10 l wody

Jak to zrobić?

Ugotuj i ostudź wodę. Rozbij w morderzu jagody jałowca, zalej wodą, dodaj chmiel i gotuj ok. 2 godzin na wolnym ogniu. Odcedź powstałą zawiesinę, a następnie wlej wystudzoną i osłodzoną cukrem wodę. Na koniec dołóż miód i drożdże. Powstały napój rozlej i szczelnie zamknij w butelkach. Odstaw je na 24 godziny w ciepłe miejsce.

REJBAK KURPIOWSKI

(przepis pochodzi ze strony www.kurpiowskakraina.com.pl)

Przygotuj:

3 kg ziemniaków
10 dag mąki gryczanej
1 łyżkę mąki ziemniaczanej
0,5 kg gotowanej wieprzowiny
30 dag kiełbasy
1 dużą cebulę
3 jaja
0,5 kg wędzonki
bułkę tartą
smalec
sól, pieprz

Jak to zrobić?

Zetrzyj ziemniaki, dodaj mąkę, jajka i pokrojone w kostkę ugotowane mięso. Podsmaż na patelni drobno pokrojoną słoninę z cebulą i kiełbasą i dodaj do ziemniaków. Wszystko dokładnie wymieszaj i dopraw do smaku. Przelej do naczynia żaroodpornego, wcześniej wysmarowanego smalcem i posypanego bułką tartą. Piecz w rozgrzanym piekarniku ok. 40 minut.

FAFERNUCHY

(przepis pochodzi ze strony www.kurpiowskakraina.com.pl)

Przygotuj:

0,5 kg marchwi
250–300 g cukru
50 g świeżych drożdży
5 łyżek mleka
1 kg mąki żytniej lub gryczanej
4 jaja
cukier waniliowy
kostkę masła

Jak to zrobić?

Zetrzyj drobno marchew, zasyp cukrem i odstaw na godzinę. W drugiej misce rozetrzyj drożdże z cukrem i zalej letnim mlekiem. Odstaw je, aby podwoiły swoją objętość. Do kolejnej, największej miski wysyp mąkę i dodaj wszystkie przygotowane wcześniej składniki. Wygnieć gładkie ciasto i pozostaw do wyrośnięcia. Następnie rozwałkuj je na grubość 1 cm i pokrój na paski o szerokości 3 cm. Paski przekrawaj po skosie, aby uzyskać małe romby. Połóż je na blasze i piecz ok. 15 minut w temperaturze 180 stopni. Przed podaniem posyp je cukrem pudrem.

CHŁODNIK KURPIOWSKI

(przepis pochodzi ze strony www.kuchnia-polska.net)

Przygotuj:

2–3 buraki
3 jaja
1 ogórek
2 pęczki szczypiorku
1 szklankę kwaśnej śmietany
2 łyżki octu
sól i pieprz

Jak to zrobić?

Ugotuj czerwone buraki, obierz i drobno posiekaj. Ugotuj na twardo jaja, pokrój każde na 8 części. Świeży ogórek pokrój w małe kostki, weź łyżkę siekanego szczypiorku oraz kwaśną śmietaną i ocet, po czym dolej ok. 1 litra zimnej wody i dobrze wszystko rozmieszaj. Dodaj sól i pieprz do smaku, a następnie postaw chłodnik na lód lub wstaw do lodówki, gdzie ma stać do chwili wydania go na stół. Połóż na każdym talerzu kawałek lodu wielkości jaja kurzego i wtedy dopiero lej nań chłodnik. (Dzięki dodaniu szyjek rakowych chłodnik stanie się smaczniejszy). Zamiast szczypiorku można użyć drobniotku posiekanej cebuli.

OD AUTORKI

Kultura Kurpiów, z którą zetknęłam się w czasie studiów etnograficznych, pomimo swej niezaprzeczalnej urody i malowniczości wciąż zdaje się niedoceniana. A szkoda. Dlatego też postanowiłam przybliżyć czytelnikom odrobinę tego kolorytu, który dalece wykracza poza zachwycające wycinanki, kolorowe pająki z bibuły czy zdumiewające palmy wielkanocne.

W 2006 roku, kiedy odbywałam praktyki muzealne w Skansenie Kurpiowskim w Nowogrodzie, w mojej głowie narodził się pomysł, by napisać książkę, w której główną rolę odegra właśnie skansen. Jest to miejsce zachwycające, widać tam miłość, którą jego założyciel, Adam Chętnik, włożył w zbudowanie swojego dziedzictwa. To należy podkreślić: nie byłoby dzisiejszego skansenu, gdyby nie wytrwałość badacza, Kurpia z krwi i kości, z dziada pradziada i z umiłowania. To jemu zawdzięczamy niemal wszystkie elementy architektoniczne w tym muzeum nad brzegiem Narwi. Chętnik poświęcił swoje życie temu, by o „puszczakach” nie zapomniano, a ich spuścizna świadczyła o bogactwie kulturowym mieszkańców Puszczy Zielonej.

Po latach udało mi się zrealizować marzenie o kurpiowskiej książce, choć w pierwotnym planie nie łączyłam jej ze zbrodnią. Jak już zapewne wiecie, te trupy jednak jakoś się do mnie przykleiły i nie chcą odkleić. No trudno, niech już będzie, trop trupa w końcu doprowadził mnie tam, dokąd zmierzałam.

Temat bursztynu – nierozzerwalnie związanego z Kurpiowszczyzną – korcił mnie już od jakiegoś czasu, ale dopiero gdy zbadałam liczne źródła i monografie dotyczące występowania sukcenitu na terenie Polski, wszystkie puzzle wskoczyły na swoje miejsca. Oczywiście dziś eksploatacja bursztynu w dorzeczu Narwi raczej nie przynosi odkryć na miarę tego, z jakim mamy do czynienia w powieści, jednak chciałam zwrócić Waszą uwagę na to, że nie tylko Mierzeja Wiślana i Bałtyk rodziły złoża tej kopaliny. Można by wręcz pokusić się o konstatację, że to właśnie Kurpiowszczyzna, nie tylko Kaszuby, stała bursztynem; wszak nie bez powodu powstały o nim liczne legendy i gawędy.

Małgonia Starosta, niepokorna i odrobinę szalona pisarka, powróciła do Nowogrodu i na karty powieści, za co ogromnie dziękuję **Wydawnictwu Lira**.

Markowi Jannaszowi, Magdzie Wójcik, Ani Laskowskiej, Agnieszce Chmielewskiej, Magdzie Musińskiej dziękuję za wspaniałe przyjęcie mnie do wydawniczej rodziny i nieustające wsparcie.

Książka to efekt pracy zespołowej, a ja mam w drużynie redaktorę, jakiej życzę każdemu autorowi. Bez **Basi Kaszubowskiej** nie byłoby ani Małgoni, ani w ogóle nic by nie było, a już na pewno moich książek. Od trzech lat razem – i oby kolejnych sto!

Szczególne podziękowania składam **Prezesowi Związku Kurpiów**, Panu *Mirosławowi Grzybowi*, za zaufanie i entuzjazm oraz objęcie nobilitującym patronatem mojej opowieści.

I jak za każdym razem, niezmiennie i do końca świata – dziękuję moim najwspanialszym **Czytelnikom** za to, że nadają sens mojej pracy.



Przypisy

1 *Kurpie. Legendy i opowieści*, pod red. Iwony Choroszewskiej-Zyśk, Związek Kurpiów i Muzeum Kultury Kurpiowskiej w Ostrołęce, Ostrołęka 2020, s. 7.

2 Tamże, s. 16.

3 Rejbak (reg.) – znany również jako „kugiel”, rodzaj babki ziemniaczanej, w innych rejonach Podlasia nazywanej kartoflakiem lub ulnikiem. Pierwowzorem rejbaka były kluski rejbaki (odpowiadające pyzom ziemniaczanym czy też śląskim „czarnym kluskom”), które swoją nazwę wzięły od procesu tarcia kartofli na ciasto – po kurpiowsku rejbowania, za pomocą rejbaški (tarki). Proces przygotowania ciasta był taki sam jak na rejbaki, a ugotowane kluski polewano tłuszczem ze skwarkami. Przepis na kurpiowski rejbak znajduje się na końcu książki.

4 Nazwa „kozicowe” pochodzi od kozicy, czyli bacika wykonanego z gałązki jałowcowej.

5 Przepis na kurpiowskie piwo jałowcowe znajduje się na końcu książki.

6 Przepis na chłodnik kurpiowski znajduje się na końcu książki.

7 Wzgórze Ziemowita – miejsce uznane za historycznie najstarszą część dzisiejszego Nowogrodu (znaleziska archeologiczne wskazują, że pierwotna osada znajdowała się na przeciwnym brzegu Narwi niż ten, na którym dziś ulokowane jest miasteczko). W XII wieku na wysokim brzegu rzeki utworzono gródek obronny, a za panowania Kazimierza Wielkiego na Wzgórzu Ziemowita został zbudowany jeden z pierwszych w tym regionie murowanych zamków. Najwcześniejsza wzmianka o Nowogrodzie pojawiła się w 1355 roku, w akcie nadania ziemi przez Kazimierza Wielkiego Ziemowitowi III (znanemu także jako Siemowit III, syn mazowieckiego księcia Trojdena). Ziemowit III zapisał się w historii Europy jako żonobójca, a przypisywana mu zbrodnia stała się kanwą Opowieści zimowej Szekspira.

8 *Wie geht es Ihnen* (niem.) – Jak się pan miewa?

9 *Gefällt Ihnen unser Museum?* (niem.) – Podoba się panu nasze muzeum?

10 *Sie sind eine schöne Frau* (niem.) – Jest pani piękną kobietą.

11 *Mit einer solchen Anleitung ist es jedes Mal ein Vergnügen* (niem.) – Z takim przewodnikiem to za każdym razem przyjemność.

12 PSG – Państwowa Służba Geologiczna; dział polskiej administracji państwowej realizujący zadania z zakresu geologii podlegające prawu geologicznemu i górnictwu.

13 *Ustawa z dnia 9 czerwca 2011 r. – Prawo geologiczne i górnicze została znowelizowana na mocy Ustawy z dnia 9.06.2022 r. o zmianie ustawy – Prawo geologiczne i górnicze oraz niektórych innych ustaw.*

14 POZI – Poufne Osobowe Źródło Informacji; osoba współpracująca z organami bezpieczeństwa państwa.

15 Stach Konwa – legendarny bohater kurpiowski; dowodził oddziałem strzelców biorącym udział w walkach o tron polski w 1733 roku po stronie Stanisława Leszczyńskiego. Stach Konwa zasłynął z niezwykłej odwagi w czasie bitwy pod Jednaczewem koło Łomży. W walce z połączonymi wojskami sasko-rosyjskimi zginął prawie cały oddział Kurpiów, a Stacha Konwę pojmano i obiecano mu wolność pod warunkiem, że bohater przyłączy się do stronnictwa Sasów. Za odmowę został powieszony. Oddając hołd dzielnemu Kurpiowi, Adam Chętnik postawił pomnik w miejscu, gdzie Stach Konwa został pochowany. Pomnik ten, jak wiele innych, został zniszczony przez hitlerowców w czasie II wojny światowej. Znajdującą się obecnie w skansenie rekonstrukcję wykonano w 1965 roku. W niszy wydrążonej barci znajduje się rzeźba Chrystusa Frasobliwego, wykonana przez Franciszka Szymańskiego, jednego z rzeźbiarzy ludowych Kurpiowszczyzny.

16 Jolanta Dragan, *Plótno lniane w wybranych kontekstach tradycyjnej kultury w Polsce*, [w:] *Atlas Polskich Strojów Ludowych. Stroje ludowe jako fenomen kulturowy*, Polskie Towarzystwo Ludoznawcze, Wrocław 2013, s. 213.

17 Lejbik (reg.) – kamizelka lub lekka kurtka z sukna.

18 Wiktor Gomulicki, *Narew (moja rzeka)*, [w:] *Ziemia polska w pieśni*, pod red. Jana Lorentowicza, Warszawa 1913.

19 Pająk (reg.) – ozdoba wisząca u sufitu, wykonana z rozchodzących się promieniście kolorowych wstążek z bibuły.

20 Leluja (reg.) – wycinanka kurpiowska w kształcie drzewka; po bokach drzewka widnieją rośliny, zwierzęta lub postaci ludzkie.

21 Makatka (reg.) – ozdobne, wyszywane, haftowane lub malowane płótno dekorujące ściany izby.

22 Palma kurpiowska – jeden z najważniejszych symboli regionu kurpiowskiego. Palmy sięgają niekiedy kilku metrów, są bogato zdobione bibułą i roślinnością (w tym obowiązkowo gałązkami wierzby). Poświęconej palmie przypisywano tradycyjnie wielką moc i wierzono, że uderzenie nią kogoś zapewni mu zdrowie i pomyślność. Spożycie baziek z wierzby miało chronić od chorób. Palmę przechowywano w domu, za świętym obrazem, okadzało się nią i kropało święconą wodą krowy po ociepleniu. Co ciekawe – służyła także za piorunochron, kiedy w trakcie burzy wystawiano ją za okno.

23 Kosior (reg.) – deseczka osadzona na długim kiju, przyrząd w rodzaju pogrzebacza, służący do wygarniania węgla z pieca.

24 Kierec (reg.) – dekoracja wykonywana ze słomy, bursztynu (bądź ziaren grochu lub fasoli) i bibułki, zawieszana pod sufitem, przypominająca kształtem ozdobny żyrandol.

25 Petunia Dursley – bohaterka serii książek J.K. Rowling o przygodach młodego czarodzieja Harry'ego Pottera. Petunia była ciotką Harry'ego, nienawidzącą go – i z wzajemnością.

26 Śperać (reg., właśc. śpérǎć) – szukać.

27 Ładyć (reg.) – przecieź.

28 Zalsnąć (reg.) – zauważyć.

29 Ślęceć (reg., właśc. ślęcęc) – wypatrywać.

30 Tylky cas – długo.

31 *Nein, nein, nein! Ich verlange eine Erklärung!* (niem.) – Nie, nie, nie! Żądam wyjaśnień!

32 *Was für eine Fee wieder?* (niem.) – Co ma do tego wróżka?

33 *Wer ist sie?* (niem.) – Kim ona jest?

34 Fafernuchy – ciasteczka tradycyjnie wypiekane na Kurpiach na święto Trzech Króli. Nazwa pochodzi z języka niemieckiego: *Pfeffer* (pieprz) i *Nusse* (orzechy), co możemy metaforycznie tłumaczyć jako „twarde jak orzech ciasteczka z pieprzem”. Przepis na kurpiowskie fafernuchy znajduje się na końcu książki.

35 Byśki – obrzędowe figurki z ciasta wyrabianego z mąki żytniej i wody. Tradycyjnie lepiono je na Nowy Rok i Trzech Króli, przypisując im moc ochronną.

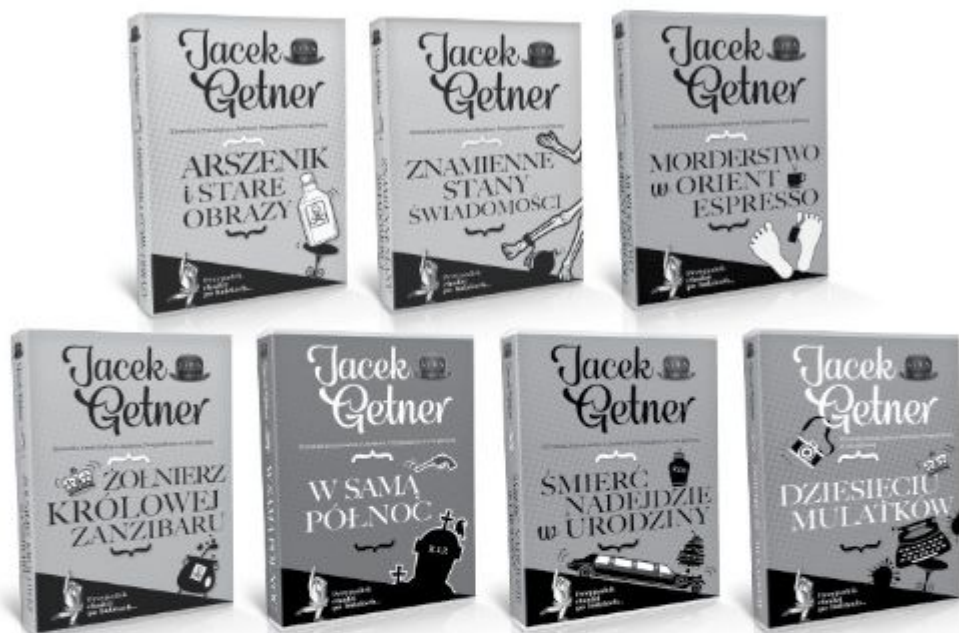
36 *Wo hat sie hingebbracht?* (niem.) – Dokąd zabrała?

37 *Nein! Ich habe nichts bewegt!* (niem.) – Nie! Niczego nie przynosiłem!

38 Na podstawie artykułu Joanny Jarzęckiej-Staperek, *Bursztyn – lek na wszystko i test na dziewictwo*, online: <https://www.gdanskstrefa.com/bursztyn-lek-na-wszystko-i-test-na-dziewictwo/>, [data dostępu: 06.02.2023].

39 Tomek Piast, *Kurpie*, Warszawa 1897, cyt. za: *Na ziemi Kurpiów*, pod red. Henryka Syski, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa, 1954, s. 72–80.

JUŻ W KSIĘGARNIACH



Polecamy serię komedii kryminalnych z genialnym detektywem Jackiem Przypadkiem w roli głównej. Łączy on w sobie przenikliwość Sherlocka Holmesa z łobuzerskim wdziękiem porucznika Borewicza i irytującym charakterem doktora House'a.

www.wydawnictwolira.pl

L i R A
WYDAWNICTWO

JUŻ W KSIĘGARNIACH



Malwina i Eliza to dwie przyjaciółki z Kraśnika, które co i rusz wplątują się w sytuacje obfitujące w niewyjaśnione zgony i nierozwikłane zagadki kryminalne. Gwarantujemy, że kibicując ich śledztwom, padniecie trupem z wrażenia!

www.wydawnictwolira.pl

L i R A
WYDAWNICTWO